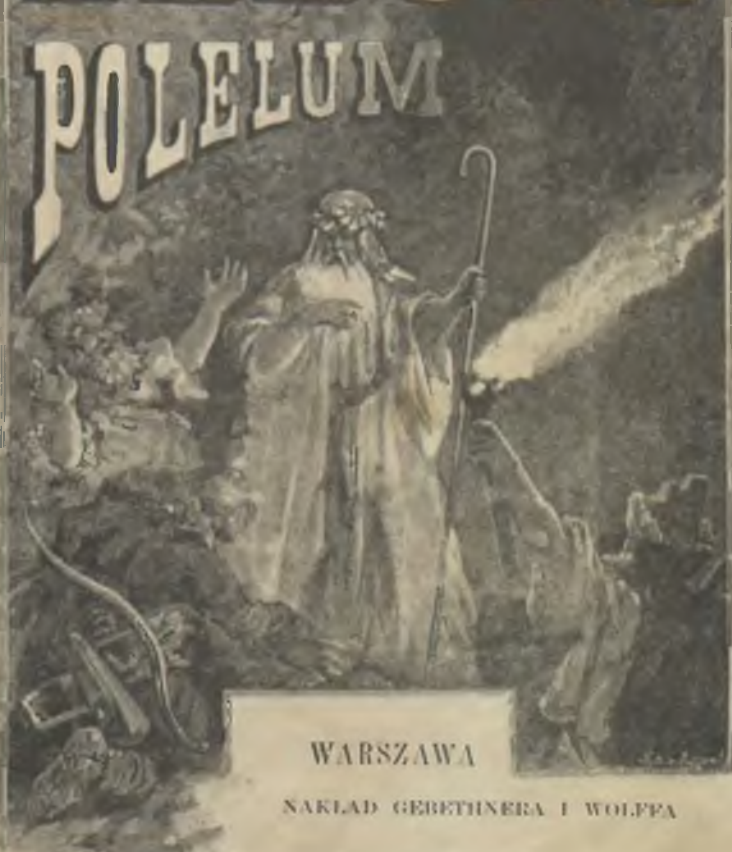
LELUM POLELUM



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

LELUM-POLELUM

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

WALERY PRZYBOROWSKI

LELUM-POLELUM

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Z X. WIEKU

WYDANIE DRUGIE

Z 5 RYCINAMI W. ŁUSKINY

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Января 1900 г.

I.

Kupcy niemieccy.

Śliczną i niezwykle ciepłą była wiosna 970-go roku. Już w maju były takie gorąca, że ludzie kożuchy rzucali i tylko w świtkach chodzili, a po polach żyto falowało niby wody goplańskiego jeziora. Cała puszcza, leżąca na ogromnej przestrzeni między ziemią Wilinów, rozciągającą się za Odrą, koło Braniborza, a ziemią Polan koło Poznania, ustroiła się już w letnią sukienkę, szumiała młodymi liśćmi na starych dębach, brzozach i lipach. Zwierz dziki wesoło w niej porykał, a ptactwo świergotem napełniało dalekie głębie borów. Długie sznury żórawi płynęły ku bagnistym pobrzeżom Odry, kąpiąc się w przejrzystym, niczem niezachmurzonym błękicie majowego nieba. Rok ten jednak zapowiadał się groźnie. Od zachodu, w pierwszych dniach wiosny, ukazała się na niebie wielka gwiazda z ogonem, który powoli rósł, rozszerzał się i zapowiadał albo wojnę, albo pomór na bydło i ludzi. Na skrajach puszczy rzad-

kie, tu i owdzie rozrzucone osady ludzkie, smuciły się tym niezwykłym widokiem tajemniczej gwiazdy i starzy kmiecie, co pamiętali jeszcze króla Ziemka, kiwali niespokojnie głowami i gadali, że będzie nieszczęście.

Jakoś w połowie wiosny, nad samym wieczorem, przez puszczę owę ciągnęła drożynami pełnemi wybojów, zawalonemi nieraz przez olbrzymie pnie drzew, wywróconych przez wicher, znaczna gromada ludzi. Było to już z tej strony Odry i ziemia ta należała do Polan, nad którymi panował wtedy potężny król Mieszko. Gromada owa ludzi z trudnością przedzierała się przez puszczę, w której powoli zapadał mrok, a przewodnik ich, chłop wysoki, barczysty, w kożuchu, postołach i czapce bobrowej na jasnych jak konopie włosach, podnosił kiedyniekiedy do góry głowę, by spojrzeć na kawałek nieba, widniejący zpoza koron drzew i liści. Właśnie tuż nad puszczą rozwijała ogromny ogon tajemnicza i złowieszcza gwiazda i ile razy na nią spojrzał przewodnik, tylekroć westchnął głęboko.

Za nim wlokło się powoli kilka koni, objuczonych wielkimi tłomokami, a koło nich postępowali z trudem, śród mnóstwa krzaków i grząskiej trawy, ludzie w kożuchach, czapkach futrzanych, uzbrojeni w miecze, łuki i strzały. Wszyscy oni byli czerwonowłosi, zarośnięci, wielkiego wzrostu i zapewne wielkiej siły. Było ich ogółem dziesięciu,

przewodnik jeden i nakoniec jeszcze jechało na koniach dwóch mężów, uzbrojonych w żelazne hełmy na głowach, owiniętych w ciemne z niemieckiego sukna płaszcze. Ci postępując na samym końcu gromady, z lejcami zarzuconymi na karki końskie, spoglądali także kiedyniekiedy na niebo i zdawali się niepokoić mrokiem, który szybko zapadał i zapowiadał blizką noc.

— Dytrychu — rzekł jeden po niemiecku — skoczno do tego przeklętego psa słowiańskiego przewodnika i dowiedz się, daleko jeszcze do gontyny?

Dytrych, Niemiec chudy jak szczapa, z zardzewiałym hełmem na głowie, z pod którego wydobywały się ogniste, czerwone kudły, kędzierzawe i gęste, mruknął coś pod nosem i popędził naprzód. Z trudnością mu to przyszło, bo ścieżka była wązka, otoczona gęsto drzewami i krzakami i cała zajęta przez ludzi i konie objuczone. Mimo to posuwał się naprzód i właśnie dojechał do opasłego mężczyzny, który szedł przy koniach wspierając się na kiju, gdy ten rzekł, także po niemiecku.

— Dokądże to rycerzu?

— Do przewodnika, panie kupcze. Noc zapada, a mój pan wcale nie ma ochoty nocować w tej przeklętej słowiańskiej puszczy.

— Ba! — odpowiedział na to nazwany kupcem — któżby miał ochotę tu nocować? ja jeszcze

mniej niż twój pan, rycerzu, boć w tych towarach, co je wiozę, cały mój i mych dziatek leży majątek. Ale cóż tobie powie przewodnik? co chcesz od niego?

— Czy daleko jeszcze do owej gontyny jakiegoś przebrzydłego bożka pogańskiego, o której nam gadał?

— Już niedaleko — odrzekł kupiec i także podniósł w górę głowę i spojrzał na niebo, na którem, w miarę zapadających powoli ciemności, coraz wyraźniej rysowała się ogoniasta gwiazda niedoli. — Nim noc zupełna zapadnie — dodał — będziemy już w gontynie Lelum-Polelum. Tak nazywają Słowianie tego bożka.

— Co za psi naród i co za psia nazwa! — odezwał się na to Dytrych.

— Mój rycerzu — pocznie znów kupiec — tak gadasz, jakbyś pierwszy raz jechał przez tę puszczę i do gontyny Lelum-Polelum.

— A oczywiście, że pierwszy raz.

— Tak? ano, może być, może być. Ale powiedzże mi, poco tam jedziecie z tym panem, rycerzem Ottonem?

— Ciekawyś mój kupcze, bardzoś ciekawy! — zaśmiał się Dytrych.

— No, mój chłopcze, kupiec musi być ciekawy, bo inaczej nicby nie zarobił. Mam ja tu w tych jukach — i wskazał głową na skrzynie — prześliczne trzewiki z czerwonej skóry, rzecz kosztowna

bardzo, które chciałem w Poznaniu sprzedać temu psu polskiemu, księciu Mieszkowi, ale jeżeli mi, mości giermku, powiesz, poco jedziesz do gontyny Lelum-Polelum, to ci je podaruję...

Giermkowi oczy się zaświeciły, spojrzał na juki, ukazał z pod czerwonych wąsów szereg białych, ostrych zębów i już chciał coś rzec, gdy nagle rozległ się surowy, silny głos jego pana:

— Dytrych! leniwcze przeklęty, co tam robisz? czemu, niewolniku, nie wracasz do mnie?

Dytrych żywo zawrócił konia i syknął do kupca:

— Pogadamy o tem później, panie kupcze — to rzekłszy, że droga była nieco szersza, popędził kłusem do swego pana.

Ten, wysoki, barczysty mężczyzna, z czarną brodą i takiemiż oczyma pełnemi surowości, począł swego giermka łajać:

— Podły niewolniku, co tam gadałeś z tym opasłym kupcem?

— Pytałem go panie, jak daleko do gontyny?

— No i co?

— Powiada, że nim noc zapadnie, będziemy w gontynie.

— I cóż więcej gadałeś?

— Nic, panie.

— Łżesz, podły niewolniku!

W tejże chwili zaszeleściały gałęzie wielkiego krzaku leszczyny, rosnącej tuż koło gościńca, a za-

raz potem świsnęła strzała i utkwiła w ramieniu Dytrycha. Ten krzyknął z przestrachu i bólu, wytrzeszczył szeroko wielkie, zielonawe oczy i wpatrzył się z wyrazem przerażenia w ów krzak, z poza którego dosięgnął go cios tak niespodziewany i tak bolesny. Tymczasem nim pan i giermek zdołali się opamiętać, z puszczy, z obu stron drogi wypadła gromada ludzi z oszczepami, toporami, maczugami i uderzyła na kupców. Zrobił się straszny popłoch; konie przestraszone tym nagłym napadem, któremu towarzyszyły dzikie krzyki, wywijania toporami i maczugami, poczęły się szarpać i stawać dęba, rwać się, a nawet jeden wziął na kieł i rzucił się w bok w puszczę, łamiąc z trzaskiem gałęzie, tratując krzaki. W jednej chwili zbójcy opanowali wszystko. Ludzie kupca leżeli pokrwawieni, z głowami porozbijanemi, a choć ten bronił się jeszcze zawzięcie, na nic się to już jednak przydać nie mogło. Konie i juki z towarami na nich były w rękach zbójeckich. Sam opasły kupiec leżał, głośno jęcząc, na ziemi i ocierał połą opończy krew, co mu po twarzy ciekła.

Gdy się to wszystko działo, rycerz jadący na końcu z giermkiem Dytrychem, wstrzymał konia, dobył z pod opończy długi miecz i stał tak, patrząc wzrokiem dzikim i bystrym na to, co się koło niego działo. Któryś ze zbójców spostrzegł go nakoniec i podbiegł ku niemu.

Byłto chłop straszny. Nizki, krępy, o głowie

ogromnej, pokrytej kołtunowatymi, zapewne niegdyś jasnymi, dziś spłowiałymi włosami, o małych oczkach niebieskich, nakrytych wielkiemi brwiami, o brodzie i wąsach żółtych, nastrzępionych i rozwichrzonych, brudny, dziki, okropny. Miał na sobie tylko krótki kożuch, do góry futrem wywrócony, bez rękawów, przepasany konopnem powrosłem, u którego wisiała siekiera z zielonkawego kamienia, migocząca, przy resztkach światła dziennego jakimiś błyskami złowrogimi. Zresztą nic więcej nie miał na sobie. Nagie nogi obute były w postoły z łyka lipowego i temże łykiem do nóg aż po kolana przywiązane. W rękach gołych aż po ramiona trzymał wielką maczugę drewnianą, nabijaną gęsto ostrymi krzemieniami. Skradał się pochylony naprzód, wlokąc za sobą tę buławę po piaszczystej drodze, nie spuszczając ani na chwilę dzikiego i strasznego wzroku z rycerza niemieckiego. Stąpanie napastnika ciche i lekkie miało coś kociego w sobie.

Ale rycerz go spostrzegł. Spiął konia ostrogami, podniósł w górę długi miecz, błysnął nim niby błyskawicą i wpadł jak grom na zbója. Lecz i ten miał się na ostrożności. Ze zwinnością hyeny uskoczył w bok, zakręcił nad głową młynka maczugą i spuścił ją z taką siłą na zad konia, że ten przysiadł na tylnych nogach. Gdyby maczuga była uderzyła w rycerza, byłaby go z pewnością zmiażdżyła. Teraz klnąc głośno po niemiecku za-

mierzył się mieczem na zbója, ale ten nagle padł na ziemię na wznak i miecz z głośnym świstem przerżnął tylko puste powietrze, a koń ze strzaskanym grzbietem rżąc boleśnie, chwiał się, chwiał i padł na bok, przygniatając sobą jeźdźca.

Już zbój podniósł się, przykląkł na jedno kolano i chwytał za maczugę, by zadać ostatni cios rycerzowi szamocącemu się pod koniem, gdy nagle rozległ się potężny chrapliwy głos:

— Stój, nie zabijaj tego Niemca!

Z gąszczu leśnego wystąpił na drogę mężczyzna olbrzymiego wzrostu, który zwiększał jeszcze wysoki kołpak bobrowy, ustrojony w czaple pióro. Na sobie miał krótki żupan modrej barwy i buty czarne na nogach; przy boku wisiał mu miecz niemiecki. Wyszedł i dużemi czarnemi oczyma patrzył pogardliwie na usiłującego się wydobyć zpod konia Niemca.

— Hej, Wilk! wyciągnij tego psa i staw go tu przedemną! — rozkazywał chrapliwym głosem.

Wilk, ten sam dziki w kożuchu człowiek, który godził na życie rycerza, dopomógł mu szybko do podniesienia się; zręcznym ruchem wyrwał mu miecz z ręki i schwyciwszy Niemca za kołnierz od opończy, podniósł go prawie w powietrzu i postawił przed wodzem.

— Kto ty jesteś? — spytał ów wódz.

— Powiedz wprzód kto ty jesteś! — odparł rycerz łamaną polszczyzną.

— Hardo gadasz, Niemcze! a wiesz ty, że ja cię mogę zaraz obwiesić, ot, na tym dębie?

— To wieszaj!

— A może to i uczynię, ale wprzódy pogadam z tobą. Czyś ty kupiec, jak i tamte Szwaby?

— Nie, jam rycerz, Otto.

— Rycerz! a cóż ty się włóczysz z kupcami?

— Tak mi wypadło Spotkałem ich w puszczy i jechaliśmy razem.

— A skądże ty jedziesz?

Rycerz nic nie odrzekł, ale powiódł oczyma po gromadzie zbójeckiej, która pozabijawszy kupców i porabowawszy towary, zbiła się koło wodza i ciekawie przypatrywała się niemieckiemu rycerzowi. Ten skończywszy przegląd, spytał:

— To cała twoja drużyna! piętnastu chłopów?

— Hm! może ja mam i więcej, jak mi potrzeba — odparł dumnie wódz zbójecki.

— A iluż ty możesz mieć?

— Może i pięćdziesięciu, może i stu, czy ja wiem?

— Hm! — mruknął Niemiec — każno odstąpić tym chłopom, a ja ci coś powiem.

— A cóż ty mi powiesz?

— Zaraz się dowiesz. Każ jeno odstąpić im precz.

— Hej, odstąpcie stąd! — zawołał wódz. —

Krzemień! zbierz łupy i podziel je jak należy. A ty rycerzu chodź za mną!

Ruszył sam przodem w głąb lasu. Noc już powoli zapadała i po puszczy włóczyć się poczęły ponure cienie. Gdzieś z bagnisk i moczarów podniosła się biała, mętna mgła i tłókła się między drzewami. Pod wielkim dębem zatrzymał się wódz zbójecki, usiadł na zwalonym pniu, obrosłym zielonawym mchem i rzekł do rycerza:

— Cóż chcesz? gadaj!

— Jam jest z ziemi Wilinów.

— A!... słyszałem o nich, to ci, co za rzeką mieszkają?

— Tak, ci sami. Margrafem tam jest potężny Wigman. Słyszałeś co o Wigmanie?

— Nie, nic nie słyszałem. Co tu w puszczy można słyszeć? chyba ryk zwierza, szum drzew i krzyk żórawi... Cóż ten Wigman?

— Otóż ja jadę od niego w poselstwie do waszych kmieci i wojewodów.

— W poselstwie? toś ty poseł?... patrzajcie! jeszczem też nigdy niemieckiego posła nie widział. Ano, toś ty taki sam człek jak i inni, masz jeno hełm piękny i opończę też...

— I ty to samo mieć możesz jak mnie posłuchasz.

— Mogę mieć? taki hełm żelazny i taką opończę? i miecz może i tarczę?

— I miecz i tarczę i ostrogi, wszystko...

— Ostrogi? — zawołał zbój zdziwiony — a ty masz ostrogi? pokażno!

Rycerz podniósł nogę, u której przy szarym blasku niknącego dnia, błyszczała wielka, żelazna ostroga.

— Piękna, bardzo piękna... — wołał zbój, oglądając ją na wszystkie strony. — Więc dasz mi te ostrogi?

— Dam ci. A jak się ty nazywasz?

— Jak ja się nazywam? Ano Żubr. Tak mię przezwali, bom mocny jak żubr... a ten co cię chciał zabić, zwie się Wilk. Ale nademnie jest jeszcze straszny wojewoda, co mieszka stąd o kilkanaście stajań, w grodzisku i zwie się Waligóra...

— Więc masz nad sobą przełożonego?

— Ano, jakże... mam.

— To prowadźże mnie do niego.

— A dasz mi ostrogi?

Rycerz zawahał się, ale pomyślawszy, że gdyby zbóje chcieli, to i takby mu zabrali, odpiął więc od nóg obie ostrogi i podarował je Żubrowi. Ten z dziecinną radością je uchwycił, oglądał, przymierzał do nóg i był bardzo uszczęśliwiony.

— A teraz prowadź mnie do twego wojewody! — mówił rozkazującym głosem Niemiec.

— Dobrze! trzeba zwołać moich.

Zatrąbił w róg bawoli, który miał przewieszony przez plecy i za chwilę cała gromada zbójów, pędząc przed sobą konie, zdobyte na kupcach, ruszyła z rycerzem i jego giermkiem Dytrychem, w ciemne otchłanie puszczy...

II.

Waligóra.

Noc już była zupełna, gdy cała ta gromada ludzi i koni dostała się do grodziska Waligóry. W puszczy panowała zupełna, niczem nierozjaśniona ciemność i zdala odzywały się już ryki bawołów, wycie wilków i żałosne krzyki puszczyków. Las zdawał się brzmieć jakąś wielką boleścią, ukrytą w cieniach nocy, w białych tumanach mgły wilgotnej. Liście dębów i brzóz szemrały żałośnie i po puszczy szedł przeciągły świst wichru, który się pod wieczór zerwał. Stąpając spłaszali niekiedy z wyniosłych świerków gromady wron i kawek, które z posępnem krakaniem zrywały się, łopocząc głucho w skrzydła, by pokrążywszy trochę nad borem, osiąść znowu na wyniosłem jakiem drzewie. Dytrych przez całą drogę stękał głośno, użalając się na dokuczliwy ból w ranie, którą otrzymał od strzały; za to sam rycerz Otto, otuliwszy się od chłodu wieczornego w opończę, milczał jak zaklęty. Żubr stą-

pał przodem i cieszył się, gdy mu ostrogi brzęczały głośno.

Grodzisko Waligóry wznosiło się na sztucznem usypisku ziemi, wpośród bagien i moczarów, z których wydobywająca się mętna, niezdrowa mgła, otulała sobą wszystko i rozłaziła się leniwie po puszczy. Obejście otoczone było częstokołem z dębowych palów i miało wysoką bramę z daszkiem, zbudowaną mocno. Wewnątrz na dziedzińcu wznosił się stóg siana i prosta chata, strzechą kryta, kurna i dymna. Gdy się zbliżali do grodziska, psy poczęły ujadać zawzięcie i zpoza bramy rozległ się surowy, donośny głos:

— Kto tam?

— Ja, Żubr.

Otworzono wierzeje ze skrzypem i wpuszczono wszystkich na dziedziniec. Otoczyło ich zaraz kilkunastu zbójów, przeważnie w kożuchach lub białych świtkach, dzikich, zarośniętych, z wielkiemi, kołtunowatemi głowami. Psów też wypadła gromada i szczekając zajadle, obwąchiwała nowo przybyłych. Gdy obaczono konie objuczone, radość była wielka i co żywo zajęto się zdejmowaniem skrzyń.

— Wojewoda jest? — pytał Żubr.

— Jest, a gdzieżby był? — odrzekł któryś.

— Gada z tą Czeszką w świetlicy... harna dziewka! — dodał inny.

— Tedy, rycerzu, chodźmy do wojewody —

zawołał Żubr i ruszył przodem, a za nim podążył milczący ciągle Niemiec Otto.

Gdy oddalili się nieco od gromady, tak, że byli blizko drzwi chaty, rycerz zawołał:

— Żubr!

Żubr zatrzymał się i spytał trochę zdziwiony:

— Czego chcesz?

— Chciałem ci się spytać, co to za Czeszka, o której tam gadali?

— Co za Czeszka! ano Czeszka, Mlada się nazywa...

— A skądże ona się tu wzięła u was, w puszczy?

— Skąd się wzięła? — powtórzył pytanie swoim zwyczajem Żubr — ano, stąd, skąd i ty rycerzu... Wziął ją Waligóra w jakimś napadzie.

Umilkł na chwilę, pomyślał i zbliżając się do Ottona, dodał napół tajemniczo:

— Powiem tobie, rycerzu, że ona taka mądra, że i ciebie, chocieś Niemiec, w kozi róg by zapędziła. Ona jechała z Czech na dwór królewski do Poznania, do Mieszka... Ona jest innej wiary, tej nowej, waszej niemieckiej, co ją teraz Mieszko gwałtem wprowadza. Niech go piorun trzaśnie, zdrajca to nie król. Gontyny burzy, dęby wycina, węże morduje, bogów tłucze i topi i głowy, słyszę, ucina tym, co go słuchać nie chcą. Przeklęty zaprzaniec!...

Gniewał się widocznie i nogami ciężko tupał, a ostrogi mu brzęczały, co nagle oderwało jego uwagę od Mieszka i nowej wiary, a zwróciło na tę zdobycz niemiecką.

— Śliczne ostrogi, śliczne! a jak dzwonią! o! I począł się przechadzać, wsłuchując z upodobaniem w brzęk ostróg.

— Dopiero mi Waligóra będzie zazdrościł, on nawet takich nie ma.

— No, chodźmy do wojewody! — Przerwał Otto ten zachwyt ostrogami.

Przekroczyli wysoki próg, na którym przybity był kawałek starej podkowy końskiej i weszli do świetlicy. Była ona dość duża i miała jedno tylko maleńkie okienko, zamykane na noc drewnianą zasuwą. Pułapu w izbie tej wcale nie było, jeno widniała strzecha, a w niej był otwór, przez który wydobywał się dym. Na klepisku glinianem, w wydrążeniu umyślnie na ten cel zrobionem, gorzał duży ogień i dym z tego ognia rozłaził się po całej izbie. Duszno tu było i dym wyżerał oczy i zaciemniał wszystko tak, że zrazu gdy weszli Żubr i Otto, nic nie dostrzegli. Później dopiero rozpatrując się pilnie, ujrzeli siedzącego koło ogniska na ledwie ociosanym pieńku, męża, ubranego w świtkę z samodziału, w postołach lipowych, z gołą, łysawą nieco głową. Siedział on wsparty na ręku i patrzał na ognisko,

na którem, na węglach piekł się jakiś ptak i kilka ryb.

Gdy się drzwi otworzyły i przeciąg powietrza porwał trochę dymu, dostrzeżono w izbie i drugą osobę. Była to młoda dziewczyna, może dwadzieścia lat licząca, siedząca opodal nieco ogniska na ławie drewnianej. Na dużych, splecionych w kosę włosach dziewczyny, jasnych jak len, kładły się odblaski ognia i zdawało się, że ta główka cała jest niby oblana roztopionem złotem. Dziewczyna ubrana była w modry spencerek i jubkę takąż samą, a na piersiach zwieszały jej się różnokolorowe szklane paciorki. Była bardzo ładna, ale smutna. Siedziała z założonemi rękoma na kolanach i błękitnem oczami ścigała płomyki ogniska.

— Z Bogiem, wojewodo Waligóro! — rzekł Żubr, wchodząc do izby.

— Z Bogiem! — mruknął ponuro Waligóra, nie podnosząc oczu. — Cóżeś przywiózł, Żubrze? Wyprawa się udała?

— Udała, dzięki Bogu. Kupcy mieli dużo towaru.

— Przynieś ten towar tutaj. Może dla Mlady co będzie.

Podniósł swe krwią zaszłe oczy na dziewczynę i skrzywił się szkaradnie, co niby znaczyło, że się uśmiecha.

— Wojewodo, mamy niewolników — ozwał się znów Żubr.

— Niewolników! Kogo?

— Dwóch Niemców.

— Niech ich bies porwie! co nam po nich? dwie gęby więcej, a i tak jeść niema co. Ledwie ptaszynę dziś ubiłem. Zawsze ci mówię, Żubrze, nie brać niewolników. Związać ich, a jutro świtaniem odesłać do gontyny, niech ich tam spalą na stosie na cześć Lelum-Polelum.

Mówiąc te wyrazy, pochylił głowę i w piersi się pięścią uderzył.

Żubr tymczasem odwrócił się do stojącego za nim Ottona i zrobił taki ruch ręką, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Widzisz! cóż ja na to poradzę?

Ale Otton odsunął go lekko ręką i wyszedł naprzód tak, że stanął w świetle ogniska, od którego na jego hełm polerowany padł brzask jarzący. Podsunął się ciężkim krokiem ku Waligórze i rzekł:

— Poco mię masz odsyłać do gontyny, ja sam tam pojadę.

Waligóra podniósł swe krwawe oczy i począł się Niemcowi ciekawie przypatrywać.

— Sam pojedziesz? e! znam ja się na tem... cóżeś ty jest?

— Waligóro! — ozwał się Żubr — to jest rycerz niemiecki, Otton i w poselstwie jedzie od

niemieckiego margrafa... jakże się ten margraf nazywa? — zwrócił się do Ottona.

— Wigman.

— W poselstwie jedziesz? — zapytał Waligóra — a cóż ty masz za poselstwo i do kogo?

— A może i do ciebie.

— Do mnie! ano, gadaj co chcesz?

Spuścił głowę obojętnie i zajął się przewracaniem ryb, skwarzących się na węglach.

— Każ wojewodo, wyjść tej dziewce i Żubrowi.

— A to poco? Żubr może słuchać, a dziewka... co tam dziewka! albo to dziewki co rozumieją?

— Ona jest Czeszka.

— To i cóż?

— I chrześcijanka.

— Głupiś, Niemcze... gadaj, co masz gadać, a nie marudź. Noc już jest i spać mi się chce.

Otto spojrzał na Mladę, siedzącą wciąż nieruchomie, podsunął sobie pieniek, stojący na uboczu, usiadł i mówił:

— Mój suzeren, margraf Wigman, potężny margraf Wigman, wielki przyjaciel Słowian, sprzymierzeniec Wilinów, widzi z boleścią serca, co się tu u was w Polsce dzieje.

— No? — zapytał Waligóra, przewracając na drugi bok rybę — a cóż tu u nas się dzieje?

— Jakże możesz o to pytać, Waligóro? Albož wasz król, Mieszko nie przyjął nowej wiary, nie każe waszych gontyn burzyć, bogów tłuc i topić. gajów wycinac, srogo ludzi karać?

— A niech go tam piorun zabije! To wszystko prawda, ale co mi tam! Mnie tu w puszczy nie dosięgnie i drwię ja sobie z poznańskiego króla Mieszka. On tu nie przyjdzie i ja też do niego nie pójdę. A niechno spróbuje zburzyć naszę bożnicę Lelum-Polelum... niech spróbuje!

Oczy mu się iskrzyły i wargi trzęsły. Chwycił upieczoną rybę na węglach, rozdarł ją na połowę i podał jedną część dziewczynie. Ta westchnęła ciężko i rzekła słodkim głosem:

— Waligóro! Bóg chrześcijan jest jedynym, prawdziwym Bogiem.

— Co mi tam! — mruknął Waligóra, zajadając chciwie rybę. — Mam ja swego boga, który był bogiem moich ojców i cudzych nie chcę.

— Dobrze robisz wojewodo — wtrącił Otton — ale już niedługo będzie ci wolno czcić boga twoich ojców.

— Nie wolno? a któż mi zabroni?

— Mieszko.

— Drwię sobie z Mieszka! ja taki pan w mym gródku, jak i on w Poznaniu.

— On ma dużo wojska, z Czechami jest w sojuszu...

— A wiem o tem — mruknął Waligóra, ciskając ości rybie na ognisko. — Słyszę, z Czeszką się ożenił. Mlada! jakto ona się zowie?

— Dąbrówka! — szepnęła srebrnym głosem dziewczyna.

— Dąbrówka. Słyszę, stara jest baba, a chodzi w wieńcu i bez czepca, jak dziewka jaka.

— Otóż, wojewodo, król Mieszko wydał nakaz, żeby wszyscy chrzcili się teraz i dawne bogi tępili.

— Wydał taki nakaz? — podniósł oczy Waligóra i spojrzał na Niemca, poczem wziął z węgli ptaka, obejrzał go i rzekł: — A niech sobie wydaje!

— I rozesłał starostów swoich, otoczonych drużyną zbrojnych wojowników, ktorzy jeżdżą po kraju i nieposłusznych mieczem karzą. Jeno patrzeć, jak tu przyjdą.

Słowa te wywarły silne wrażenie na Waligórze. Cisnął ptaka na węgle, porwał się z pieńka, wyprostował, a był mężem olbrzymiego wzrostu i zawołał dzikim, chrapliwym głosem:

— Ej! złowróżbny puszczyku, a ty skąd to wiesz?

— Wiem. Mój suzeren i pan, margraf Wigman, trzyma umyślnych szpiegów na dworcu Mieszka i my o wszystkiem wiemy, co się tam knuje. I powiadam tobie, Waligóro, że jeżeli nie zapobiegnie lud polski temu, nie upłynie i rok,

a już na ziemi polskiej nie będzie ani jednej słowiańskiej gontyny. Jedźno do Poznania, Gniezna Kruszwicy i obacz, jakie tam świątynie stawia Mieszko, nowemu, niemieckiemu Bogu. Buduje je z kamienia, z wieżami, pułap na żelaznych prętach, ołowiem zalewanych, prawdziwe zamki, których ani strzałą, ani toporem, ani ogniem nie weźmiesz... A spytaj ilu ma wojowników, uzbrojonych w hełmy, puklerze żelazne, miecze i włócznie; ile gontyn już zburzył, ilu niechcącym go słuchać, głowy uciął!

Waligóra stał, z oczyma szeroko rozwartemi, z widocznym wyrazem zdziwienia i trwogi na brzydkiej, dzikiej twarzy.

A Otton tymczasem dalej prawił językiem łamanym, głosem spokojnym, w którym brzmiała nuta pewności:

— Krzesław, wojewoda co miał silny gródek, Mogilno i nie chciał się ochrzcić, dał głowę, jak orzech zgryzł. Poszli wojacy Mieszka, gródek mocą wzięli, Krzesława wywlekli i głowę mu ucięli... Tak ze wszystkimi będzie...

Waligóra siadł ciężko na pień, wziął w ręce upieczonego ptaka i ogryzając go, rzekł:

— Ano, obaczymy. Jeszcze do nas nie przyszli wojacy Mieszka. I łatwo to brać gródki i ścinać głowy ludziom na polach, ale w puszczy, u nas!... Niechno przyjdą. Albo oni wiedzą o nas i o naszej gontynie? prawda Żubrze?

— Sprawiedliwie, że nie wiedzą, bo skądby wiedzieli? — rzekł Żubr, który podczas całej tej rozmowy dzwonił ostrogami i wykręcał nogi w ten sposób, żeby koniecznie zwrócić uwagę Mlady na swą nową, rycerską ozdobę.

— Zapewniam cię Waligóro, że wiedzą — odparł Otton poważnym tonem.

— O mnie? o mym gródku wiedzą w Poznaniu? — dopytywał się Waligóra.

— O twoim gródku i o gontynie Lelum-Polelum.

— Wiedzą, mówisz, Niemcze? a skądże oni wiedzą?

— Czy ja wiem? dość, że wiedzą. Przecież i mój suzeren i pan, margraf Wigman o tem wie. Wysłał mnie w poselstwie do ciebie i do gontyny.

Słowa te znowu zrobiły silne wrażenie na wojewodzie. Zamyślił się głęboko, ogryzając kostki ptaka, a Otton mówił:

— I powtarzam ci, wojewodo, że jeno patrzeć mieszkowych wojowników, a z nimi chrzescijańskich księży... Doniesiono margrafowi Wigmanowi, że Mieszko nakazał przetrząść całą tę puszczę, gontynę zburzyć, bożka Lelum-Polelum potłuc i utopić w Odrze, gaje święte wyciąć, wężów pozabijać

Waligóra zerwał się znowu gwałtownie, sta-

rannie ogryzione kości ptaka z wściekłością rzucił o ziemię i zawołał:

— Bodaj piorun trzasł tego Mieszka! co czynić? co czynić?

— Właśnie z tem przyjechałem do ciebie, wojewodo, z tem przysłał mię do was mój suzeren i pan, margraf Wigman. On wie co czynić i on wam poradzi.

— A to jak? — zapytał Waligóra.

— Chce z wami sojusz zawrzeć na śmierć i życie. On ma potężne wojsko i naród Wilinów do niego się przyłączył. Chce, byście i wy wszyscy, którym zuchwały Mieszko narzuca nowego Boga i nowe prawo, którym chce łby ścinać jak makówki, otóż mój suzeren i pan, potężny margraf Wigman, chce, byście i wy się do niego przyłączyli. Wtedy pójdziemy razem na króla Mieszka, zdobędziemy gród jego Poznań, zburzymy nową świątynię, potopimy nowych bogów...

Nie skończył jeszcze Otton, gdy nagle z ławy zerwała się milcząca dotąd ciągle Mlada, jak sarna spłoszona, skoczyła i stając zarumieniona jak róża przed Waligórą, zawołała śpiewnym głosem:

— O! nie usłuchajcie go, wojewodo. To Niemiec jest i zdradę pod wami knuje. Nie słuchajcie go! On i jego margraf wszystko wam wydrze i ziemię i bogów i obyczaj wasz stary, niewolni-

ków z was poczyni. O! nie słuchajcie go, wojewodo, on was urzeknie...

Otton przez chwilę słuchał tych zaklęć dziewczyny, potem nagle powstał i zawołał:

— Od jakiegoż to czasu mężowie polscy słuchają niewiast i dziewek i do rady je przypuszczają?

Waligóra mruknął coś ponuro i rzekł:

— Idź precz, dziewko! tobie milczeć przystoi i nie mieszaj się do wieców mężowskich.

Mlada płacząc i ocierając łzy, poszła w kąt świetlicy, gdzie zanurzyła się w ciemnościach i słychać było tylko jej rzewne szlochanie.

— Gadaj teraz, Niemcze, co chcesz odemnie? — rzekł Waligóra.

— Jużem ci powiedział. Nim miesiąc dwa razy przeminie, mój suzeren i pan, potężny margraf Wigman, wkroczy na czele tłumu wojowników, których będzie jako gwiazd na niebie, jako piasku w morzu i mieczem tępić będzie króla Mieszka. Od was chce, byście zebrali swych wojaków, gościńce mu wskazywali i żywność przygotowali. A gdy pokona Mieszka, wtedy dawna szczęśliwość i dawne bogi wrócą do tej ziemi.

— Hm! — mruczał Waligóra — dobrzeby to było, ale... tyś Niemiec i twój margraf Niemiec, a ja się boję zdrady niemieckiej. Ano, pójdziemy jutro do gontyny i tam się poradzimy wieszczów, starego Sochy. Co oni postanowią tak będzie.

A teraz, Niemcze, idź na stóg siana i wywczasuj się. Ja też spać pójdę, oczy mi się kleją i zawsze lepiej jest rano radzić niż nocą.

W pół godziny potem cisza wielka zaległa grodzisko wojewody Waligóry.

III.

Lelum-Polelum.

Nazajutrz świtaniem, Waligóra wybrał się z kilku swymi wojakami i Ottonem do gontyny bożka Lelum-Polelum. W gródku został chory Dytrych, Mlada, Żubr i kilkunastu parobków.

Waligóra jechał na koniu zdobytym wczoraj na kupcach niemieckich i dźwigał na głowie hełm żelazny, który zabrał Dytrychowi. Wszyscy inni, nawet Otton, szli pieszo, co zresztą nie było zbyt utrudzającem ze względu na prześliczny poranek wiosenny, na drogę stosunkowo dość dobrą i na ciepło, jakie panowało w puszczy. Weseli też byli wszyscy. Słonko zpoza drzew słało jasne, radosne promienie i na tę gromadkę ludzi i na gościniec piaszczysty trochę i na odwieczne świerki, sosny, białe brzozy i dęby ciemne. Cały bór zresztą wrzał tysiącem głosów ptasich i zwierzęcych. Gdzieś w głębi co chwila rozlegało się kukanie kukułki, co uważano za dobrą wieszczbę. Żórawie na brze-

gach krzyczały i nieustanny świergot rozlicznego, drobnego ptactwa napełniał sobą całą puszczę.

Waligóra posuwał się przodem mroczny i milczący; rycerz Otton przed rannym chłodem otulił się w opończę i także się nie odzywał. W całej gromadzie tej panowałaby cisza, gdyby nie jeden młody parobek, który jadąc na końcu, przygrywał niekiedy na fujarce. Odgłos tej fujarki chwytały dalekie echa puszczy i gdy już parobczak usta od fletni odjął, po lesie między starymi dębami wciąż jeszcze grało. Na gałęziach drzew, pochylonych ponad ścieżką, świeciły krople rosy, które jeźdźcy strącali na siebie. Świeżość i rzeźwość jakaś wiała z głębi boru, ogarniała sobą wszystkich, unosiła się w powietrzu pełnem woni żywicznej.

Szli z dobrą milę ścieżynami wąskiemi i wydostali się w końcu na szeroki, piaszczysty gościniec, na którym znać było ślady kół, ludzi i zwierząt.

— Gontyna niedaleko — mruknął Waligóra, strząsając z wielkiej brody, osiadłe na niej krople rosy.

Jakoż niezadługo już, wlokąc się z ćwierć jeszcze mili po piasku przy mocno dogrzewającem słońcu, ujrzano szczyty gontyny, tak zwanej od tego, że gontem był dach na niej kryty. Stała ona na piaszczystem wzgórzu, murawą porosłem, z gankiem na przedzie, wspartym na słupach, pomalowana jaskrawo w zielone i czerwone barwy. Przed

nią wznosił swe olbrzymie konary odwieczny dąb, święte drzewo i osłaniał gałęziami dach i ganek. Na dachu tym, w dymnikach gnieździło się mnóstwo gołębi, poświęconych bożkowi. Teraz, wśród ciszy poranku letniego dnia, w blasku słońca, które słało swe promienie na gontynę i dąb święty, gołębie te gromadą unosiły się dokoła, napełniając gruchaniem i łopotem skrzydeł powietrze. Całe wzgórze otoczone było gęstym częstokołem, za którym czerniał już las stary, pełen dębów, lip, modrzewiów i sosen. Od scsen tych i od modrzewiów, pod skwarem słońca, szła woń żywicy, rozpościerała się dokoła niby wonne kadzidło, na cześć tejemniczego bożka pogańskiego. Na wzgórzu czerniała macierzanka i wrzosy różowe stroiły murawę, nadając jej postać wzorzystego kobierca. Za gontyną, na wyniosłym świerku, który wznosił smutne, ciemne gałęzie wysoko, mieściło się gniazdo bocianie. Stał on tam właśnie na jednej nodze, klekocząc głośno i podnosząc kiedy niekiedy swą głowę, by popatrzeć z boku na unoszące się nad nim gołębie. Cisza tu zresztą była zupełna, senna jakaś i oprócz ptactwa, żywej duszy nie było widać koło gontyny. Dopiero gdy gromada podróżnych zbliżyła się pod samo wzgórze, zza częstokołu ukazał się kołpak bobrowy i dwoje oczu małych, bystrych, niespokojnych, poczęło przyglądać się gościom.

— Zbiszku — zawołał chrapliwym głosem Wa-

ligóra — donieście o naszem przybyciu Bogucłiwałowi.

Zbiszek wylazł całkiem zpoza częstokołu, popatrzył bacznie na jeźdźców, podrapał się po żółtej, kołtunowatej brodzie i spytał:

— A kogóżto wiedziecie ze sobą, Waligóro?

Mówił to, wskazując oczyma na Ottona. Ten stał w zbroi i hełmie, ciekawie poglądając dokoła, a złote słońce przeglądało się w polerowanem żelazie.

— Niemca wiodę, rycerza niemieckiego w poselstwie do Boguchwała. Dajcie znać o tem Zbiszku.

— Hm! — mruknął Zbiszek — dać znać, to łatwo, ale widzi mi się nic z tego nie będzie, byście mieli ujrzeć Boguchwała.

— A to czemu? — spytał Waligóra.

— Czemu? czemu?

Poprawił futrzanego kołpaka, powlókł się wzdłuż częstokołu ku bramie, otworzył ją i wyszedł na zewnątrz z obejścia gontyny. Tu stanął założył ręce na tył i patrzył bardzo ciekawie na Ottona. Chłop był ogromny ale chudy, ubrany w białą świtkę, spiętą pasem skórzanym i w postoły lipowe. Przypatrzywszy się Niemcowi, podniósł głowę w górę i śledził pilnie oczyma wielkie kręgi, jakie zataczały gołębie na czystym lazurze letniego nieba.

Nagle jego spokojna, pomarszczona, bronzowa

od słońca i wichrów twarz, zadrgała. Żwawo zwrócił się do Waligóry:

— Waligóro! Waligóro! — zawołał — macież łuk?

— A mam.

— Dalej, dalej! widzicie jastrzębia... strzelajcie! strzelajcie!

Wszyscy podnieśli w górę głowy. Nad gromadą spłoszonych i kupiących się ku sobie gołębi, kołysał się na szerokich skrzydłach wielki jastrząb. Na szafirowem i czystem niebie rysował on się wyraziście jak nieruchoma plama. Wisiał nad gołębiami, widocznie upatrując stosownej chwili, by na nie uderzyć. Między gołębiami znać było straszne przerażenie i popłoch. Niektóre z szybkością spadały na dach gontyny i kryły się w dymniki, inne, jakby oszalałe, poczęły z niezmierną bystrością zataczać wielkie kręgi, spadać na dół i znów się podnosić. A jastrząb chwiał się, chwiał i wolno, majestatycznie spuszczał ku gontynie.

— Święte gołębie! święte gołębie! — wołał Zbiszek, miotając się niespokojnie, rzucając dokoła wzrokiem, jakby szukał broni, którąby mógł zasłonić ptactwo przed napaścią rabusia. Waligóra ze swej strony patrzał na jastrzębia i leniwie ściągał łuk z pleców.

— Ba! — mruczał — a cóż ja mu zrobię? strzała nie doniesie, za wysoko jest.

Właśnie jastrząb upatrzył widać już zdobycz,

bo nagle zwinął skrzydła i jak piorun spadać począł na gromadę gołębi. Już je doganiał, gdy wtem strzała świsnęła i rabuś ugodzony nią runął z łoskotem na dach gontyny, przeszyty na wylot i stoczył się z krzykiem na ziemię.

Zdumienie było ogólne. Wszyscy, nawet Waligóra, który dotąd jeszcze łuku nie zdołał z pleców zdjąć, odwrócili się i patrzali zdziwieni na rycerza Ottona, który właśnie spokojnie przyczepiał łuk do łęku siodła. Spostrzegłszy ogólną ciekawość, rzekł:

— A oddajcie mi strzałę, bo jest dobra i szkoda jej na takiego łotra jak jastrząb.

Zbiszek zdjął kołpak z głowy i stał ze spłowiałą, rozczochraną czupryną, w białej świtce i patrzał się z wyrazem niepojętej trwogi i uszanowania na rycerza.

— Bóg cię nam dał, rycerzu — mówił — ocaliłeś święte gołębie i szczęście przyniosłeś w gontynę Lelum-Polelum. Właśnie Boguchwał z trzewi zabitego jagnięcia wywróżył wczoraj niedolę i nieszczęście dla całej Polan ziemi, aleś ty to odwrócił. Czekajcież tu, powiem o was Boguchwałowi.

I zniknął za częstokołem. Wszyscy, nawet chmurny Waligóra, otoczyli Ottona i poczęli się dziwić i chwalić dzielność jego strzału.

— Co wy za łuk macie rycerzu — mówił Waligóra — że tak daleko i tak pewnie niesie?

Uśmiechnął się na to pytanie Niemiec i odparł:

— Łuk jest dobry, w Anglii, wielkiej wyspie za morzami leżącej, kupiony u Normanów. Podarował mi go graf Giero. Ale i najlepszy łuk na nic się nie zda, gdy ręka strzelającego nie jest wprawna, a oko mierne. My Niemcy umiemy używać łuków.

Mówił to z uśmiechem i z dumą, poglądając dokoła na zdziwione twarze polskie.

— Dlatego też — dodał, wskazując ręką na łuk — biada tym, którzy nas zaczepią. U nas takich łuków jest jako piasku w morzu, jako gwiazd na niebie. Nikt się przeciw nam nie ostoi i niech się nikt nie waży nas zaczepiać.

Uderzył dużą, kosmatą ręką w miecz, aż zabrzęczał. Po tych słowach Niemca milczenie zapanowało w całej gromadzie i wszyscy zdawali się w pokorze słuchać dumnej i zuchwałej mowy Ottona. Dobroduszność słowiańska, małe cenienie siebie, wzięła jak zwykle, jak zawsze potem brała górę.

Jeden tylko Waligóra zmarszczył brew i po chwili, podnosząc swój wielki, niezgrabny łuk i nakładając nań strzałę, rzekł:

— Nie chwal się, Niemcze i nie groź, bo ci się tu nikt nie zlęknie. Strzelasz ty dobrze z twego zamorskiego łuku, ale i my też to potrafimy z naszych prostych, kmiecych łuków. Widzisz tę jaskółkę?

To mówiąc przyłożył łuk do oka, szybko na-

ciągnął cięciwę, strzała ze świstem wyleciała i jaskółka padła przeszyta u stóp częstokołu. Orszak Waligóry począł głośno śmiać się z radości i ten i ów mówił:

— Niemiec dobrze strzela, ale i nasz wojewoda nie gorszy od niego.

Otton znowu uśmiechnął się szydersko i rzekł:

— Dobrze strzelasz, wojewodo, tylko łuk twój tak daleko nie poniesie jak mój. Nimbyście wy do nas tak blizko podeszli, byście mogli strzałami nas kłóć, mybyśmy was wprzódy wszystkich pozabijali.

— Albo to prawda! — oburknął się Waligóra, a oczy mu się zaświeciły groźnemi błyskawicami.

— Nie prawda? — począł znów Niemiec — więc czemużeś nie strzelał do jastrzębia, gdy ścigał wasze święte gołębie? Nie strzelałeś, boś mówił, że daleko, że łuk twój nie doniesie. Ale mój doniósł.

Waligóra miał już coś odrzec groźnego, gdy w bramie ukazał się Zbiszek i wołał:

— Waligóro, Boguchwał was i niemieckiego rycerza czeka. Chodźcież a prędzej. Boguchwał wielce jest uradowany, żeście ubili jastrzębia. To wam i nam szczęście przyniesie i Lelum-Polelum błogosławieństwo zeszle na całą krainę. Chodźcie!

Waligóra zsiadł z konia, bo do gontyny wchodzić inaczej nie było wolno i z Ottonem ruszył przodem, a za nimi Zbiszek. Reszta orszaku zo-

stała przed częstokołem i rozłożyła się na miękkiej murawie na spoczynek.

Dziedziniec gontyny był cały bardzo starannie wyłożony kamieniami polnymi, a przez jego środek szła ścieżka białym piaskiem wysypana. Stąd niezasłonięty niczem, ocieniony od słońca olbrzymimi konarami świętego dębu, chram pogańskiego bożka uderzał misternością swej budowy, bogatą rzeźbą ganku, słupów i jaskrawością malowań. Była to zresztą świątynia niewielka; za nią wznosiły się chaty wieszczków i stajnia białego wieszczego konia. Na ganek wchodziło się po kilku schodach na czerwono malowanych i wprost znajdowały się drzwi świecące niebieskimi i złotymi pasami, zamknięte na wielką, drewnianą zasuwę. Z boku wisiała ogromna, na pół zmurszała kość jakiegoś przedpotopowego zwierzęcia, a jak wieszczowie mówili, kość jednego z tych wielkoludów, którzy dawno, bardzo już dawno mieli żyć na ziemi.

Cisza tu wielka i poważna leżała, tylko na dachu gołębie święte, uspokojone już po niedawnym przestrachu, gruchały głośno i pszczoły szemrały na kilku lipach, wznoszących się poza gontyną. Pod świętym dębem leżał ogromny głaz, na którym prawdopodobnie ofiary czyniono, bo poplamiony był krwią zeschłą i koło tego głazu, pod cieniem liści dębowych, kazał się Zbiszek Waligórze i Ottonowi zatrzymać. Wojewoda był milczący i widocznie świętość i powaga miejsca wywierały nań

silne wrażenie. Stanął pokornie obok dębu i z dużej, rozwichrzonej głowy zdjął kołpak i zpode łba poglądał na chram bożka Lelum-Polelum. Niemiec za to oparł się oburącz o swój miecz prosty i stał obojętny pozornie, a przecież bacznie przypatrujący się wszystkiemu dokoła, kiedyniekiedy rzucał wzrokiem na częstokół i zdawał się badać jego gęstość i wytrzymałość.

Nakoniec z poza gontyny ukazał się wieszcz Boguchwał. Szedł on wolno opierając się na długiej, zakrzywionej u góry lasce, ubrany w długie białe, lniane szaty i postoły lipowe. Wielka siwa broda spadała mu na piersi, a powaga i spokój rozlany na bladej, pooranej zmarszczkami twarzy, chód wolny, wieniec z jemioły i liści dębowych na głowie, nadawał mu wyraz jakiejś świętości. Waligóra, gdy go ujrzał, podszedł parę kroków i pokornie pochylił mu się kołpakiem do nóg i objął oburącz te nogi.

— Z Bogiem wojewodo! — rzekł Boguchwał — z czem przyszliście i co to za mąż?

Mówiąc to, wskazał oczyma Ottona.

— Z poselstwem przyszedł od Niemców — odparł Waligóra i obracając się do rycerza, rzekł:

— Mówcież z czemeście przyszli.

Więc Otto wyprostował się, podniósł w górę głowę i opierając się z powagą na mieczu, począł głosem napuszonym i dumnym:

— Jam jest rycerz Otto i idę z ziemi Wilinów.

— A czego ty od nas chcesz? — spytał drżącym głosem Boguchwał.

– Mój suzeren, margraf Wigman, potężny margraf Wigman, wielki przyjaciel Słowian, sprzymierzyniec Wilinów, szle wam przez usta moje pozdrowienie.

Boguchwał skinął milcząc głową, a Otton prawił dalej; jako Wigman zasmucił się tem wielce, że król Mieszko dawne bogi i dawny obyczaj tępi, że na zatracenie lud swój wiedzie, że kapłanów czeskich sprowadza którzy chrzczą Polaków i nowego Boga wprowadzają.

— Jać nie znam Wigmana — odrzekł na to Boguchwał — ale powiedzcie mi rycerzu, czy on chrześcijaninem jest?

— Tak.

— A więc miasto smucić się, cieszyć się on powinien, że Mieszko do nas niemieckiego wprowadza Boga.

— Cieszyłby się — odparł na to nieco zakłopotany Otton — gdyby nowa wiara sama wchodziła do tej ziemi, gdyby opornych nie tępiono mieczem i nie zmuszano gwałtem do jej przyjęcia. Ale mój suzeren, potężny margraf Wigman, krwawemi łzami płacze, widząc jak Mieszko morduje jego przyjaciół.

— Hm! — mruknął Boguchwał — i czegoż od nas chce margraf Wigman?

— Przysyła wam przeze mnie słowa przymie-

rza i pomocy. Jeżeli chcecie, wkroczy on na czele swych wojowników, których jest jako piasku w morzu, pobije Mieszka i przywróci dawny obyczaj i bogi dawne. I nastaną znów dnie szczęśliwości, jako przedtem było.

— Hm! hm! — mruczał Boguchwał.

— Mój suzeren, potężny margraf Wigman, dowiedział się, że we dworcu poznańskim Mieszka gotują wielką wyprawę na waszą gontynę, na gontynę wszechwiedzącego bożka Lelum-Polelum.

— Na naszą gontynę? — zawołał z przerażeniem kapłan i załamał chude ręce. — Nie darmoż jelita jagnięcia niedolę mi dziś zwiastowały!

Obrócił się twarzą ku drzwiom gontyny, pochylił siwą głowę i wołał żałośnie:

— O Lelum-Polelum! przeczże ty masz ustąpić niemieckiemu Bogu?

— Tak — zawołał mocnym głosem Otton, podnosząc rękę do góry — tak! nim miesiąc trzy razy zagaśnie i trzy razy zapłonie, tutaj, w tem miejscu śladu nie będzie waszego chramu. Spalą go i zburzą, bożka powloką do wody i utopią, lub młotami rozbiją na szczątki. O Boguchwale! dozwoliszże, by dawne bogi i dawny obyczaj Mieszko tak tępił? Mój suzeren potężny margraf Wigman, gotów jest dać wam pomoc i obronę, a przed mieczem i łukiem niemieckim nic się nie ostoi. Pobijemy Mieszka i ścigać go mieczami będziemy aż do Poznania, aż do Gniezna i za Gnie-

zno jeszcze. Zwołaj wojewodów i kmieciów na wiec i zawrzyjcie z nami przynierze, przysięgnijcie na ziemię i wodę.

Boguchwał stał wciąż zwrócony twarzą ku gontynie i milczał. Po chwili dopiero rzekł:

— Dobrze. Spocznijcie za częstokołem, Waligóro i rycerzu. Ja rozeszlę wici na wiec.

IV.

Wiec kmiecy.

Zaraz potem rozbiegło się w cztery strony świata czterech młodych parobków, niosąc w rękach pęki wici. Wici te były proste, leszczynowe gałązki i według dawnego obyczaju znaczyły, żeby kmiecie i wojewodowie schodzili się na wiec.

Waligórę i Ottona z obejścia gontyny wyprowadził Zbiszek za częstokół i tam ległszy na murawie, spoczywali. Dzień się robił gorący i cichy. Zbiszek przyniósł trochę piwa i ćwierć cielaka, którą parobcy piekli na ogniu: inni poszli na bagna, za górą gontyny rozciągające się, by łowić węgorze. Jakoż przynieśli ich wkrótce kilka, pozawieszali na drzewach i skórę z nich zdzierali. Węgorze były duże i tłuste i Waligóra patrząc na to, napędzał parobków, by je prędko piekli i ślinkę połykał. Otton, leżąc na murawie z gołą głową, mówił:

— Byle jeno prędko zeszli się kmiecie na wiec. Mnie już czas wracać do mego suzerena, potężnego margrafa Wigmana.

— Będziesz na czas, czego się masz śpieszyć? — odrzekł na to Waligóra — albo ci tu źle?

— Jak myślicie, wojewodo, — spytał rycerz, przysuwając się bliżej do Waligóry — czy kmiecie zgodzą się na sojusz z potężnym margrafem Wigmanem, a moim suzerenem?

— Czy ja wiem? I wiesz co, Niemcze, żeby tak na mnie, to...

— To co?

— Tobym nie chciał tego sojuszu. Niemiec zawsze zdradą śmierdzi. Co tam król Mieszko! może i potopi bogi i gontynę zwali, ale to zawsze swój a nie Niemiec.

— Głupstwa gadasz, wojewodo, wierutne głupstwa! — zawołał rycerz, podnosząc się i siadając na murawie. Jaka tu może być zdrada? Idź, spytaj Wilinów, czy nie kochają potężnego margrafa Wigmana, a mego suzerena, czy nie czczą dawnych bogów i nie zachowują dawnych obyczajów? Co zaś do króla Mieszka, to powiem ci, że nie wiesz, co on czyni, gdy mu kto jest oporny. Wolnych wojewodów i kmieci w niewolników zamienia i pędzi na dalekie pustynie, by mu lasy karczowali, rolę uprawiali i daninę składali.

— Hm! może to być, ale ja zawsze niemieckiej zdrady się boję, bo to...

Nie skończył, bo właśnie przyniesiono na liściu łopuchu upieczonego węgorza i zaraz się do niego zabrał łakomie. Rycerz Otton pogardliwie ruszył ra-

mionami, położył się na wznak na miękkiej murawie i wpatrzył w jasny błękit niebieski, po którym przesuwało się kilka bladych, puszystych obłoczków.

Pod wieczór poczęli się powoli zjeżdżać i schodzić kmiecie na wiec. Wszyscy rozkładali się na murawie, pod częstokołem, niektórzy nawet szałasy budowali, bo noce były chłodne, a w tej bagnistej okolicy niezdrowe. Jakoż ledwie słońce zaszło za bory, gdy z bagien podniosła się szara, mętna mgła i leniwie rozwłóczyła się po lesie i po wzgórzu i powoli ogarnęła całą gontynę. Z zapadającym mrokiem zerwał się też wiatr lekki, ale nie przenikając do gąszczu leśnego, smagał tylko szczyty wyniosłych drzew. Ptactwo ucichło, żaby jeno rechotały na oparzeliskach i gdzies w głębi boru hukał kiedyniekiedy puszczyk ponuro.

Parobcy Waligóry i innych kmieci, przybyłych na wiec, porozkładali wielkie ogniska i grzali się przy nich, bo zimno stawało się coraz przenikliwszem i coraz wilgotniejszem. We mgle, która gęstniała powoli i jak białą płachtą otulała sobą całą okolicę, ogniska te migotały się krwawo i ludzie przy nich wyglądali jak cienie. Niektórzy wracali z boru niosąc zwierzynę i piekli ją przy ogniu, inni śpiewali pieśni, a przy jednym z ognisk stary jakiś gęślarz na gęśli brzdąkał smutnie. Do Waligóry przychodzili niektórzy i gwarzyli z nim spoglądając z ukosa na Ottona, który otuliwszy się

w płaszcz, spał a może udawał śpiącego, na murawie. Ten i ów przepytywał się wojewody, poco Boguchwał zwołuje wiec, ale Waligóra nie chciał mówić.

— Czy ja wiem?... zobaczycie jutro.

Gdy jednak bardzo nalegali na niego, przyznał się, że Niemiec co tam śpi, przyjechał w poselstwie od jakiegoś wojewody niemieckiego i podobno na wojnę się zanosi.

— Z kimże wojować mamy? — pytano.

— Nie wiem... skądże mam wiedzieć?

— A czemuż Niemiec do Poznania nie pojechał, jeno tutaj?

— Czy ja wiem!

Przez całą noc zjeżdżali się kmiecie i o switaniu, gdy ponad bór trysły promienie złotego słońca, koło gontyny znalazło się już blizko ośmdziesięciu wiecowników. Wszyscy byli w szarych świtkach lub kożuchach, przewiązanych nieraz prostem powrósłem słomianem, w kołpakach futrzanych lub wścieklicach baranich na głowach, w postołach lipowych, wszyscy opaleni, zaróśli, jasnowłosi. Uzbrojeni byli rozmaicie. Jedni mieli łuki na sobie i kołczany pełne strzał, inni miecze, inni topory. Większość jednak dźwigała ciężkie maczugi, krzemieniami nabijane i siekiery kamienne. Niektórzy przyjeżdżali konno z kilku parobkami uzbrojonymi, inni wlekli się pieszo, sami jedni z łykowemi na plecach kobiałkami, w których było nieco podpło-

myków, garsteczka soli i krajanka sera. Zaroił się cały las dokoła gontyny ludźmi i końmi, brzmiał gwarem i śpiewami. Gdy słońce weszło, rozpędziło mgły nocne i ozłociło promieniami szczyty dachu gontyny, gdy gołębie unosiły się znów pod błękit i ptactwo świergotem napełniło posępny szmer lasu, w szerokiem tem obozowisku gwar i ruch się wzmógł. Wszędzie rozpalano ogniska, grzano się przy nich, pieczono ryby i zwierzynę, nawoływano się wzajemnie. Rycerz Otto wstał też ze swego nocnego legowiska, przeciągnął się, ziewnął i zrobiwszy znak krzyża na piersi, modlił się cichym szeptem:

— *Vater unser, der Du bist im Himmel*...

Gdy Niemiec skończył modły, oparł się oburącz na mieczu i ciekawie się przypatrywał niezwykłemu i malowniczemu obrazowi, jaki się przed nim roztaczał. Waligóra zato siedział, jak mruk przy ognisku, wpatrzony w czerwone jego płomienie i pochłaniał łakomie resztki węgorzy wczoraj schwytanych.

Kmiecie tymczasem ciągle przybywali pieszo i konno, jak kto mógł. Zebrało się ich ogółem przeszło stu.

Słońce już było dość wysoko i poczęło nawet dogrzewać na wzgórzu nieosłonionem drzewami, gdy z trzaskiem rozwarła się brama w częstokole i ukazał się Zbiszek, odświętnie ubrany. Miał więc na głowie bobrowy kołpak z czaplem piórem, a na sobie żupan modny z niemieckiego sukna i przy

pasie piękny toporek kamienny. Stanął na wzgórzu, zdjął kołpak, pokłonił się nizko i głosem donośnym począł wołać;

— Przezacni wojewodowie i kmiecie, raczcie wejść do obejścia gontyny wszechwiedzącego boga Lelum-Polelum. Boguchwał was oczekuje.

Na te słowa ruch zrobił się wielki w obozowisku. Wszyscy zerwali się, poprawili na sobie broń i szaty i szli ku bramie częstokołu. Wstał i Waligóra, strząsnął z brody resztki jadła i obróciwszy się do Ottona, rzekł:

— Chodźcie rycerzu!

Rycerz poprawił hełm na głowie i brzęcząc mieczem i ostrogami, szedł dumny i wyprostowany. a wszyscy mu się ciekawie przypatrywali i usuwali z drogi. Na dziedzińcu gontyny stało kilka ław z prostych desek zbitych i pod dębem świętym, przy ofiarnym kamieniu leżały dwa cielaki białe związane, przeznaczone na krwawą ofiarę. Cisza tu była zupełna, jeno gołębie na dachu gruchały, pszczoły koło lip brzęczały i kilkanaście barwnych motyli przebiegało wśród jasnych, słonecznych promieni. Drzwi od gontyny były naścieżż otwarte i widać było jej ciemne wnętrze, słabo oświecone kagańcem, gorejącym przed bałwanem bożka Lelum-Polelum.

Wszyscy wchodzący zdejmowali pokornie kołpaki, wielu padało na kolana, jeszcze inni pełzali plackiem leżąc ku świątyni, bijąc czołem pokłony. Niektórzy wydobywali z kobiałki ofiary, jaja, ser,

masło, plastry miodu; za wojewodami nieśli parobcy snopy pszeniczne, zarżnięte kury lub jagnięta, i wszystko to składano pod świętym dębem, lub na ganku gontyny. Wielu złożywszy swe ofiary, szło do wnętrza chramu i z jękiem lub westchnieniami czci, padało na twarz przed bożkiem.

Bożek ten, wszechwiedzący Lelum-Polelum, wznosił się na samym środku gontyny i sięgał aż do jej pułapu. Zrobiony on był dość niezgrabnie z drzewa i stał na podstawie drewnianej, pomalowanej w barwy zielone i czerwone. Miał dwie głowy i cztery ręce; twarze okropne w swej dzikości, jaskrawo ubarwione o świecących oczach, które szczególne wrażenie robiły na lud. Oczy te były ze szkła, rzeczy prawie nieznanej ówczesnej Słowiańszczyźnie, i wyglądały jak żywe. Te to oczy sprawiały głównie, że bożek Lelum-Polelum cieszył się tak powszechną sławą i taką czcią był otoczony. U jego stóp gorzał wielki kaganiec i w ciemnej zupełnie świątyni rzucał niepewne, migotliwe światło, którego nagle podnoszące się i gasnące połyski, czyniły straszniejszem, bardziej tajemniczem całe otoczenie. Panowała tu zupełna cisza i zpoza bożka unosiły się kłęby dymu wonnego z jałowca, który wieszczkowie palili. Dym ten otaczał bałwana i dodawał uroku świątyni.

Gdy już wszyscy wiecownicy zeszli się na dziedziniec gontyny, ukazał się w jej drzwiach Boguchwał, w towarzystwie kilku innych, młodszych

wieszczków. Jak zwykle ubrany był w długie, białe szaty lniane, w postoły lipowe i wieniec z liści dębowych i jemioły na głowie. Szedł wolno, z głową spuszczoną, dzierżąc w ręku duży nóż kamienny, przeznaczony do zabijania ofiar.

Wielka cisza zaległa teraz całe obejście gontyny. Wszyscy przed uroczystą procesyą wieszczów kornie pochylili głowy, nawet rycerz niemiecki zdjął hełm i zdawał się być przejęty ważnością obrządku. Gdy Boguchwał zbliżył się do świętego dębu i kamienia ofiarnego, Zbiszek porwał szybko jedno z cieląt i położył je na tym kamieniu. Wtedy Boguchwał podniósł do góry swój zielonawy nóż i rzekł głosem poważnym:

— Wojewodowie, kmiecie i mężowie wiecowi! Nim rozpoczniemy naradę, uczyńmy wprzód bogu ofiarę i wieszczbę wywróżmy.

Rzekłszy to, podniósł swój nóż i utopił go w sercu cielęcia. Zaraz też zbliżyli się inni wieszczkowie i Zbiszek, drgające jeszcze cielę dobili, rozroztworzyli mu brzuch i wnętrzności jego wydobywając na wierzch, podali Boguchwałowi. Ten pilnie je rozpatrywał i twarz jego wyrażająca dotąd poważną zadumę, nagle się rozjaśniła. Zwrócił się do otaczających go kmieci rzekł:

— Szczęśliwa wróżba. Lelum-Polelum zapowiada nam powodzenie w naszych przedsięwzięciach. Cieszmy się, mężowie, i czyńmy bogu objaty.

Tedy inni wieszczkowie zabijali inne zwierzęta,

jakoto: świnie i jagnięta, kury i gołębie. Krew obficie płynęła i czerwieniła cały kamień. Wonią jej zwabione gromady kruków i wron, unosiły się z głośnem krakaniem ponad gontyną. Ciała zabitych zwierząt oddawano czeladzi, która je niosła za częstokół gontyny, tam obdzierała ze skór, oporządzała i piekła na ucztę, jaka się dawnym obyczajem po skończonym wiecu odbyć miała.

Po krwawej ofierze Boguchwał ze swymi udał się do gontyny i za nim pojedyńczo lub parami wchodzili kmiecie i pokłon czynili strasznemu bożkowi Lelum-Polelum. Wielu padało na ziemię i wlokło się tak, pełzając ku podstawie bałwana, którą całowali z pokorą. W gontynie panował ciągle tajemniczy mrok i zpoza bożka unosiły się kłęby wonnego dymu jałowcowego z domieszką wiśniowej żywicy, co wszystko odurzająco wpływało na proste umysły i prostsze jeszcze serca kmiece.

Gdy się to skończyło, co zresztą dość długo trwało, bo każdy chciał się pokłonić strasznemu bałwanowi, słońce już było dość wysoko i dogrzewało mocno. Kamień ofiarny obmyto ze krwi, zpoza częstokołu dochodził wesoły gwar czeladzi i woni piekącego się mięsiwa, kruki wciąż złowieszczo krakały, unosząc się nad gontyną i szukając zdobyczy. Chroniąc się przed słońcem, kmiecie pokładli się w cieniu pod lipami, czekając aż Boguchwał się zjawi i zagai wiec. Jeden tylko Otton stał na ścieżce nieruchomy, na widoku wszystkich, w po-



stawie dumnej i zuchwałej, oparty na mieczu, ze zbroją na piersi, z hełmem na głowie, w którego polerowanej powierzchni przeglądało się majowe, polskie słońce. Kmiecie przypatrywali mu się ciekawie i z poszanowaniem.

Nakoniec zjawił się Boguchwał, zawsze ze swą zakrzywioną laską i wieńcem zielonym na głowie i zagaił wiec. Gdy mówił, wielka cisza panowała wśród zgromadzonych, z boru tylko dochodził szum poważny i melancholijny drzew i gruchanie gołębi na dachu. Boguchwał przedstawił w krótkich słowach powody, dla których zwołał wiec i okazał im posła niemieckiego.

— Radźcież teraz, wojewodowie, kmiecie i gospodarze, by osłonić tę gontynę i wszechwiedzącego Lelum-Polelum od grożącego mu niebezpieczeństwa.

Tak skończył Boguchwał. Wtedy wystąpił naprzód Otton, brzęcząc mieczem i ostrogami i stanąwszy w dumnej postawie, począł mówić:

— Przezacni wojewodowie, kmiecie, i gospodarze! Mój suzeren i pan, potężny margraf Wigman, ofiaruje wam swe przymierze przeciw królowi Mieszkowi, który nową wiarę wprowadza, burzy odwieczne gontyny, wycina święte dęby, kruszy bałwany, daniny nakłada i niszczy dawną słowiańską swobodę. Mój suzeren i pan, potężny margraf Wigman, wkroczy do tej ziemi na czele niezliczonych wojaków i tępić będzie wojaków Mieszka. Żąda tylko byście przewodników dali, żywność dla koni i lu-

dzi przygotowali i przyjmowali go jako sprzymierzeńca i przyjaciela.

To rzekłszy, obrzucił wzrokiem obecnych, umilkł i znów w postawie dumnej oparł się na mieczu. Tedy podniósł się gwar wielki, wszyscy poczęli mówić, pozrywali się z murawy, dobiegali do siebie, radzili, krzyczeli, obstąpili Boguchwała i Ottona, dopytywali się o szczegóły. Kiedyniekiedy rozlegały się okrzyki:

— Idźmy na Mieszka, niech przepadnie, niech szczeźnie ze swą nową wiarą!

Inni znowu wołali:

— Niech zginą Niemcy! nie chcemy sojuszu z Niemcami!

Gdy wrzawa ta dość długo trwała, nagle na ławie ukazał się mąż wielkiego wzrostu, z jasną jak len brodą, w kołpaku rysim, zpod którego pot kroplami spływał mu na czoło, i rzekł;

— Posłuchajcie mnie wojewodowie i kmiecie! Ja mam, jako wiecie, gródek o dwa dni drogi od Poznania i wiem, co się tam święci. Przyszły teraz takie czasy, że przepadnie nasza dawna swoboda i bogi nasze dawne. Mieszko tępi wszystko mieczem. Radzę tedy sojusz zawrzeć z Wigmanem, zaprzysiądz na sól i na ziemię świętą, przyjaźń wieczystą i bronić się do upadłego. Kto nie posłucha tej rady, tego dawnym obyczajem kijami zmusimy do zgody.

— Dobrze mówi Wiesław, dobrze mówi! Przymierze zawrzyjmy z Wigmanem! — poczęto wołać.

Ten i ów chciał się temu opierać, ale pogrożono im kijami i umilkli. Zaraz też poczęto się rozchodzić, bo smakowita woń pieczystego wabiła do siebie; tylko Boguchwał, Waligóra i Wiesław, zebrawszy się koło Ottona, układać się poczęli, jako i co czynić należy. Reszta wybiegła z obejścia gontyny i przy wesołych okrzykach i śpiewach radosnych, zabrała się do obfitej, a tak rzadkiej w tych czasach ciągłego głodu i ubóstwa, uczty.

V.

Mlada.

Nazajutrz koło południa wrócił Waligóra z Ottonem do swego gródka i zaraz zapowiedział swoim junakom, by gotowali strzały, ryby łowili i suszyli je, oraz że za kilka dni wyprawią się wszyscy w głąb puszczy na polowanie. Otton odpocząwszy sobie nieco, na drugi dzień świtaniem puścił się z powrotem w drogę, w towarzystwie Żubra i paru parobków.

Wszystkie te przygotowania nie uszły oka Czeszki, zwanej Mlada. Jakkolwiek Waligóra nie mówił wcale o tem, z czem wrócił z wiecu, przecież Mlada domyśliła się, że postanowiono pomagać Niemcom i wojować z Mieszkiem. To ją przerażało; dokuczył jej zresztą do żywego pobyt w tej dzikiej puszczy i wśród dzikich ludzi. A przytem jako chrześcianka i silnie przywiązana do swej wiary, drżała na samę myśl, że wspaniałe dzieło jej pani, Dąbrówki, runąć może pod ciosami dzikich bałwochwalców i dzikszych jeszcze Niemców.

Jej młoda i gorąca dusza wstrząsała się do głębi, gdy pomyślała sobie, że w miejsce krzyżów, tak niedawno błyszczących na ziemi polskiej, ukazać się znów mogą potworne bałwany, w miejsce kościołów, gontyny. Czyż ona może na to patrzeć obojętnie? czyż zniesie to? czy nie powinna uwiadomić o wszystkiem Dąbrówki?

Uwiadomić! ale jak? Nie wie gdzie Poznań i jak daleko do niego, dokąd jechać, którędy się udać. Otaczała ją przecież ogromna puszcza, pełna nieprzebytych gąszczów, pełna zwierza dzikiego. Znajduje się w kraju obcym sobie, nieznanym, źle nawet mówi po polsku, czyż więc może co poradzić na to nieszczęście, jakie grozi nowej wierze? A zdawało jej się, w jej umyśle rozgorączkowanym niewolą i smutkiem, że niebezpieczeństwo jest bardzo wielkie i bardzo poważne. Wyobrażała sobie, jak wkroczą w puszczę niepostrzeżenie, niezliczone zastępy rycerzy niemieckich, których dobrze znała z napadów na jej czeską ojczyznę, jak pomkną się nieznacznie aż pod sam Poznań, wytępią wszystko ogniem i mieczem, zdobędą gród, wezmą do niewoli, może samego króla i królowę Dąbrówkę, wprzód nim ci się spostrzegą.

Nie! tak być nie może. Ona, Mlada, musi ostrzec o bliskiej napaści niemieckiej króla i królową, musi ocalić wątły jeszcze szczep wiary chrześciańskiej w Polsce. Bóg jej to nagrodzi, Bóg ją poprowadzi, Bóg jej doda mocy, Bóg wskaże

jej drogę do poznania, przez rozległe puszcze, przez dziesięć rzek i dziesięć gór. A jeżeli ona umrze, jeżeli zginie w borze, jesli zwierz ją dziki pożre, to będzie to męczeństwo za wiarę, męczeństwo za które ją czeka szczytna w niebiosach nagroda.

Myśl ta powoli dojrzewała w głowie młodej dziewczyny, utwierdzała się, wzmacniała. Nieznacznie poczęła się zaopatrywać w to wszystko, co uważała za potrzebne do dalekiej i pełnej niebezpieczeństw podróży. Śpieszyła się z tem jednak bardzo, gdyż postanowiła uciec z gródka w dniu, w którym Waligóra wyprawi się na polowanie do puszczy. Z pomiędzy łuków, znajdujących się w chacie Waligóry, wybrała jeden nie wielki, ale giętki i dalekonośny i ukryła go dobrze wraz z pękiem strzał.

Z pomiędzy koni, zdobytych na kupcach niemieckich upatrzyła sobie jednego, niewielkiego, ale wytrwałego mierzynka, myszatej maści, na którym postanowiła odbyć tę daleką podróż. Wieczorami nieznacznie przepytywała się parobków o drogę do Poznania i dowiedziała się przynajmniej tyle, że jadąc przez dwa dni i dwie noce ciągle na wschód słońca, w końcu wydobędzie się z puszczy i wjedzie w kraj ludny i bogaty, skąd już niedaleko jest do grodu króla Mieszka. Cichaczem ukryła nieco podpłomyków, ryb suszonych i soli. Z tymi zapasami, z łukiem jako uzbrojenie i z szeregiem niepewnych i niejasnych wiadomości

o drodze, oczekiwała ze drżeniem chwili, w której Waligóra ruszy na polowanie. Wiedziała, że w gródku zostanie jedynie stary i na pół już niedołężny Sobiesław i parę kobiet niemniej starych. Lękała się tylko, by parobcy wyruszając na polowanie nie wzięli ze sobą myszatego mierzynka, ale z uwagi, że koni od czasu napaści na kupców niemieckich było dość w gródku, i że na mierzynku nikt nie jeździ, przypuszczała, że go zostawią. Tak krzepiąc duszę, modląc się ciągle, czekała stanowczej chwili.

W przeddzień, wśród przygotowań jakie czynił Waligóra i jego parobcy do jutrzejszego polowania, wyszukała sobie łykowej kobiałki, w której starannie upakowała swe podpłomyki, ryby suszone, sól i serek. To były jej zapasy żywności. Mówiła sobie, że one starczyć jej powinny co najmniej na dwa dni, a obliczając całą drogę na cztery dni, sądziła, że przy tem co jej puszcza dać może w zwierzynie, ptastwie i świeżych rybach, wyżyje doskonale. Z tem wszystkiem przed stanowczym dniem ogarnął biedną dziewczynę ogromny niepokój, bała się, czy kto się nie domyśla jej zamiaru; serce jej biło i całą noc prawie spać nie mogła.

Nazajutrz ledwie świt zarumienił niebo gdzieś tam daleko za górami i lasami, ruch ogromny zapanował w ogródku. Parobcy powstawali, przygotowywali konie, zbroili się, psy spędzali i wiązali

na smycz konopną. Gwar był wielki i zamieszanie jeszcze większe. Wszyscy krzyczeli, konie rżały psy ujadały i skowyczały. Waligóra wyszedł na dziedziniec z chaty i chrapliwym, donośnym głosem wydawał rozkazy. Poranek był chłodny bardzo i po puszczy włóczyły się mgły białe i wilgotne. Smutek, charakteryzujący zawsze budzący się dzień leżał w naturze. Wiatr zrywający się zawsze o świcie, szumiał żałośnie po szczytach drzew boru i przynosił dalekie krzyki żórawi lub ponure krakanie wron lecących na żer z nocnego legowiska.

Mlada także wysunęła się na dziedziniec, otulona w kożuszek, drżąca nie tyle z zimna, ile z trwogi, którą przejmowała ją myśl, że nadszedł ostateczny czas wykonania postanowienia. Wszystko już miała gotowe i czekała tylko wyruszenia Waligóry z parobkami, by samej puścić się w daleką i pełną niebezpieczeństw drogę. Z obawą patrzała, czy który z parobków nie weźmie mierzynka, ale na szczęście spostrzegła, że stoi on spokojnie, między innemi końmi, których nie miano użyć, pod szopą i zajada smacznie siano.

Nakoniec poczęto siadać na koń. Waligóra skoczył na pięknego, białego rumaka i krzycząc by się śpieszono, spostrzegł Mladę i jedną ze starych niewiast i zawołał do niej:

— Hej, Miła, pilnujcie mi tu gródka jak oka w głowie. Mlada! gdyby, czego Boże broń, jakie

niebezpieczeństwo wam groziło, zapalcie stóg siana na znak i same w bór uciekajcie. My będziemy niedaleko i z pomocą pośpieszymy.

Zamyślił się czegoś i dodał:

— Mlada, trzeba żebyś niekiedy zwiedzała okolicę gródka. Weź sobie konia i milkę lub dwie przejedź się. My może wrócimy aż za tydzień. Na ostrożności się więc mieć trzeba. Kto wie co się może przydarzyć.

— Jakże będę jeździła po puszczy, nie mając broni? — spytała Mlada.

— Broni? twoja prawda. Łuk weź sobie z chaty, a topór da ci Miła. Wie gdzie jest. No, Bóg z wami. W drogę!

Spiął konia ostrogami i w szczupakach wypadł za częstokół, a za nim wypadli inni z gwarem, hałasem i trzaskiem.

Mlada odetchnęła uszczęśliwiona. Już teraz nie będzie potrzebowała ukrywać się ze swym wyjazdem, uciekać jak złodziej, ale może spokojnie i otwarcie opuścić gródek. Ucieszona była tem niezmiernie.

— Bóg widocznie mi sprzyja! Bóg popiera dobrą sprawę! — wołała.

I w uniesieniu radości, podczas gdy inne kobiety poszły aż do bramy patrzeć za odjeżdżającymi, wbiegła do chaty, wydobyła z za stanika krzyżyk i klęcząc, całowała go i dziękowała Bogu.

Uspokoiwszy się postanowiła nie zaraz, jak to pierwotnie zamierzała, opuszczać gródek dla niewzbudzenia podejrzenia, ale dopiero po obiedzie, po południu wyruszyć. Myśliwcy, jak to zauważyła, udali się w stronę północną puszczy, gdzie jak mówili są duże wody, wielkie bagna, pełne ryb i ptactwa wszelkiego rodzaju. Tym sposobem sama jadąc na wschód, nie potrzebowała się obawiać spotkania z nimi.

Wesoła i swobodna przepędziła czas do południa. W cichości zarznęła dwie kury i za częstokołem ubiła strzałami kilka kwiczołów, których mnóstwo znajdowało się koło gródka, gdyż gęsto rósł tam jałowiec. To zwiększyło jej zapasy żywności. W południe zjadła obiad, mleko z kaszą, i rzekła do Miłej:

— Miła, dajcie mi topór Waligóry, pojadę na zwiady.

Miła, stara, zaschnięta baba, brzydka jak nieszczęście, spojrzała z pode łba na dziewczynę i mruknęła:

— Kazał Waligóra, to ci dam, ale lepiejbyś pono zrobiła, gdybyś siedziała doma, kiedy ci dobrze.

Mlada, nie chcąc rozdrażniać starej, nic na to nie odrzekła. Wzięła kamienny topór, przypasała go do bioder na sznurku, zarzuciła łuk i kołczan na plecy, kobiałkę z żywnością przytroczyła do konia i oklep sama go dosiadła. Za chwilę, nie

zważając już na mruczenie Miłej, znalazła się za gródkiem i pierwszą lepszą drożyną, prowadzącą na wschód, puściła się wyciągniętym kłusem. Mierzynek wypoczęty i dobrze nakarmiony czesał po suchej i twardej drodze żwawo, a Mlada kładła na piersi znak krzyża świętego i szeptała:

— Boże wielki, miej mię w Swej opiece!

A mierzynek tymczasem rwał naprzód i parskał radośnie. Dzień był gorący, choć tutaj w puszczy, pod koroną olbrzymich dębów, jaworów, modrzewi i świerków, leżał ciemny, wilgotny cień i chłodził zbytni upał. Bór szumiał gdzieś tam u góry swą melancholijną pieśń codzienną, gdzieś w głębi, w jakimś kącie, do którego dostały się złociste słoneczne promienie, skwarzyła się żywica drzewna i od niej szła po lesie woń i zapach silny. Gdzieniegdzie w zabłąkanym aż na murawę blasku słonecznym uwijało się tysiące muszek, barwnych motyli, trzmieli z żółtymi na tułowie paskami. Cały bór wrzał cichem, sennem, nieuchwytnem, a przecież olbrzymiem, szerokiem życiem. Kukułka kukała, dzięcioł tłukł się o pustą dziuplę w drzewie, ptactwo świergotało i żórawie brzydko krzyczały. Kiedy niekiedy, gdy Mlada podniosła ku górze swą złocistą główkę, dostrzegała wówczas ponad szczytami stuletnich jaworów i olch, kawałek szafirowego błękitu, a na nim, niby plamka szara wiszącego orła lub sokoła. Niekiedy znowu koń jej się szarpnął, zatrzymał,

uskoczył w bok z najeżoną grzywą i głośnem chrapaniem, bo właśnie na ścieżce, na piasku, na słońcu grzała się długa żmija szara, że świecącemi jak iskry oczami i z podobnym do ostrza strzały językiem. Płaz podnosił się do połowy, kręcił na wszystkie strony głową i syczał głośno. Mlada wstrząsała się na ten widok i popędzając konia, uciekała szybko od żmii oburzonej, że jej ktoś senny przerwał spoczynek.

Czasami na wązkiej drożynie napotykała stojącą młodą sarnę, zwinną i zręczną, która na widok rzadkiego gościa w tych odwiecznych, drzemiących borach, zatrzymywała się i topiła swe duże, łzawe oczy w błękitnych oczach dziewczyny. Potem przerażona tętentem konia, przesadzała jednym skokiem krzaki i nikła w ciemnościach puszczy.

Odgłos pędzącego konia rozlegał się daleko po lesie, odbijał się od buków do świerków, od świerków do jodeł, i ginął niepochwytnem echem, gdzieś w mrocznej dali. Z drzew zrywały się kruki i wrony i kracząc głośno, uciekały ciężkim, kołyszącym się lotem; niekiedy z błękitu w senny gwar puszczy wpadał krzyk orła lub kani upatrującej zdobyczy. Małe, pstrokate, żywo ubarwione sikorki czepiały się gałązek ponad drogą, i chwiejąc szybko zgrabnym ogonkiem, ścigały oczyma jadącą dziewczynę. Wróble gromadami przeskakiwały z drzewa na drzewo i świergotem wesołym

napełniało ten szemrzący tysiącem odgłosów bór stary. Na moczarach gdzieś krzyczały żórawie, derkacz huczał ponuro i czaple z wyciągniętą białą szyją unosiły się wśród niezamąconego szafiru dnia letniego. Upajająca woń żywicy i bujnej roślinności drżała wśród lasu. Słońce niekiedy przedarłszy się przez zbite korony drzew, zapalało na złotych włosach dziewczyny oślepiające blaski. Zresztą poza dzikiem, pierwotnem nieco życiem boru, poza tysiącem odgłosów przyrody, leżała ta poważna, melancholijna cisza, która odurzała podróżną.

Jechała ona, ciągle starając się mieć słońce za sobą, a ona i kon rzucali przed siebie coraz dłuższy cień. Kilka czerwonych wiewiórek żwawo przeskakujących z gałęzi na gałąź, towarzyszyło jej jakiś czas, a potem zagłębiły się w puszczę. Powoli słońce schowało się za konary dzew, których tylko szczyty gorzały czerwienią i złotem, i las począł otulać się w mrok posępny. Wraz z tym mrokiem życie tak bujne, tak wesołe przed chwilą, cichło powoli i wiatr się wzmagał, jęcząc ponad borem żałośliwie. Drożyna stawała się coraz węższą, tak, że Młada musiała zwolnić biegu konia, bo gałęzie drzew smagały ją po twarzy nielitościwie Przytem dziewczyna zauważyła, że droga dotąd pokryta twardą, zeschłą gliną, lub piaskiem, teraz porosła była gęstą murawą, co dowodziło, że mało była uczęszczana i prawdo-

podobnie nigdzie nie prowadziła. Powoli, wraz z szybko zapadającą nocą, począł strach zabobonny ogarniać dziewczynę. Przypomniała sobie baśnie o strzygach, jędzach, zmorach i boginkach, błądzących nocami po wielkich borach, i dreszcz ją na tę myśl ogarniał. Ale zaraz żegnała się i całowała krzyżyk na piersiach i szeptała odwieczną modlitwę chrześcijańską: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech.“

Modlitwa ta krzepiła ją trochę, i gdy noc zupełna zapadła i mierzynek był mocno zmęczony, zatrzymała się, ciągle przarażona tą nocą ciemną i tymi ponurymi odgłosami, jakie rozlegały się teraz w puszczy. Zjechawszy trochę w bok, w gęstwinę leśną, zsiadła z konia, zebrała trochę chróstu, skrzesała ognia i przy gorejącem tem ognisku legła znużona i drżąca na murawie.

VI.

Podróż po puszczy.

Straszną noc miała Mlada w lesie. Po borze tak ciemnym, że na trzy kroki przed sobą nic nie widziała, rozlegały się tysiączne, a jeden od drudrugiego dziksze i okropniejsze, odgłosy. Co chwila puszczyki hukały ponuro, co chwila rozlegały się jakieś jęki, jakieś wycia, ryk czasem napełniał puszczę całą i odbijał się echem niezliczoną ilość razy. Kiedyniekiedy szedł przez bór trzask, jak gdyby gromada dzikiego zwierza pędziła; dudnienie potężne, wrzawa niedająca się określić. Wiatr zerwał się pod wieczór i jęczał i piszczał między drzewami, jak potępieniec. Czasem znowu ptak jakiś wielki przebiegł nad ogniskiem, łopocząc w swe skrzydła olbrzymie. Ognisko paliło się słabo, gdyż gałęzie były nieco mokre i mgła włóczyła się po puszczy. Promienie krwawo oświecały sąsiednie drzewa i zwiększały jeszcze bardziej otaczające ciemności. Niekiedy mierzynek gryzący trawę, podnosił łeb i strzygł niespokojnie uszami,

co okropnie przerażało dziewczynę. Podnosiła się wtedy na nogi, chwytała za topór i patrzała przestraszonemi oczyma w czarną głębię leśną. Raz zdawało jej się, że widzi jakieś iskry błyszczące w ciemności — i pewną była, że to wilki lub rysie. Nic nie jadła. bo jeść nie mogła, nie spała wcale, lecz przemęczyła się noc całą, czuwając. Z jakąż radością witała szary świt, rozjaśniający nakoniec puszczę! jakże dziękowała Bogu, że ją ocalił, że jej pozwolił doczekać dnia!

Zaraz też w puszczy ucichły dzikie i tajemnicze odgłosy nocne. Powiała jakaś świeżość, jakaś rzeźwość po borze, słońce rozpędziło wilgotne, niezdrowe mgły, ptactwo wesołym świergotem powitało gwiazdę dzienną. Mlada uklękła przy gasnącem ognisku, pomodliła się szczerze i serdecznie.

Przedewszystkiem rozejrzała się dokoła. Znajdowała się w głębi boru, zarosłego sosnami i modrzewiem, podszytego bujną młodzieżą — i na wielkie zdziwienie i przerażenie spostrzegła, że zamiast mieć wschodzące słonce przed sobą, miała je z tyłu. Widocznie więc przez tę krótką chwilę, jaką jechała wczoraj już po zapadnięciu ciemności, zbiła się z właściwej drogi i zbłądziła. Teraz dopiero przyszła jej do głowy straszna myśl:

— A może ja tak będę błądziła po tej puszczy i nigdy może z niej nie wyjdę?...

Ogarnęła ją rozpacz, strach przed osamotnieniem, w jakiem się znajdowała, wśród tej przyrody, takiej olbrzymiej i takiej dzikiej. Ale odzyskała wkrótce spokój i energią. Dzień robił się coraz jaśniejszy i coraz weselszy. W całej puszczy wrzało nowe, bujne poetyczne życie. Na wschodzie, przez smutne igły modrzewi, przeglądało niebo, oblane purpurą i złotem i kukułki radośnie kukały po borze.

Przedewszystkiem trzeba było napoić konia, który stał smutny, nie jadł nic i rżał żałośnie. Mlada siadła na niego i puściła mu wodze. Koń żwawo ruszył naprzód i wkrótce dojechał do dużej, czarnej wody, porosłej sitowiem i pełnej ptactwa wodnego. Gdy pił chciwie odżywiający napój, Mlada nałożyła strzałę na łuk i ubiła kurkę wodną, którą z łatwością dostała.

Napoiwszy konia, ruszyła w puszczę z powrotem i o kilka stajań od stawu zatrzymała się. Postanowiła upiec sobie kurkę, bo teraz jeść się zachciało dziewczynie — i przespać się trochę po nocy bezsennej. Rozpaliła znowu ognisko, konia puściła na paszę, kurkę upiekła, osoliła i zjadła z podpłomykami, zabranymi z gródka Waligóry, bardzo smacznie. Potem, podłożywszy kożuszek pod głowę, zasnęła snem kamiennym, kołysana poważnym, melancholijnym szumem puszczy, szmerem tysiąca głosów, śpiewem ptactwa, kukaniem

kukułki, lekkim chłodzona wietrzykiem, co biegł śród drzew i konał gdzieś u stóp buków starych.

Obudził ją jakiś zabłąkany promień słońca, który padał jej prosto na twarz, a za nim zbiegło się mnóstwo dokuczliwych much i komarów, których w tej wilgotnej miejscowości była wielka ilość. Zerwała się na równe nogi, przetarła oczy i zdziwiła się, że tak długo spała. Słońce stało tuż nad jej głową, dopiekało mocno i widocznie było południe. Gorąco było nieznośne. Woń żywicy napełniała cały las, cichy teraz i senny pod palącymi promieniami słońca. Orły tylko jak zawsze, wieszały się śród błękitu.

Dziewczynie pić się chciało i mierzynka też trzeba było napoić, zresztą należało poczekać, aż słońce nieco pochyli się ku zachodowi, by wiedzieć w którą stronę się udać. Siadła więc znowu na konia i puściła się ku stawowi. Tu leżała martwa cisza. Wiatr tylko lekki falował ciemnemi wodami, nad któremi unosiły się różnobarwne jętki, wielkie czarne żuki grzały się na długich, płaskich liściach lilij wodnych; bocian długonogi włóczył się po szuwarach i żórawie krzykiem przerywały ciszę. W dali unosił się nad wodą sokół rybołów, biały cały i co chwila z szybkością strzały rzucał się na staw i porywał rybę, którą w locie pożerał.

To zwróciło uwagę Mlady. Widocznie staw jest rybny, a że miała jeszcze trochę czasu, pu-

ściła więc mierzynka na soczystą trawę, bujnie rosnącą koło wody, a sama ze sznurka i haczyka, jaki wzięła z gródka, urządziła sobie wędkę. Na ponętę nasadziła kawałek podpłomyka.

Jakoż ledwie wędkę zarzuciła, zaraz na nią schwytał się wielki złotołuski karp. Nie mało miała kłopotu, nim wydobyła go na brzeg, bo ryba rzucała się i szarpała. Wkrótce złowiła ośm ryb, różnego gatunku: karpiów, szczupaków, karasiów, okoniów. Miała z nich doskonały i obfity obiad, który sobie zaraz przyrządziła. Po tej uczcie napiła się wody, resztę niezjedzonych ryb schowała do kobiałki, a że słońce poczęło się już chylić ku zachodowi, dosiadła mierzynka i puściła się w drogę, pełna najlepszej otuchy, dziękując Bogu, że jej tak szczęści we wszystkiem.

Jechała całe pół dnia, kierując się ciągle tak, by słońce mieć za sobą. Powoli mokry grunt znikał, podnosił się widocznie, las stawał się czysto iglasty, wzgórza piasczyste, porosłe świerkami, były częstsze. Słońce dokuczało mocno i pić się Mladzie chciało i żałowała mocno, że nie zabrała z grodka jakiego naczynia, w któremby mogła wodę nieść ze sobą. Nie martwiła się jednak tem bardzo, bo liczyła, że przecież napotka jaki strumyk lub jeziorko jakie, w którem ugasi pragnienie. Jechała stępą, bo inaczej z powodu gęstwiny, posuwać się nie można było i zresztą nie należało męczyć konia. Drogi żadnej przed sobą nie miała,

starając się tylko ciągle, by cień od niej i od konia, padał przed nią a nie za nią.

Wieczór się jednak już zbliżał, a puszcza nie tylko się nie kończyła, nie tylko na żadną drogę dziewczyna nie natrafiła, ale, co gorsza, nie napotkała nigdzie wody. Pić jej się po upalnym dniu, po rybach, chciało mocno, a tu wszędzie tylko sosny i świerki, suche trawy i piasczyste wzgórza. A przytem noc zapadała, straszna noc dla samotnej podróżnej, pełna widm, okropnych głosów, strachów tajemniczych i dzikiego zwierza. Na samą myśl, że będzie musiała jeszcze jedną taką noc, jak poprzednia, przepędzić w tej głuchej, posępnej, nieskończonej puszczy, dreszcz ją przejmował. Zrazu postanowiła jechać, dopóki tylko można będzie, ale potem, gdy pomyślała, że w ciemnościach znów może pobłądzić i stracić kierunek, zdecydowała się zatrzymać.

Gdy więc słońce zaszło i mrok szybko począł zapadać w puszczy, a wielkie cienie włóczyć się śród prostych, wysokich sosen, zsiadła z mierzynka i pełna troski, znużona pragnieniem, drżąca ze strachu, rzuciła się na murawę. Koń usiłował gryźć trawę, ale ta była sucha, pełna szyszek i igieł sosnowych, zżółkła, nędzna na piaskach i wydmach. A przytem koń był spragniony, bo niechętnie jadł, wietrzył ciągle i rżał żałośnie.

Gdy noc coraz bardziej zapadała, a z nią poczęły grać w borze te same dzikie, straszne od-

głosy, co i wczoraj, gdy gdzieś bardzo blizko, zapewne w dziupli uschniętej jakiejś sosny, puszczyk hukać począł złowróżbno, gdy znowu szły po borze wichry jakieś, dudnienie tysiąca nóg, wycie, jęki, szum olbrzymi i wrzawa — przerażona do głębi Mlada, rozpaliła ognisko i położyła się przy nim, nakrywszy głowę kożuchem, żeby nic nie słyszeć.

Ale pragnienie coraz bardziej ją męczyło. Mierzynek przytem był niespokojny nadzwyczajnie, nie gryzł trawy, strzygł uszami i rżał. Nie mogąc nakoniec wytrzymać dłużej pragnienia, dręczona trwogą i bezsennością, postanowiła dosiąść konia i puścić mu wodze, licząc na instynkt zwierzęcia, że ją doprowadzi do wody.

Jakoż koń ruszył żwawo przed siebie. Podróż to była bardzo niebezpieczna wśród nieprzejrzanych, nierozjaśnionych niczem ciemności. Co chwila dziewczyna uderzała się o gałęzie, które jej drapały twarz, chwytały za włosy, smagały nielitościwie po rękach i piersiach. Nieraz o mało, że nie zrzuciły jej z konia. A przytem koń kilka razy szarpnął się mocno, uskoczył w bok przerażony czemś i cały drżał ze strachu, pocąc się jak mysz. Zwykle wtedy wyrwało się coś z pod nóg, i z łoskotem i trzaskiem łamanych gałęzi, uciekało Nieraz w głębi ciemności świeciły oczy dzikiego zwierza i Mlada chwytała za topór; nieraz tuż, gdzieś z boku, rozlegało się wycie jakieś, ryk po-

nury. Las szumiał ciągle smutno i melancholijnie.

O! ileż Mlada przecierpiała, ile modlitw odmówiła w tej strasznej, nigdy, zda się, niemającej się skończyć podróży. Koń szedł jednak raźno i szedł ciągle. Widocznie czuł gdzieś wodę, bo na chwilę nawet nie zboczył z kierunku pierwotnego.

Nagle las się zmienił. Już teraz nie kłuły i nie smagały dziewczyny igły sosen, ale chłodne, wilgotne liście. Zerwała po drodze gałązkę i obmacując liście, trąc je w ręku i wąchając, starała się dowiedzieć, wśród jakich drzew się posuwa. Były to przeważnie olchy, co dowodziło, że grunt staje się mokrzejszym.

Ale koń szedł ciągle i nie było końca tej drodze okropnej, męczeńskiej. Mlada ledwie trzymała się na grzbiecie swego mierzynka ze znużenia, zmęczona pragnieniem. Niekiedy ssała wilgotne liście, chcąc tem ukoić nieznośne udręczenia. Język jej wysechł, w gardle ją coś paliło.

Nagle zdawało jej się, że wśród czarnych ciemności nocy, dostrzega jakieś czerwone światełko. Nie były to oczy dzikiego zwierza, bo światełko było tylko jedno i szły od niego długie, krwawe promienie. Drzewa czasem zakrywały je; znikało ono na chwilę, by znów zajaśnieć. Widocznie gdzieś gorzał ogień, a przy tym ogniu byli ludzie. Już teraz Mlada nie zastanawiała się nad tem, że w puszczy nieraz lepiej spotkać się

z dzikim zwierzem, niż z człowiekiem, jeno pragnęła jak najprędzej dostać się do tego światełka, do tych ludzi, zażądać od nich pomocy, opieki, wody, wody przedewszystkiem. Niech co chce się stanie — mówiła sobie — byle ugasić pragnienie, byle znaleźć towarzysza w tem strasznem osamotnieniu, w tej czarnej nocy, w tym borze okropnym.

Koń szedł prosto do światełka. Nawet teraz przyśpieszył kroku, strzygł uszami i zdawał się pragnąć jak najprędzej dostać się do tajemniczego blasku. A blask ten zwiększał się co chwila. Czerwony był, migotliwy, widocznie pochodzący ze sutego ognia. Las też rzedniał coraz bardziej i w końcu Mlada spostrzegła, że się znajduje na polanie całkiem z drzew ogołoconej. Gwiazdy ukazały się na pogodnem niebie i trochę widniej i ciszej się zrobiło. Już teraz nie rozlegało się blizko posępne wycie zwierza; cisza tu leżała, drzewa tylko z dala, z tyłu, szumiały swój gwar nocny.

Nakoniec Mlada na tyle zbliżyła się, że postrzegła przed sobą maleńką chatę, skleconą z drzewa, gałęziami pokrytą, o jednem okienku, z którego błyszczało światło czerwone, rzucając na polankę długi blask. Strach dziewczynę teraz ogarnął.

— Kto wie, kto tu mieszka samotnie w borze? — mówiła sobie — a nuż natrafię na jaką czarownicę, na zbójów lub wiedźmy?

Ale nie czas już było rozmyślać, bo rozległo się głośne, przeciągłe skrzypnięcie jakby drzwi, i głos suchy, przenikliwy, kobiecy się odezwał:

— Kto tu?

— Podróżna, zabłąkana podróżna! — odrzekła Mlada, drżąc cała.

Podróżna? a kto cię tu przywiódł aż do mnie? Zbliżno się, niech cię obaczę.

Mlada stała już przed jakąś wysoką, szczupłą postacią, której dobrze rozpoznać nie mogła wśród ciemności.

— A! toś ty niewiasta! — rzekła owa postać i położyła rękę na cuglach konia. — Zejdź z konia! — rozkazywała.

A gdy Mlada zeszła, ujęła ją za rękę, pochyliła się ku jej twarzyczce, jakby jej się przypatrzyć chciała i syknęła:

— Wieszże ty ktom ja jest? Bies cię chyba tu sprowadził. Jam jest zmora!

VII.

Zmora.

Przerażoną do najwyższego stopnia dziewczynę, kobieta, która się sama nazwała Zmorą, wzięła za rękę, mówiąc:

— Chodź do chaty! — Poprowadziła za sobą.

Chata była maleńka, nizka, o jednej izbie bez pułapu, zamiast podłogi, miała glinę, mocno ubitą, jak klepisko. Na środku, ówczesnym obyczajem, było wydrążenie, a w nim gorzał suty ogień z suchych gałęzi, bo dymu dawał niewiele i dym ten wychodził przez odsunięte okno i przez liczne otwory w dachu, składającym się z niedbale narzuconych gałęzi.

Od ognia w izbie było widno i duszno nieco. To, co tu ujrzała Mlada, w żadnym razie nie mogło jej dodać otuchy. Nad ogniem, na żelaznym pręcie piekły się nadziane żaby i dwa węże; na kawałku pnia siedział czarny jak smoła kot i mruczał. Na trzask otwierających się drzwi, wybiegł trzepocząc w skrzydła kruk, wskoczył na ławę i ki-

wał łbem, jakby witał Zmorę. Na ścianach wisiały pęki ziół suchych, skóry wężów, czaszki nagie jakichś potworów.

Mlada wszedłszy tu, padła na ławę i jękła:

— Pić!

— Pić chcesz? — zawołała syczącym głosem Zmora — dobrze! może ci dać juszki wściekłego psa, jadu umęczonej żmii, łez uduszonej dzieciny? Wszystko mam...

— Wody, dajcie mi wody!

— Ano, tam w naczyniu jest woda, napij się.

Mlada skoczyła w kąt i istotnie napotkała cebrzyk pełen wody, a przy nim garnuszek. Piła, piła długo. O! jakże jej było dobrze teraz, jak wracało życie w jej ciało, a z życiem dawna energia i siła.

— Napiłam się dosyta, — rzekła do Zmory — pozwólcie mi napoić konia mojego.

— A! konia... czekaj tutaj, ja go sama napoję.

Wyszła z izby, zamknęła drzwi na zewnątrz na kołek. Cisza zaległa dokoła Mlady, tylko kot drzemał i mruczał. Wkrótce słychać było skrzyp żórawia, widocznie Zmora czerpała wodę ze studni.

Niezadługo potem wróciła i rzekła:

— Napoiłam ci konika i dałam mu siana. Chrupie aż miło.

Usiadła obok kota, na pniaku drzewa i wpatrzyła się w ognisko. Teraz dopiero mogła Mlada przypatrzeć się jej dobrze. Była to kobieta już nie-

młoda, chuda, zaszuszona, o bladej twarzy i wielkich, czarnych, ognistych oczach. Włosy pod brudną chustką, jaką miała na głowie, były także czarne, ale tu i owdzie przyprószone siwizną. Ubrana była nędznie w zapaskę z modrego samodziału i takąż spódniczynę. Ręce miała chude, długie, z paznogciami zakrzywionymi, jak u jastrzębia. Nogi gołe i brudne wyglądały zpod spódnicy. Taka była cienka cała i wysoka, że istotnie wyglądała na zmorę.

Posiedziała przez chwilę w milczeniu, poczem podniosła głowę, wlepiła swe czarne oczy w dziewczynę i rzekła:

— Chodźno tu bliżej, niech ci się przypatrzę.

Mlada posunęła się do ogniska i stanęła w świetle od niego padającem. Zmora obejrzałą ją od stóp do głów i rzekła:

— Hm! hm! Kożuszek masz i piękną spódnicę i łuk i topór. Widziałam też konia, młody i wytrwały. A co ty tam masz w kobiałce?

— Podpłomyków trochę, ryb suszonych, ser i sól.

— Dajno to, bo mi się jeść chce, a żaby, i węże już mi obrzydły, chleba już trzy niedziele nie jadłam, soli nie mam, a sera nie widziałam, nie wiem ile lat. Dajno, daj!

Mlada, zdjęła kobiałkę i oddała ją Zmorze. Ta, chciwie zaczęła zajadać podpłomyki, ser i ryby,

soląc obficie i spoglądając kiedy niekiedy na dziewczynę.

— A tobie się jeść nie chce?

— Co się niema chcieć...

— A no... spróbuj żabki i wężów... to dobre, prawdę mówię, dobre. Ale ty jakoś dziwnie gadasz, ty nie tutejsza?

— Nie.

— A skądże ty jedziesz? suto koło ciebie, kmieca córka być musisz?

— Nie.

— Więc cóżeś ty za jedna? Dokąd jedziesz? Skąd się tu wzięłaś?

— Pobłądziłam.

— Hm! — mruknęła Zmora — nie chcesz gadać i mądra z ciebie dziewka. Żal mi ciebie, młoda jesteś, krew z mlekiem. Ale jak mój wróci, choćbym cię nie wiem gdzie ukryła, zaraz poczuje ludzkie mięso. Taki ma już węch. Hm! zmora jestem, duszę dziewczęta i chłopców po nocach...

Otworzyła szeroko wielkie, płonące jak zarzewie oczy i śmiała się, ukazując szereg czarnych zębów. Mladę dreszcz zimny przebiegł od stóp do głowy. Umysł jej przesiąknięty zabobonami widział w tej dziwnej kobiecie istotną, prawdziwą zmorę, wysysającą krew i duszącą ludzi.

— Jezusie święty, ratuj mnie! — szepnęła.

Zmora tymczasem pochłonęła z nadzwyczajną żarłocznością wszystko co było w kobiałce i od-

dając ją dziewczynie, mówiła z ciągłym, dzikim śmiechem:

— Naści, weź sobie kobiałkę. Najadłam się, bo najadłam, aż miło. Dawno już syta nie byłam. Czem tu żyć w puszczy? Łuku nie mam, ptaków i zwierza bić nie mogę, jeno węże i żaby chwytam. Che! che! che!

Mlada tymczasem ochłonęła ze strachu. Zastanowiła się nad tem, że jest sam na sam ze starą, chudą i słabą, jak się zdawało kobietą i do tego bezbronną, podczas gdy ona, Mlada, ma łuk i topór. Największe niebezpieczenstwo grozi od owego męża Zmory, o którym wspomniała, że czuje ludzkie mięso. Dlatego też postanowiła Mlada uciekać stąd, choćby przyszło straszną noc w puszczy przepędzić.

— No, — rzekła — Bóg wam zapłać za przytułek, muszę jechać dalej.

Zmora na te słowa wyprostowała się, w czarnych jej oczach mignął jakiś mętny, niepewny blask, i rzekła:

— Jechać? po nocy? po puszczy? A dokądże ty jedziesz?

— Daleko, do Poznania.

Odzyskała teraz całą odwagę i pewność siebie.

— Do Poznania? czekajno! — oparła głowę na chudej, kościstej ręce — coś słyszałam o tem, jeno mi się w głowie mąci. Do Poznania! a to tu o trzy stajania na prawo, idzie wielki gościniec,

widzi mi się, do Poznania. Gadali, że trzeba puszczą jechać dwa dni i dwie noce, żeby tam dojechać. Do Poznania, do Poznania!

Ostatnie słowa wymówiła napół szeptem, spuściła głowę i zamyśliła się czegoś głęboko. Kot mruczał, ogień trzaskał, węże na pręcie skwarzyły się i kruk gdzieś w kącie łopotał w skrzydła. Nagle Zmora wyprostowała się, zerwała z pniaka, skoczyła jak wiewiórka zwinnie i szybko i śmiejąc się dzikim śmiechem, chwyciła niespodziewającą się czegoś podobnego Mladę wpół, i poczęła z nią tańcować dokoła ogniska. Dziewczyna przerażona do najwyższego stopnia, usiłowała wyrwać się z objęć wiedźmy, ale ta chudemi rękami, trzymała ją z nadzwyczajną siłą. jak jastrząb szponami swą zdobycz. Śmiała się przytem ciągle i niekiedy śpiewała:

Na Łysicę jadę, jadę,
Na łopacie jadę, jadę,
A tu bies, a tu bies!...

Głos jej zadyszany, urywany, chrapliwy, wydobywający się z gardła, miał coś strasznego w sobie. Wskutek szybkiego obrotu obu kobiet, ognisko rozdmuchane, buchnęło płomieniem, objęło piekące się żaby i węże i wkrótce rozeszła się nieprzyjemna woń spalonego mięsiwa. Kot zerwał się na nogi, wygiął się, najeżył czarną sierść. ogon podniósł do góry i syczał z gniewu, czy przerażenia. Kruk łopocząc skrzydłami, wyfrunął z kąta, z trudnością

usiadł na sterczącej gałęzi z dachu i krzyczał szkaradnie. Gdzieś z boru rozległo się w tejże chwili ponure wycie wilków czy rysiów i koń Mlady rżał niespokojnie, rozgłośnie. Dziewczyna szarpała się w objęciach żelaznych Zmory, w rozpaczy, w śmiertelnem przerażeniu wstrząsała suchą i kościstą kobietą, ale wydobyć się z jej rąk nie mogła. Ta ciągle urywanym, chrapliwym głosem, śmiała się i powtarzała:

— A tu bies! a tu bies!

Nakoniec zabrakło Zmorze tchu. Wypuściła dziewczynę, pchnęła ją tak silnie, że zatoczyła się i uderzyła sobą o ścianę chaty i tam stanęła, chwytając gwałtownie piersiami powietrze, poprawiając na sobie odzienie. Zmora tymczasem chwiejącym się krokiem podeszła do pniaka, padła na niego raczej niż siadła i oddychać głośno poczęła. Wyglądała teraz strasznie. Podczas tańca chustka jej z głowy spadła i rozwiały się włosy czarne i siwe, skołtunione i leżały na nagiej, suchej, długiej szyi. Zapaska jej się przekręciła, pot po twarzy spływał kroplami, a na ustach biała się ukazywała piana. Widocznie zmęczona była i osłabiona nadzwyczajnie, bo głowę pochyliła naprzód i ręce bezwładnie opuściła.

Mlada szybko przyszła do siebie. Postanowiła skorzystać z chwilowego ubezwładnienia Zmory i uciec z tej okropnej chaty. Na palcach, z okiem wlepionem w nieruchomie siedzącą kobietę, przy-

sunęła się ku drzwiom. Ale ta miała słuch bystry. Żywo podniosła głowę, spojrzała dzikim, palącym wzrokiem na dziewczynę, i nim ta zdołała parę kroków zrobić, skoczyła gwałtownie ku drzwiom, szybko podsunęła pod nie wielką, ciężką ławę i usiadła na niej, śmiejąc się głośno:

— Cha! cha! cha! synogarliczko, robaczku, złotko moje, uciec chciałaś? A krew? twoja młoda, zdrowa krew? Cha! cha! cha! zaduszę cię w nocy, krew wyssam. Ja jestem Zmora! Zmora!

Na te słowa, na widok zagrodzonej drogi, trwoga straszna, śmiertelna, ogarnęła Mladę. Czuła, jak nogi drętwieją pod nią, i byłaby upadła, gdyby się była nie oparła o ścianę. Zmora patrzała na nią wzrokiem błędnym, mętnym, oczami szeroko rozwartemi, w których jak w wodzie przeglądał się płomień ogniska. Ognisko to, podsycone tłuszczem kapiącym z wężów, gorzało wielkim płomieniem i oświecało izbę jasno. Przy tym blasku spostrzegła Mlada w kącie obok drzwi barłóg, a na barłogu tym coś ruszało się powoli, ale ciągle. Napół zgniła słoma pod tym ruchem szeleściała głośno i syk jakiś głuchy wydobywał się stamtąd.

Dziewczyna jak gdyby przeczuła nowe niebezpieczeństwo jej grożące, odskoczyła od drzwi w głąb izby, a w tejże chwili z barłogu wypełzały dwa długie, grube, szare z żółtemi cętkami węże. Powoli posuwały się one po twardej ziemi, zginały się w łuki, rozwijały swe skręty i dostawszy się

na środek izby, wprost Zmory wstrzymały się, podniosły się do połowy i wysuwając z głośnym sykiem żądła, wpoiły duże, okrągłe oczy w oczy kobiety. Ta patrzała także na nie. Zrazu jej źrenice wielkie, szerokie miały w sobie ciągle ten mętny, napół nieprzytomny wyraz, ale powoli łagodniały i kurczyły się. Pochyliła się całem ciałem naprzód, z głośnym trzaskiem suchych stawów, załamała ręce i szeptać poczęła;

— Dzieciaczki moje, jeść wam się chce? Cóż wam dam? Mleka nie mam, ani kropli mleka. W gródku Bolka, parobcy, żeby ich święta ziemia pochłonęła, pilnowali krowy dobrze i nic mleka udoić nie mogłam. O moje dzieciaczki, moje robaczki, oczki moje złociusieńkie.

Szept jej nabrał przy tych słowach tkliwości, i łzy jak groch potoczyły się z jej oczu, po suchej, kościstej i bladej twarzy. Węże, jak gdyby zrozumiały te słowa, pokładły się na ziemi i pełzać znów poczęły ku swemu barłogowi, w który wkrótce wlazły, zakopały się i w kłębek zwinęły.

Zmora wyprostowała się, odgarnęła rękami włosy, spadające jej na czoło i spojrzała na Mladę. Patrzała na nią długo, łagodnie teraz, załzawionemi oczami, poczem powstała, zaczerpała wody z cebrzyka, napiła się, odetchnęła głęboko i poprawiając na sobie zapaski, rzekła cicho, głosem zmęczonym i smutnym:

— Złotko moje, idź ty stąd, idź, uciekaj. Ko-

nik twój stoi tam w obórce. Uciekaj, uciekaj! Na mnie przychodzi czasem takie złe, bies mię pęta. Boginki mnie zamłodu urzekły i ludzie mówią, żem szalona. A com ja komu winna? Zmorą mnie nazwali, że to chodzę po borze i jagody, roślinki, kwiateczki zbieram. Szalona! a to bies mię męczy. Czasem, to tak wpadnie na mnie, że sama nie wiem, co czynię. Uciekaj, póki go niema. Poszedł teraz na bory, lasy, góry i wody, ale on zaraz przyjdzie! O! przyjdzie, zawsze nocą chodzi. Uciekaj, złotko moje. Liczko masz takie, że mnie za serce chwytasz, a przypominasz mi dziecinkę moją...

Zaczęła głośno płakać i zawodzić, a po jej biednej, schudzonej, zmęczonej twarzy, łzy potokiem się lały. Odsunęła ławę zpod drzwi, otworzyła je naoścież, wyjrzała i mówiła:

— Gwiazdy świecą, jak oczki twoje i niebo jest pogodne. Świt już blizko. Uciekaj! Do Poznania jedziesz? Gadał Bolko, że to gród wielki i król tam mieszka. Ja nigdy króla nie widziałam. Gościniec, ot tam, o trzy stajania stąd idzie i gródek Bolka zaraz jest za rzeczką. Idź... idź... i niech cię Bóg prowadzi.

Mlada, uszczęśliwiona tą nagłą zmianą w obejściu Zmory, nie czekała, aż ją znowu napadnie szaleństwo, tylko żwawo wybiegła z chaty. Jakoż niebo na wschodzie bielało już i gwiazdy, któremi cały strop był zasiany, jak złotemi ćwiekami, bladły i gasły powoli. Po puszczy tu i owdzie, rozle-

gał się już świergot ptactwa i szum szedł głuchy, znak budzącego się dnia.

Zmora stanęła w progu chaty, oparła się o odrzwia i gadała:

— Tam na prawo obórka, tam twój konik stoi. Siadaj na niego i uciekaj, uciekaj prędko!

Głos jej znowu począł przybierać ton chrapliwy i dziki.

— Słyszysz, słyszysz, to on idzie.

Pochyliła się naprzód, jakby wsłuchiwała się w szum puszczy i wołała:

— Szumi już po borze, o drzewa zawadza, dęby wyrywa. Wyrwidąb się zowie. Idzie, idzie! Cha! cha! cha!

Zaśmiała się dziko, okropnie, wskoczyła do chaty, zatrzasła głośno drzwi i śmiała się ciągle, a głos tego strasznego śmiechu, wśród ciszy świtu, rozlegał się daleko tysiącznem echem. I las się śmiał teraz: cha! cha! cha! śmiały się dęby i jawory, buki i graby, lipy i brzozy, śmiała się cała natura śmiechem szalonym, opętanym, okropnym. Puszcza trzeszczała głucho w czarnem jeszcze wnętrzu, jakby wistocie szedł przez nią olbrzym Wyrwidąb.

Mlada w okropnem przerażeniu dopadła obórki, otworzyła gwałtownie drzwi, na kołek zzewnątrz zawarte, wyprowadziła swego mierzynka i jednym skokiem znalazła się na jego grzbiecie. Czas już był wielki, bo właśnie rozwarły się z głośnem skrzypnięciem drzwi chaty i wypadła przez nie

Zmora z rozwianym włosem, z oczami błędnemi i krwią nabiegłemi, wyciągnęła swe jastrzębie ręce i rycząc nieludzkim głosem, krzyczała:

— Stój! stój! Zmora jestem, zaduszę cię, krew ci wypiję.

Ale Mlada puściła wodze mierzynkowi, uderzyła go ręką i pędem ruszyła na prawo w kierunku gościńca. Wkrótce znikła jej z oczu chata Zmory, tylko długo jeszcze puszcza przynosiła jej echo strasznego krzyku szalonej kobiety.

VIII.

Walka z niedźwiedziem.

Mlada popędzała konia, który rwał cwałem i wkrótce ujrzała rzedniejący las, a za nim długi, biały gościniec, ten sam zapewne, o którym jej Zmora mówiła. Gościniec ten piasczysty i noszący na sobie liczne ślady ludzi, wozów i koni, wił się równolegle z szeroką, bystrą, w głębokim korycie płynącą rzeką, która szła od wschodu na zachód.

Stanąwszy na gościńcu i mając przed sobą wspaniale wschodzące słońce, od którego pół nieba gorzało purpurą, Mlada nie słysząc już krzyków Zmory, zatrzymała się i poczęła rozmyślać, coby jej teraz czynić należało? Ze słów Zmory dowiedziała się, iż gdzieś w pobliżu, zapewne nad tą piękną rzeką znajduje się gródek jakiegoś Bolka; otóż, zadała sobie pytanie, czy rozumną jest rzeczą pokazać się w tym gródku. A nuż Bolek jest poganinem, bałwochwalcą takim samym jak Waligóra? Nuż był na wiecu w gon-

tynie Lelum-Polelum, i gotów ją, Mladę, schwycić i mękami z niej wydobyć dokąd jedzie i po co?

Wprawdzie Mlada nie miała ze sobą ani odrobiny żywności, ani kęsa chleba i krzty soli, ale to mniejsza. W lesie śpiewa tyle ptactwa, tyle przemyka się wśród drzew zwierza, a w rzece, wzdłuż której już teraz jechać będzie, ciągle ma wodę i ryb zapewne dużo.

— Nie! — rzekła sobie w końcu dziewczyna — stokroć jest lepiej i bezpieczniej ominąć gródek Bolka.

Ale jak ominąć? Naprawdę nie wiedziała gdzie on jest, czy przed nią, czy za nią, czy zdoła go nakoniec ominąć? Kto wie zresztą czy jej już nie spostrzeżono tu, na otwartym gościńcu?

Ta myśl ją przeraziła. Co żywo uskoczyła w bok gościńca, w gęsty las iglasty i po krótkim rozmyśle tędy już poczęła się wolno naprzód posuwać. Nie ujechała i trzech stajań w ten sposób, gdy wiatr wiejący od wschodu, przyniósł jej głośne naszczekiwanie psów. Zaraz zatrzymała konia i pilnie nadsłuchiwała. Szczekanie szło od prawej strony gościńca, z poza rzeki.

— Dzięki Bogu! — szepnęła — teraz między mną a gródkiem jest rzeka i łatwiej mi będzie ominąć ludzkie mieszkanie.

Zaraz też jeszcze bardziej zagłębiła się w las i jechała naprzod wolno i cicho, z bijącem sercem i niemałym strachem. Szczekanie psów było coraz

głośniejsze i wyraźniejsze, a w krótce potem wiatr przyniósł nawet nawoływanie ludzkie. Ktoś krzyczał:

— Hop! hop! — i głos jego po rosie wśród świeżego poranku w borze, rozlegał się daleko i tysiącznem brzmiał echem.

Ujechała jeszcze, kryjąc się przez gęstwinę choiny z pół stajania i nagle przed sobą ujrzała rzekę, skręcającą na lewo, a za nią na górze, mocno częstokołem otoczony, gródek obronny.

Od gródka tego oddzielała ją przestrzeń na dobry rzut strzały. Przez gęstwinę krzaków i drzew wyraźnie widziała stromo spadające ku rzece wzgórze, częstokół błyszczący pod słońce, strzechy poza nim i wysoką wieżę, zbudowaną z potężnych bali dębowych. Psy ujadały zawzięcie, jakby przeczuwały kogoś obcego w borze, a na jej szczycie przechadzał się mąż uzbrojony we włócznię i pilnie patrzał dokoła. Wszystko to doskonale było widać. Gródek zajmował całe, niewielkie zresztą wzgórze, a zaraz obok niego nad rzeką rozciągały się duże, nagie, mokre błonia, porosłe bujną trawą, pełną żółtego kwiecia kaczeńca i czerwonych główek dzikich gwoździków. Nad rzeką błękitne niezapominajki rosły w takiej obfitości, że rozbłękitniały sobą całą nieomal łąkę. Ze strzechy właśnie, z wielkiego okrągłego gniazda zleciał bocian i przechadzał się poważnie po łące, na którą pastuch, młode, płowowłose chłopię w świtce białej i boso,

wypędzał kilka krów i owiec. Zresztą senna, sielska cisza leżała na całym tym krajobrazie, pełna tylko świegotu ptactwa, dalekiego kukania kukułki i coraz zajadlejszego szczekania psów za częstokołem.

Po chwili poza tym częstokołem rozległ się znów donośny, męski głos.

— Hop! Hop!

— A co? — ozwał się strażnik na wieży.

— Nie widzisz nic? czego psy ujadają?

— A Bóg je tam wie! w puszczy cicho, jak makiem zasiał. Może niedźwiedzia gdzie poczuły.

Rzekłszy to strażnik nacisnął baranią wściekłicę na głowę i znów spokojnie i obojętnie przechadzać się począł, a słońce w ostrzu jego włóczni oślepiające zapalało blaski.

Słowa te, które po rosie wyraźnie dochodziły do uszu Mlady, przekonały ją, że psy ją poznały, a choć ludzie jej dotąd nie spostrzegli, nie było jednak bezpiecznie dłużej tu pozostawać. Należało jak najprędzej i najostrożniej opuścić te miejsca i ominąć gródek. Dziewczyna przeżegnała się, poklepała ręką mierzynka po karku i puściła się wolno i ostrożnie, wybierając ciągle najgęściej zarosłe miejsca. Pochyliła się na koniu, dech w sobie nieomal zatrzymała i cała ta droga wydawała jej się niezmiernie długą, wieczność trwającą.

Nakoniec szczęśliwie ominęła gródek, zostawiając go poza sobą. Wkrótce zakryły go jej krzaki i drzewa, szczekanie psów stawało się coraz cich-

szem, aż ucichło zupełnie, i teraz tylko puszcza szumiała pieśń zwykłą i smutną. Ujechawszy od gródka z dobre pół mili, wyszła na gościniec i puściła się naprzód cwałem. Mierzynek rwał parskając rzeźko, słońce całowało rumianą twarz dziewczyny, a wiatr chłodził jej rozpalone czoło.

Tak pędziła dość długo, aż mierzynek się spocił i ustawać począł. Słońce wzbiło się dość wysoko i dogrzewało mocno, wiatr ucichł i aromatyczna woń żywicy napełniła sobą bór cały. Dziewczynie jeść się zachciało i postanowiła odpocząć nieco i ryb nałowić, by z nich przygotować sobie obiad.

W tym celu zjechała z gościńca w bok nad samą rzekę, wyszukała sobie miejsce gęsto zarosłe wikliną, staremi, popękanemi wierzbami i czerwonodrzewną olszyną, mierzynka puściła na soczystą, bujną trawę, zieleniejącą nad brzegiem, a sama zabrała się do połowu. Otaczała ją wielka, niczem niezamącona cisza. Rzeka wartko płynęła i pluskała się o brzegi, nad nią unosiły się szmaragdowe jętki i różnobarwne motyle. Gdzieś w dali, na bagnisku zapewne jakiem, krzyczały żórawie i kurki wodne.

Mlada dobyła swej wędki, wykopała z mokrej ziemi nad rzeką nieco robaków i wkrótce schwyciła dużego leszcza. Ze zdobyczą tą, zabrawszy ze sobą konia, poszła wgłąb puszczy, nazbierała suchych gałęzi, żeby nie dymiły, rozpaliła ognisko

i na węglach upiekła rybę. Nie miała soli, chleba i uczta była bardzo skromna, ale na to nie było już żadnej rady. Posiliwszy się jako tako, zgasiła ognisko i położyła się, żeby odpocząć sobie nieco po tylu przygodach i przeczekać upalne południe. Mierzynek też położył się w cieniu i opędzając się ogonem od bąków, których mnóstwo się zbiegło, drzemał snem niespokojnym i co chwila przerywanym. Mlada błądziła oczami po szczytach sosen, na których wieszały się wróble i sikory, po kawałku szafirowego nieba, jakie tu było widać i powoli, kołysana jednostajnym szumem puszczy, zasnęła.

Obudziła się dość późno. Sen, po nocy tak burzliwej i pełnej trwogi, jaką przepędziła u Zmory, miała silny i twardy. Słońce pochyliło się mocno i słało przez otwory między drzewami złote, ukośne promienie, w których drżało, przewracało się, ścigało tysiące pyłków nikłych i nieuchwytnych. Zerwała się na równe nogi. Mierzynek stał i gryzł suchą trawę pod sosnami i opędzał się zawzięcie dokuczającym mu bąkom.

Mlada żwawo dosiadła konia, wydostała się na gościniec i mając teraz słońce za sobą, puściła się wyciągniętym kłusem. Znowu czekała ją straszna, pełna widm i niebezpieczeństw noc w puszczy, ale teraz gościniec, znak ludzkiej bytności i bliskości rzeki, dodawały dziewczynie trochę odwagi. Pędziła więc naprzód w zamiarze jechania w ten

sposób całą noc, nie lękając się już teraz pobłądzenia w tej olbrzymiej nieskończonej puszczy. Żywej duszy nie spotykała, zwierza nawet nie było słychać i wkrótce, gdy szary, mętny mrok ogarniać zaczął bor, a z zapadającą nocą cichnąć dzienne głosy, Mlada dobry kawał ujechała. Gościniec był wciąż szeroki i trzymał się stale brzegu rzeki.

Noc jak zwykle szybko zapadała, a choć niebo było jeszcze jasne, okraszone czerwienią, w borze już tłukły się ponure ciemności. Dziewczynie jeść się zachciało i żałowała, że złowionego leszcza zjadła do ości, lub że nie nałowiła ryb więcej. Teraz po nocy byłoto niepodobieństwem i trzeba było głód znosić do rana. Szczęściem, że przynajmniej teraz miała czem ugasić pragnienie i nie potrzebowała się lękać powtórzenia tych cierpień, jakich zeszłej nocy doznała. Ponieważ i mierzynka trzeba było napoić i wolała to uczynić wprzód, nim zupełna noc zapadnie, postanowiła skręcić z gościńca ku rzece. Że jednak woda obrosła była gęsto wikliną, upatrywała więc jadąc wolno, sposobnego miejsca.

Dość długo szukała i wiklina wciąż jej dostęp do wody zagradzała, gdy w końcu spostrzegła wśród trawy nadbrzeżnej, wśród gąszczu leśnego wązką ścieżynkę, widocznie wydeptaną przez ludzi czy zwierzęta i prowadzącą, jak się zdaje, do rzeki. Zjechała więc na nią. Ścieżka wiła się wężem, kilkakrotnie nagle się załamując. Wiklina po obu

jej stronach rosła bardzo bujnie i wysoko i ciemno tu było, choć kiedy niekiedy od czerwonego nieba padał słaby odblask i rozjaśniał nieprzejrzaną noc. Nagle, gdy tak Mlada wolno się posuwa ścieżką, mierzynek zatrzymał się, począł strzyc uszami i parskać niespokojnie. Mlada skamieniała, wyciągnęła szyję, chcąc przebić wzrokiem ciemności, ale nic ujrzeć nie mogła. Mierzynek był wciąż niespokojny, nadzwyczajnie i wyraźną okazywał chęć zawrócenia się i ucieczki. Biedak drżał jak w gorączce i spocił się cały jak mysz.

Dziewczyna przestraszona i przeczuwając grożące sobie jakieś nieznane niebezpieczeństwo, nie widząc nic, słuchać poczęła. Jakoż wkrótce wśród wiatru szeleszczącego między wikliną, doszedł jej uszu odgłos ciężkich stąpań i potężnego sapania. Widocznie zwierz jakiś olbrzymi szedł do wody, lub też zbudzony w legowisku wąchał i sapał niecierpliwie. Coby to jednak był za zwierz, Mlada domyśleć się nie mogła.

Nim jednak zdecydowała się, jak postąpić, nagle na skręcie ścieżynki, przy niepewnym blasku czerwonego nieba, ujrzała w odległości kilku kroków od siebie olbrzymie jakieś cielsko, wolno posuwające się naprzód. Zwierz sapał głośno i mruczał groźnie i po mruku tym Mlada poznała niedźwiedzia. Stary musiał być, czy też wskutek ciemności, jak wiadomo podwajającej rozmiary przedmiotów, wydał się olbrzymim. Szedł ciężko,

aż mokra, torfiasta ziemia drżała i złowrogo mruczał, a ślepia błyszczały mu w ciemności jak dwa ogniki. Jego wielki, niezgrabny łeb rysował się wyraźnie na wązkim pasku jasnej wody, jaka w tem miejscu przeglądała przez wiklinę. Spotkanie było straszne, groźne i ze wszech miar niebezpieczne.

Dziewczyna na razie na to niespodziewane widowisko całkiem straciła przytomność. Siedziała pochylona na karku mierzynka, trzymając się go oburącz z okiem wlepionem w zbliżającego się zwierza, z uchem zasłuchanem w jego złowieszcze, gniewne mruczenie. Na szczęście mierzynek był przytomniejszy od swej pani. Parsknął głośno, spiął się gwałtownie, zawrócił i cwałem pognał ku gościńcowi, wyrzucając z pod kopyt wysoko mokrą ziemię, łamiąc i tratując wiklinę.

Ale niedźwiedź zapewne głodny i rozdrażniony nie chciał tak łatwo opuścić nadarzającej mu się zdobyczy. Z szybkością i zręcznością zadziwiającą w tem niezgrabnem i wielkiem cielsku, puścił się pędem za uciekającą Mladą, sapiąc i mrucząc coraz głośniej. Słychać było jego prędkie, mocne stąpanie.

W ten sposób i uciekający i niedźwiedź znaleźli się na gościńcu. Mlada w przestrachu pozwoliła się unosić koniowi, nie myśląc o tem czy we właściwym jedzie kierunku. Mierzynek rwał jak szalony, a za nim niedźwiedź, i odległość ciągle między niemi była jednakowa. Trwała ta pogoń

i ucieczka dość długo i chłód wieczorny powoli wrócił przytomność dziewczynie. Zastanawiając się nad swem położeniem spostrzegła, że mierzynek, zmęczony tylodniową drogą, spragniony, rwąc po piasczystym gościńcu, dyszał już głośno, robił ciężko bokami i widocznie ustawał. Bieg jego stawał się coraz wolniejszy i lada chwila mógł paść.

Wobec tego trzeba się było na jakiś krok stanowczy zdecydować i Mlada, której wróciła cała przytomność i energia, poczęła rozmyślać, co jej czynić należy. Mogłaby się uratować puściwszy konia, a sama wlazłszy na drzewo, ale porzucić konia, to znaczyło stracić możność dostania się do Poznania. Trzeba więc było bronić siebie i dzielnego mierzynka. Niedźwiedź zbliżał się, mruk jego stawał się coraz wyraźniejszy. Walka będzie trudna i krwawa ze strasznem, głodnem zapewne zwierzęciem. Mlada znała niedźwiedzi i czuła całą doniosłość niebezpieczeństwa.

Przeżegnała się, zmówiła krótką modlitwę do Boga, wydobyła strzałę, nasadziła ją na cięciwę i zatrzymała mierzynka. Wówczas odwróciwszy się twarzą do nieprzyjaciela, wymierzyła bacznie i puściła cięciwę. Strzała ze świstem przerznęła powietrze i ugodziła zapewne niedźwiedzia, bo ryknął przeraźliwie, skoczył i podniósłszy się na tylne łapy szedł, rycząc donośnie.

Ale Mlada zręcznie zawróciła konia, tak że znalazła się z boku niedźwiedzia. i nim ten zdołał

zmienić swój kierunek, z całej siły uderzyła go toporem po wielkim, kudłatym łbie. Cios był tak potężny, że niedźwiedź padł na przednie łapy, ale podniósł się zaraz i znowu rzucił się na dziewczynę. Pod tą koń się rwał i spinał, ale trzymała go mocno, nie spuszczając ani na chwilę, oczu z niedźwiedzia. Właśnie księżyc wypłynął z poza drzew boru i oświecał srebrzystym blaskiem gościniec i tę śmiertelną walkę, jaka się na nim toczyła.

W chwili gdy niedźwiedź powtórnie zbliżył się do dziewczyny i prawie dosięgał jej potężną, w straszne pazury uzbrojoną łapą, Mlada wymierzyła mu drugi cios toporem między oczy. Z głuchym trzaskiem topór uwiązł w kościach czaszki zwierzęcia, krew ciepła trysnęła na Mladę, niedźwiedź zachwiał się i padł na ziemię. Wtedy dziewczyna zeskoczyła z konia i trzymając go jedną ręką za uzdę, drugą poczęła raz po razie rąbać łeb ciężko dyszącego zwierzęcia. Wkrótce miała przed sobą trupa.

Leżał on jak długi na suchym, żółtym piasku gościńca, brocząc obficie krwią, osrebrzony cały blaskiem miesiąca. Dziewczyna stała nad nim i obcierała ręką obficie potem zroszone czoło. Zwycięstwo było zupełne, a co większa zapewniona żywność na długo.

Odpocząwszy sobie nieco, odcięła tylne łapy, obdarła je ze skóry i prowadząc za sobą mie-

rzynka, poszła w głąb puszczy, pełnej owych dzikich, strasznych głosów, jakie co noc w niej brzmiały. Mlada rozpaliła wielkie ognisko i poczęła piec swą zdobycz. Wieczerzę miała wspaniałą i obfitą.

Nasyciwszy się i odpocząwszy sobie postanowiła wrócić na gościniec i jechać dalej, lub tam resztę nocy przepędzić, jako na miejscu obszerniejszem i oświeconem jasno przez księżyc. Wobec ciemności panujących w borze, ogarniać ją poczęła znowu ta straszna, zabobonna trwoga, jakiej już tyle razy doznawała i co żywo podniosła się i właśnie brała za cugle mierzynka, gdy nagle przed ogniem ukazała się jakaś czarna postać ludzka.



IX.

Sambor.

Na ciemnem, nie rozjaśnionem niczem tle nocy, krwawo oświecony przez ognisko stał człowiek, wsparty oburącz na wielkiej maczudze, w której ostrych i szlifowanych kamieniach, jakimi była nabita, przeglądały się płomienie migotliwie. Ubrany był w skórę wilczą, włosem na zewnątrz, włosem zrudziałym i skołtunowanym mocno. Na głowie miał łeb wilczy, ze szklistemi oczyma, z połową paszczęki zwieszającej się na czoło i uzbrojonej w cały szereg potężnych kłów. Z pod tego przykrycia występowały długie, spłowiałe od deszczów i słońca włosy, pokręcone i skołtunowane, zakrywające całe czoło. Oczki małe, bystre, głęboko obsadzone patrzały przed siebie dziko i podejrzliwie. Duże rude wąsy i takaż broda uzupełniały tę twarz ponurą, bronzową, zasuszoną i dziką. Na ramię miał zarzucony wielki łuk i strzał kilka wetkniętych było za pas z surowej

jakiejś napół jeszcze krwawej skóry. Po tem ubraniu, po tej twarzy, po strasznej paszczęce i szklistych oczach wilczych, ślizgały się krwawe płomienie ogniska i nadawały całości jeszcze dziwaczniejszy, okropniejszy wyraz.

Mlada zdrętwiała cała. Tak silne ogarnęło ją przerażenie, że nogi nie mogły utrzymać ciężaru ciała, zgięły się i dziewczyna z bezwładnością trupa przysiadła na murawie. Zabobonną trwogę wzbudziło w niej to nagłe zjawisko wśród ponurej nocy, w głębi puszczy, postaci, która pojawiła się tak niespodzianie, że bystre ucho Mlady nie uchwyciło wprzódy nawet podejrzanego szelestu.

Tymczasem człowiek ów patrzał i patrzał na dziewczynę i w końcu głosem ochrypłym zapytał:

— Tyś ubiła niedźwiedzia na gościńcu?

Mlada nic nie odrzekła: głos jej zamarł w piersiach. Człowiek milczał przez chwilę i znowu odezwał się.

— Piekłaś kawał niedźwiedziego mięsa, poczułem to. A nie masz tam co jeszcze? bom głodny...

Mlada ciągle była przestraszona i milczała z oczami szeroko roztwartemi w patrzona w przybyłego.

— Cóż ty gadać nie umiesz? niemowa jesteś?

Ale widać domyślił się powodów milczenia dziewczyny, bo zaraz dodał:

— Czego ty mnie się boisz? Nic ci nie zrobię. Biedak taki jestem jak i ty. Ot lepiej dorzuć

gałęzi do ogniska, bo zgaśnie a ja tymczasem pójdę do niedźwiedzia i przyniosę kawał mięsiwa, dopóki go wilcy i kruki nie zjedzą. Już go tam obsiadły...

A widząc, że Mlada nie rusza się, rzekł starając się nadać swemu głosowi jak najłagodniejszy ton:

— Ruszże się, nie bój mi się. W puszczy i nocą zawsze lepiej we dwoje, niż samotnie. Wstań no, wstań... dorzuć gałęzi...

Mlada podniosła się i z trwogą, którą opanować się starała, zawołała:

— Nic mi nie zrobicie? naprawdę nic mi nie zrobicie?

Skrzywił się człowiek, co miało oznaczać u niego uśmiech i rzekł:

— Ot! głupia niewiasta. Cóż ci mam zrobić? Albo to ja komu co złego robię? W puszczy żyję i jeno z dzikim zwierzem walczę. Ale dziś nic nie ubiłem i głodny jestem. No... no... Sambor się nazywam i idę do niedźwiedzia, a ty rozpal ognisko.

To rzekłszy odwrócił się i krokiem cichym oddalił się i znikł w ciemnościach nocy. Mlada została sama i tak tem wszystkiem była strwożona, że zrazu chciała dosiąść mierzynka i uciec stąd jak najprędzej. Ale powoli rozum i zastanowienie wzięły górę. Cóż jej może zrobić ten człowiek? Biedak to jakiś, zdziczały w puszczy, ale dobry i łagodny. Owszem będzie miała w nim obronę

i opiekę. Dokąd ucieknie wśród nocy? — jeszcze pobłądzi, oddali się od gościńca, zaprzepaści się w tej strasznej, nieskończonej puszczy. Lepiej oto posłucha rady Sambora i rozpali ognisko.

Nazbierała więc suchych gałęzi, rzuciła na ogień, który wkrótce buchnął wielkim płomieniem.

Drzewa sąsiednie oblał jaskrawy, chwiejący się blask purpurowy, zdwajając ciemności leżące w głębi lasu. Mlada usiadła i rozmyślała nad szeregiem tych dziwnych przygód, jakich doznała już wśród swej podróży i dziękowała Bogu, że ją tak cudownie dotąd ocalał z rąk szalonej kobiety i z paszczy dzikiego zwierza. Wstąpiła w nią teraz otucha i Sambor, który jej się zrazu wydawał okropnym wrogiem, teraz mógł być jej opiekunem i przewodnikiem. Siedziała oczekując go z niecierpliwością.

Zjawił się nakoniec, dźwigając na plecach dwie łapy i kawał zadniej nogi niedźwiedzia. Rzucił to wszystko na ziemię, oparł swą olbrzymią maczugę o najbliższe drzewo i rzekł krzywiąc się i spoglądając na dziewczynę:

— Będzie dobra wieczerza, ale musiałem z wilkami się borykać. Obżarły już cały grzbiet...

Usiadł i zabrał się do przyrządzania łap i gadał:

— Ty skąd się wzięłaś w puszczy?

— W podróży jestem.

— Hm! tyś nie tutejsza, prawda? inaczej jakoś gadasz. A możeś ty Niemka?

— Nie.

— No, to i dobrze, bo ja Niemców nie lubię. — Ale skąd ty się wzięłaś w puszczy, sama jedna i dokąd ty jedziesz? Mnie możesz powiedzieć, ja cię nie zdradzę. — Sam ja jak palec żyję w puszczy. — Dwadzieścia zim już minęło jak tłukę się po tym borze. — Kawał czasu! — Zbrodziłem też te lasy od jednej wielkiej rzeki, co się zwie Notecią, aż po tę rzekę co tu niedaleko płynie a nazywa się Wartą. — Ho! ho! byłem i za Wartą aż ku Odrze, dokąd puszcza idzie... Żyję czem mogę. — Biję zwierza, ptaki, ryby łowię, jagody i orzechy zbieram. — Czasem zajdę do gródka jakiego i za futro dostanę chleba trochę, trochę soli.

Umilkł, uśmiechnął się, spojrzał na dziewczynę i mówił:

— Ot gadam, bom już dawno z człowiekiem żadnym nie gadał, to mi się ckni trochę. Już trzy razy miesiąc się obrócił, jakem człeka nie widział: puszcza jest dobra, ale ckni się z nią samą. Zawsze jeno sosny i świerki, brzozy i dęby, buki i jawory, i szum ciągle ten sam i ryk zwierza ten sam. Ot i gadać mi się chce teraz, to gadam... Umyślniem tu zaszedł na gościniec nad Wartę, by człeka jakiego nadybać. A jakże się zowiesz?

— Mlada.

— Mlada, hm, jeszczem też nie słyszał takiego przezwiska. Ale to wszystko jedno. A ja się Sambor zowię, że to sam po borze chodzę.

Zasmiał się cicho i stłumionym głosem spytał:

— Dokądże ty jedziesz? Konia masz niczego, jeno zbiedzony i topór, widzę, masz. I ja miałem topór, ale mi się strzaskał o łby niedźwiedzie, a kamieni tu takich niema, żeby z nich dobry topór zrobić. Są, ale daleko, koło Poznania.

— Ja właśnie do Poznania jadę — wtrąciła Mlada.

— Do Poznania? Ho! ho! wielki to gród i król tam mieszka. Na bezrok powiadali mi ludzie, com ich napotkał nad Notecią, że w Poznaniu nową jakąś niemiecką wiarę zaprowadzają, budują wielkie chramy z kamienia. Ale co mi tam! niech se budują. Mój chram to puszcza i to niebo gwiaździste...

Podniósł się ciężko i obdartą ze skóry łapę niedźwiedzia położył na węgle, żeby się przypiekła. Mlada, zupełnie już uspokojona, zapytała się:

— A daleko stąd jeszcze do Poznania?

— O! daleko. Gościńcem nad rzeką to będzie ze dwa dni drogi, ale przez bór, naprzełaj, bliżej...

— A znacie, Samborze, tę bliższą drogę?

— Co nie mam znać? czy ja to czego w tej puszczy nie znam? Każde drzewo, każdy dąb, każdy strumyk, to moi przyjaciele. Ho! ho! nażyłem się ja tu do syta...

Przewrócił pieczeń na węglach, podniósł oczy na dziewczynę i uśmiechając się po swojemu, spytał:

— A ty znasz tę drogę?

— Nie znam. Skądże mam znać? Ja tu pierwszy raz w tej puszczy.

— Widzęć ja to, widzę. Nie jesteś zwyczajna boru i nie wiesz jak w nim żyć. Ogień źle założyłaś. Kto chce nocować u boru, winien ogień dokoła siebie rozłożyć, bo zwierz dziki, niedźwiedź, ryś, żubr może cię napaść nocą. A ogień to lepsze niż gródek z częstokołem. No, co? chcesz, bym cię doprowadził do Poznania bliższą drogą?

— Jakżebym nie miała chcieć? ale może to wam z drogi?

— Mnie z drogi? albo mi to nie wszystko jedno tu czy tam iść? na wschód lub na zachód słońca? A zawsze milej z kimś gadać w tym boru niż samemu słuchać szumu jaworów i jęku olch... Ot i pieczeń gotowa. Będziesz jadła?

— Nie, najadłam się do syta.

— Mam tu w kobiałce jeszcze krzynę soli...

Poszukał, osolił sobie pieczyste i chciwie zajadać począł i gwarzył:

— Niedźwiedź był bartnik, stary bartnik i miód lubiał. A tu niedaleko stąd, za rzeką, jest ul w starej lipie. Jutro podbierzemy go i najemy się słodkiego miodu.

Jadł chciwie i po chwili rzekł:

— Czemubym nie miał z tobą pójść? Pójdę, choćby do Poznania, obaczyć króla i kamienne chramy. Dzielna ty jesteś białogłowa, kiedyś bartnikowi dała radę, chocieś młoda. Ot teraz rozpalimy więcej ognisk, wyśpimy się spokojnie, a jutro świtaniem w drogę. Stąd o milę jest bród na Warcie, przejdziemy go i pójdziemy naprzełaj przez puszczę do Poznania... Ho! ho! dalekoć to, daleko, alem ja wszędzie chadzał. Jeno tam za rzeką trzeba się pilnować. Zbójcy się włóczą i żubrów jest też wiele. Chodzą gromadą i jak napadną człeka, to go stratują i rogami pobodą na śmierć. Ale mięso mają smaczne i kiszki na cięciwy do łuków jedyne.

Wstał skończywszy jedzenie, przeciągnął się, spojrzał na niebo, którego odrobinę z jakąś samotną gwiazdką było tu widać i rzekł:

— Chodźmy do rzeki napić się wody. I konia też trzeba napoić, bo jeść nic nie chce. Dorzuć gałęzi do ognia, żeby nie zgasł.

Wyruszyli z mierzynkiem i napoiwszy go i sami napiwszy się wody, wrócili do ogniska. Sambor pozbierał z wprawą i zręcznością całe stosy gałęzi, z których utworzył szerokie koło. Zapalił je wszystkie, tak że Mlada i koń znaleźli się w ich środku.

— No — rzekł Sambor, wchodząc także do środka — teraz możemy spać spokojnie. Nikt nam nie przeszkodzi, nawet ptak. Noc już będzie

nie długa, i ognisko do świtu palić się będzie. Idźmy spać.

Ułożył się wygodnie na pełnej liści i igieł ziemi i wkrótce zasnął ciężkim, mocnym snem. Mlada czuwała jeszcze jakiś czas, ale i ją wkrótce zmęczenie i sen zmorzyły.

Obudziła się, gdy szary świt rozwidniał już las, ptactwo świergotało wesoło, życie dnia budziło się wszędzie. Mierzynek leżał wyciągnięty na ziemi, a ogniska dogasały, wypaliwszy się doszczętnie. Obudził się też i Sambor, przetarł oczy i zerwał się na równe nogi.

— No! — zawołał — komu w drogę, to i czas. Nim jednak wyruszymy, trzeba upiec resztę niedźwiedzia, bo nie możemy się zatrzymywać w podróży. Przed nocą dostać się musimy na jedną kępę na jeziorze, w głębi puszczy i tam przenocujemy bezpiecznie. Tam zawsze nocuję, ile razy chodzę po puszczy za rzeką. Tam nas ani żubry, ani zbóje nie napadną, bo nie znają tego schroniska, jeno ja jeden. Na kępie jest jak w grodzie kamiennym bezpiecznie. Dalej, rozżarz ogień!

Mlada podsyciła ognisko, a Sambor zabrał się do pieczenia zadniej ćwierci niedźwiedzia.

— Na noc na kępie nałowimy sobie ryb i wieczerza będzie jak się patrzy. Węgorze tam są bardzo smaczne.

— A jakże się na kępę dostaniemy, kiedy łodzi nie mamy? — spytała Mlada.

— A skądże ty wiesz, że nie mamy? może i mamy. Obaczysz to, obaczysz.

Tak gadał i piekł niedźwiedzie mięso, a gdy to było gotowe, obsypał je solą, owinął starannie w liście bylicy, schował do kobiałki i chwytając swą maczugę, rzekł:

— Siadaj na konia i chodźwa!

Ruszył przodem krokiem szybkim, szerokim, jednostajnym, a Mlada za nim. W lesie świeży poranek wlewał w piersi dziewczyny rześkość i swobodę. Mając teraz takiego towarzysza jak Sambor, niczego się już nie bała i była pewną, że dostanie się do Poznania, uwiadomi o najeździe niemieckiem króla, ocali świętą wiarę! Modliła się w cichości gorąco i piła z liści rosę poranną. Szli długo bokiem gościńca, przekroczyli go na poprzek i znaleźli się nad rzeką, płytką bardzo w tem miejscu, tak że złoty piasek było widać pod wodą i rybki drobne srebrzyste blaski ciskające pod słońce. Sambor w lipowych postołach, łykiem koło nóg związanych, śmiało wszedł w wodę, mówiąc:

— Opłucze se człek nogi świętą wodą, to mu lepiej iść będzie. Ho! ho! teraz to ty obaczysz puszczę. Ta, coś nią dotąd szła, jest pełna ludzi i świerki w niej jeno, sosny i modrzewie rosną, i górki piasczyste, ale tu za rzeką, człek nie bywa,

jeno chyba zbójem jest. Tu' zobaczysz puszczę, jak ją Bóg stworzył. Są tam takie miejsca, gdzie nikt okrom mnie i dzikiego zwierza i ptaka nie zajrzał jeszcze. Widzisz jaka czarna ta puszcza! Czarnym borem ją też zowią. Wilcy tu jeno i żubry i niedźwiedzie się przechadzają, ano i zbóje... Stąd wychodzą i napadają za rzeką gródki i podróżnych na gościńcach. Dlatego też, mówię ci, trzeba być ostrożnym i słuch a oczy wytężać. Ho! ho! to mi puszcza dopiero...

Jakoż za rzeką roztaczało się olbrzymie, szerokie, zielone morze lasu liściastego. Widać było wielkie konary i większe jeszcze korony dębów; smutne olchy sterczały nad rzeką, złotoliści klon przeglądał tu i owdzie, i biała koszulka brzozy świeciła. Szedł od lasu tego wielki, rozległy, przepełniający sobą wszystko dokoła szum i woń bujnej roślinności. Ponad szczytami drzew, na zaróżowionem niebie unosiły się orły, żórawie z długiemi szyjami leciały gdzieś w głąb, krzycząc niekiedy przeraźliwie.

Przeszedłszy szczęśliwie Wartę, stanęli na przeciwnym brzegu. Tu Sambor zatrzymał się, zniżył głos i prawie szeptem mówił:

— Ja pójdę przodem, a ty za mną i bacznie patrz na boki i za siebie. Nie gadajmy teraz nic, bo w lesie głos idzie daleko. Ho! ho! drzewa są zdradliwe i lubią pić krew ludzką. No! z Bogiem naprzód, do jeziorka mamy cały dzień ciężkiej drogi.

To rzekłszy zarzucił maczugę na plecy, łuk na piersi przekręcił, tak że potrzebował go tylko podnieść i strzałę nałożyć, by strzelić. Ruszył przodem żwawym, dużym, jednostajnym krokiem, a wiatr tylko rozwiewał jego skołtunowane włosy i chwiał mu na głowie łbem wilczym. Za nim wyciągniętym stępem podążała na swym mierzynku Mlada pilnie oglądając się dokoła. Droga w lesie, wśród starych, odwiecznych drzew, które nie dopuszczjąc słońca do ziemi, niszczyły drobną roślinność, była dobra i nie trzeba się było przedzierać przez krzaki, jak z tamtej stony rzeki. Posuwano się też szybko. Sambor niekiedy się wstrzymywał, nadsłuchiwał, oglądał korę drzew i szedł w milczeniu dalej.

X.

Wilki i żubry.

W tej podróży dziwnej, wśród której Mlada i Sambor w głębokim milczeniu, jak widma przemykali się wśród rannego cienia, pod olbrzymiem sklepieniem liści drzew, przez które nie przedostawał się nawet najmniejszy promyk słońca, czas szybko biegł. Szli zpoczątku brzegiem strumienia, wpadającego do Warty, potem oddalili się od niego i mieli już przed sobą tylko drzewa i drzewa i woń lasu i silny zapach gnijącej roślinności. Gdy słońce nakoniec wzbiło się wysoko i świeciło prostopadle nad lasem, wtedy kilka promyków wdarło się przez koronę drzew i kładło się złocistemi, wyraźnie odznaczającemi się wśrod mroku, plamami na mokrej, pełnej liści i szczątków rozmaitych, murawie. Mlada poczynała być głodną i mierzynek też skubał w przechodzie trawę i liście z drzew, ale Sambor szedł ciągle. Nakoniec dostali się na prześliczną łączkę, porosłą tylko krzakami głogu, który kwitnął i zaróżowiał całą

polankę, jasno oświeconą przez słońce, pełną motyli, bąków, muszek tysiąca i pszczół, które miłym brzękiem dawały znać o sobie. Kilkanaście wielkich, starych, rozrosłych i popękanych lip, stało na brzegu tej łączki, a koło nich wiły się pszczoły, zdradzające przez to miejsce swego pobytu.

— Sambor przyszedłszy na łączkę, zatrzymał się i zwracając się do Mlady, położył palec na ustach. Dziewczyna stanęła i stłumiła niemal dech w sobie, poglądając dokoła z trwogą. Ale nic nie widziała. Wiatr chwiał różowymi od kwiatów krzakami głogu, słońce słało tysiące złocistych promieni, bąki z paskami czerwonymi na tułowiach, przebiegały z kwiatu na kwiatek, pszczoły brzęczały i ptactwo świergotało wesoło.

Sambor tymczasem, nie zwracając uwagi na widoczne przerażenie dziewczyny, wyszukał sobie między drzewami kawałek nagiej ziemi, położył się i przytknął do niej ucho. Słuchał tak długo, poczem wstał z twarzą uśmiechniętą i rzekł stłumionym głosem:

— No! możemy sobie odpocząć. Zdaje się, że żywej duszy niema blisko nas w lesie. Tak przynajmniej święta ziemia mówi. Ale zaraz to sprawdzę.

Rzucił na ziemię maczugę, zdjął z siebie łuk, strzały i kobiałkę, spojrzał po drzewach i wdrapał się na jedno z nich z nadzwyczajną zręcznością i szybkością. Dostawszy się na sam szczyt, długo

patrzał na wszystkie strony. zasłaniał sobie oczy rękami od słońca i w końcu gdy się na dół spuścił, rzekł:

— Nigdzie dymu nie widać. Nad puszczą unoszą się jeno mgły białe, nic więcej. No, zejdź z konia i puść go na trawę. Trawa tu wyborna, soczysta, podje sobie dobrze. Jest też tam strumyk to się napije.

Wziął kobiałkę, sięgnął w nią ręką i wydobył duży nóż kamienny.

— Odpocznij sobie, ja miodu podbiorę, będziemy mieli dobry obiad.

Mlada położyła się wśród bujnej trawy, a Sambor poszedł do jednej z lip, około której unosiły się roje pszczół. Wkrótce wrócił z dwoma ogromnymi plastrami, z których złocisty miód ściekał obficie. Pieczeń niedźwiedzia, miód i świeża woda ze strumyka, stanowiły wyborny i suty obiad. Gdy zjedli, gdy i mierzynek się napasł, Sambor kazał dziewczynie wstać, mówiąc:

— No, w drogę. Do jeziorka jeszcze kawał drogi, a trzeba doń dojść za dnia, bo inaczej to żubry nam zastąpią. Tutaj licznie chadzają żubry, cicho więc i w drogę.

I znowu więc w głębokiem milczeniu jak widma, przesuwali się wśrod drzew olbrzymich, w tajemniczym mroku puszczy. Żadna zresztą przygoda ich nie spotkała i nic nie zakłócało nieprzerwanej ciszy lasu. Nad wieczorem dopiero,

gdy słońce skryło się już za szczyty drzew, zdarzyło się, że nagle zając wyskoczył z poza krzaka leszczyny i przebiegł naprzełaj drogę podróżnym. Sambor spostrzegłszy to, nagle zatrzymał się i z wyrazem widocznej troski i niepokoju w maleńkich oczkach, zwrócił się do Mlady.

— Będzie nieszczęście! — szepnął — zając nam przebiegł drogę.

Dziewczyna wstrzymała konia i patrzała niemniej przerażona na swego przewodnika. Ten spuścił głowę i widocznie wahał się, co ma czynić.

— Nie wiem co robić — rzekł nakoniec — czy iść dalej, czy pozostać; i tak źle i tak źle. W puszczy takiej jak ta, niebezpiecznie jest nocować. Do jeziorka niema więcej jak dobre pół mili i przed zachodem słońca bylibyśmy tam doszli. Co robić? Tfu! na psa urok z tym zającem. Będzie nieszczęście.

— Ja myślę Samborze, że zdajmy się na Boga i idźmy dalej — zauważyła Mlada.

Pomyślał chwilkę i mruknął:

— Ha! chodźmy.

Ruszył naprzód wyciągniętym, szybkim krokiem. Puszcza stopniowo ciemniała i mrok w niej osiadał, a niebo nad nią gorzało złotem i czerwienią zachodu. Ptactwo powoli cichło i puszczyk już hukać poczynał posępnie w głębi lasu. Mlada jechała za Samborem z bijącem sercem, nadsłu-

chując pilnie i oglądając się dokoła trwożliwie. Lecz puszcza była ciągle cicha, tylko wiatr po niej chodził i grał zwykłą smutną pieśń śród liści.

Szli tak jakiś czas w głębokiem milczeniu, gdy nagle w tej ciszy, kołysanej jękiem wiatru, rozległo się potężne wycie, a zaraz potem huk jakiś straszny, trzask i dudnienie. Właśnie zbliżali się do małej polany, oświeconej jeszcze przez ukośne promienie zachodzącego słońca i zdawało się, że trzask ten, huk, łoskot jakiś wielki, szedł od tej polany.

W jednej chwili Sambor stanął jak wryty. Wyciągnął długą szyję i zdawał się nadsłuchiwać, poczem nagle, głosem, w którym drżała straszna trwoga, syknął:

— Z konia i na drzewo!

Rzekłszy to, ze zwinnością, dziwną w jego wieku, skoczył jak wiewiórka na najbliższy, ogromny dąb i chwytając się za gałęzie, wdrapał się wysoko. Mlada zrazu nie pojmowała, co się to dzieje i stała, trzymając silnie mierzynka, który się rwał i rzucał pod nią jak szalony.

— Z konia — zawołał Sambor — jeśli ci życie miłe.

— Ale cóż się stanie z koniem? — zapytała Mlada.

— Wolisz więc życie stracić, niż konia! Żywo! żywo, bo za chwilę będzie późno. Czy słyszysz?

Jakoż niepojęty ów, rozgłośny, powtarzany tysiącznem echem wśród lasu łoskot, wycie, ryk i trzask zbliżał się coraz bardziej, rósł we wrzawę ogłuszającą. Cała puszcza, zdawało się, drży w trwodze przed ową burzą okropną, która szła i wzrastała ciągle. Mlada co żywo zeskoczyła z konia, który rzucił się zaraz w bok jak szalony i znikł w ciemnościach zapadającego mroku. Dziewczyna pobiegła ku drzewu i przy pomocy Sambora, który jej podał rękę, wdrapała się na nie. Tu usiadłszy na wielkiej gałęzi, ukryta wśród liści, chwytając piersiami gwałtownie powietrze, szepnęła do Sambora:

— Co to?

— Żubry ścigane przez stado wilków. Drugie stado tych przeklętych zwierząt czyha tu za polaną na żubry. Widzisz jak się świecą ich oczy? Straszna tu będzie walka. Ale cicho, bo wilczyska dobre mają uszy...

Usadowił się wygodnie, rozgarnął rękami trochę liście dębu, tak że stąd mógł widzieć doskonale całą polanę. Tymczasem wrzawa i trzask łamanych zapewne drobnych drzew, zbliżał się coraz bardziej. Sambor w cichości, starając się jak najmniej robić szelestu, zdjął ze siebie swój wielki łuk, nałożył na cięciwę strzałę i tak czekał, pochylony naprzód, zapatrzony w polanę. Mlada modliła się w głębi duszy i serca.

Nakoniec wrzawa zbliżyła się zupełnie. Z co-

raz większych ciemności lasu, nagle wypadła w szalonym pędzie czarna gromada żubrów. Pędziły one szeroką linią, z łbami pochylonymi naprzód, z grzywami rozwianemi, bijąc się ogonami po bokach, rycząc straszliwie. Szły jak burza, jak huragan. W pędzie obalały drobniejsze drzewa, wstrząsały staremi, tratowały się wzajemnie, rogami we wściekłości bezcelowej wyrzucały ziemię i liście w górę. Było coś strasznego, coś nieskończenie potężnego w tym biegu gromady rozszalałych zwierząt. Otarły się blizko o dąb, na którym siedział Sambor i Mlada.

Ledwie przebiegły, gdy tuż za nimi ukazało się rojowisko wilków. Sadziły one zbitą gromadą, niezliczoną prawie. wyły i pomrukiwały, a oczy ich błyszczały, jak tysiące ruchomych gwiazd czerwonych i migotliwych. Biegły tak blizko za żubrami, że gdy jeden młody byczek, oślepiony trwogą i gniewem, uderzył łbem o wielki jawor i wskutek tego padł na przednie kolana, zaraz nań skoczyło kilkunastu wilków, obsiadły mu grzbiet jak stado kruków i żywcem go szarpać poczęły. Byczek podniósł się, łeb pochylił, zakręcił się, wierzgnął zadem, otrząsł się i kilku wilków spadło na ziemię, ale dwóch dosiedziało i zażarcie gryzło biedne zwierzę po karku. Tych, które mu z przodu zabiegły, stratował nogami. jednego porwał na rogi i z wściekłością uderzywszy nim o drzewo, rzucił zmiażdżoną, krwawą masę daleko.

Ale już obsiadły go inne ze wszech stron, skakały mu do gardła, gryzły po nogach, po grzbiecie, po brzuchu. Rzucał się jak szalony, ale jucha leciała zeń obficie, słabł coraz bardziej i choć drogo, bardzo drogo sprzedał swe życie, jednakże uległ. W jednej chwili z tęgiego, tłustego byczka, zostały tylko kości...

Podczas, gdy ta okropna walka toczyła się u brzegu lasu, na polanie rozgrywał się stokroć większy i straszniejszy bój. Gdy tam wybiegły żubry, nagle z brzegu lasu, wypadła przeciw nim druga, niemniej liczna gromada wilków. Żubrów było ze trzydziestu, a wilków taka ilość, iż zaczerniła się nimi cała polana. Widać było tylko mnóstwo kudłów, rozwianych wiatrem, świecących ślepi, krwawych paszcz. W tej masie brunatnej, szarej, falującej jak morze, kotłowało się, jak ukrop w garnku.

Żubry, widząc zastąpioną sobie drogę, zatrzymały się jak wryte. Ale naciskane z tyłu, w jednej chwili pochyliły swe łby wspaniałe, najeżyły grzywy i rogami uderzyły w zastępującą im kupę wilków, prąc naprzód, tratując, wyrzucając w górę z ogromną siłą tych, którzy dostali się na ich rogi. Wycie, mruk dziki, jęki, straszne jakieś głosy, odzywały się z tej zbitej gromady zwierząt. Co chwila wylatywał w górę wilk z ciekącą posoką, robił kilka koziołków i padał trupem na grzbiety żubrow lub swych towarzyszy; co chwila także

walił się ciężko ten i ów z gromady żubrów i zaraz pokrywała go rojna, zaciekła gromada napastników.

Nakoniec żubrom udało się stratować zastępujących im drogę i przedrzeć się na drugi brzeg lasu. Ale jakże ich niewiele się przedarło! Sambor naliczył ich zaledwie sześciu, reszta stała się łupem wilków. Podczas, gdy jedne puściły się dalej za uciekającymi żubrami, inne ogryzały swą zdobycz. W zbitych, ruchliwych gromadach, obsiadły pokonanych nieprzyjaciół, szarpały ich, kawałami wyrywały krwawe mięso, gryzły się między sobą, warczały wściekle, rzucały się wzajemnie na siebie. Powoli, gdy wszystko pożarły, i na polanie przy szarych blaskach dnia, świeciły tylko białe, nagie kości, poczęły rzucać się do lasu, w pościgu za zbiegłymi żubrami. Miejsce krwawego boju pustoszało coraz bardziej i zalegała je zwykła, nocna cisza; kilkunastu pozostałych włóczyło się jeszcze tu i owdzie, wyszukując zapomnianych kąsków, lecz i te wkrótce znikły za innymi. Poważne, mącone jeno szumem wiatru milczenie, zapanowało po strasznej wrzawie. Gdzieś tylko z głębi puszczy, od strony, w którą pobiegły ofiary i napastnicy, dochodziła daleka, głucha wrzawa, ale i ta cichła, cichła coraz bardziej, aż ucichła zupełnie. Nieskończona powaga i tajemniczy szept przyrody zapanował teraz w puszczy.

Sambor poruszył się na drzewie.

— No, w drogę, uciekajmy póki czas. Niezadługo wilki tu się wrócą i sprawiłyby nam takie same jatki, jak żubrom. Do jeziorka już niedaleko.

To rzekłszy, zsunął się z drzewa, pomógł dziewczynie do zejścia i biorąc ją za rękę, rzekł:

— Wyciągaj dobrze nogi, bo tu o życie idzie.

Puścił się naprzód tak szybko, że Mlada ledwie za nim nadążyć mogła. Głodna była, zmęczona, obezsilniona strasznem widowiskiem, jakie przed chwilą rozegrało się przed jej oczami, ale trwoga o życie popychała ją naprzód. Droga była zła. Ciemność, owa nieprzejrzana, nierozjaśniona niczem ciemność ogarnęła puszczę — i Mlada co chwila się potykała, a nawet przewracała — i trzeba było tylko głębokiej znajomości lasu Sambora, by nie pobłądził wśród takiej nocy.

— Ja w nocy dobrze widzę — gadał, dziwiąc się, że Mlada potyka się, lub uderza o drzewo. — No! no! — dodawał jej odwagi — już niedaleko, już czuję węchem wodę i zapach trzciny.

Jakoż uszedłszy jeszcze ze cztery stajania, wśród coraz bardziej rzedniejącego lasu, a raczej zmieniającego się w gęste krzaki, ujrzała Mlada jasną taflę wody, osrebrzoną przez księżyc, który

wspaniale wypłynął na ciemny szafir niebios. Sambor znowu się zatrzymał i słuchał, a potem szepnął do ucha Mlady:

— Zachowuj się cicho i ostrożnie.

Sam pochylił się i wyszli na mokrą łąkę, zarosłą bujną trawą, pełną karłowatych wierzb pogiętych dziwacznie olch i trzciny. Od wody szła świeżość, mile działająca na piersi, po dusznem, przepełnionem zgnilizną i wonią roślin, powietrzu puszczy. Sambor trzymał za rękę dziewczynę, szedł wolno, ostrożnie, starając się jak najmniej robić szelestu. Wkrótce poczęli brnąć po grzązkiem błocie, które im do kolan miejscami dochodziło. Zaszyli się teraz w las ogromnych trzcin, wśród których wiatr głośno szeleściał, tłókł je o siebie i zgłuszał kroki podróżnych. Droga była uciążliwa i nieznośna. Szczęściem niedługo trwała. Wkrótce dostali się na twardszy nieco brzeg, nagi, piasczysty. Tu Sambor kazał zatrzymać się dziewczynie, a sam zniknął gdzieś wśród trzciny i wkrótce pokazał się na wodzie, płynąc cicho na maleńkiem czółenku.

— Siadaj! — szepnął — a żywo. Nad jeziorem gromada jakichś ludzi, zbójów zapewne, obozowisko rozłożyła. Spiesz się.

Mlada nie potrzebowała, by jej to powtarzano dwa razy. Wskoczyła do łodzi i Sambor począł cicho, przy pomocy wiosła płynąć wzdłuż brzegu,

zarosłego krzakami, starając się być ciągle w cieniu. Woda na środku jasno srebrzyła się od miesiąca. Nakoniec, gdy w ten sposób dość długo płynął, nagle skręcił na środek, puścił się szybko i wkrótce zaczerniała przed nimi gromada wysokich trzcin i krzaków.

— Otóż i wyspa! — rzekł Sambor głośno i wesoło. — Teraz możemy być spokojni.

XI.

Samotna wyspa.

Łódź Sambora zatrzymała się przy dość stromym i wysokim brzegu, którego żółty piasek widać było przy blasku miesiąca, obrosłym ogromnemi, czarnemi drzewami. Wzdłuż tego brzegu płynął jakiś czas, wesoło i głośno gwarząc:

— Wywczasujemy się tutaj do syta. Tu niema ani wilków, ani żubrów, ani niedźwiedzi. Zające tylko biegają. Jutro, jeżeli ci nie pilno — radzę przez dzień jeden odpocząć po tylu strachach, jakich dziś doznaliśmy, upolujemy sobie zająca lub dzikich gęsi.

Płynął cicho, wolno wzdłuż brzegu, o który woda srebrzysta od księżyca, głośno pluskała.

— Głodna jesteś, co? Ano poczekaj — nałapiemy węgorzy. Najlepiej je łowić po nocy. Smaczna to ryba

W tem miejscu łódź okrążyła wystający nieco brzeg. Mlada nagle spostrzegła dziwne widowisko. Woda jeziora błyszcząca dotąd tylko odbitem

światłem miesiąca i rozbijana wiosłem, przelewała się jak roztopione srebro, teraz w kilku miejscach czerwieniła się od ognisk rozpalonych na przeciwnym brzegu. Brzeg ten był oddalony o jakie ćwierć mili i stąd widać było wyraźnie krwawe ognisko, rozłożone długim szeregiem wzdłuż brzegu i odbijające się krwawo w wodzie jeziora.

— Co to jest? — zawołała przestraszona Mlada — czy widzicie Samborze?

— Widzę, widzę. Mówiłem ci przecie, że zbóje rozłożyli obozowisko nad jeziorem.

— Zobaczą nas, zmiłujcie się, uciekajmy, schrońmy się!

Sambor zaśmiał się cichym śmiechem i rzekł:

— Nie bój się dziewczyno, nie zobaczą nas. A choćby i zobaczyli, jakżeby się do nas dostali? Łodzi nie mają, o wyspie tej nie wiedzą, a płynąć wpław taki kawał nie każdy się odważy. I nacoby mu się to przydało?

Właśnie łódź wpłynęła w małą zatokę, osłonioną trzciną i karłowatemi wierzbami. Brzeg tu był płaski i dogodny do wylądowania. Sambor przywiązał łykiem łódź do jednego z drzew i rzekł wychodząc na brzeg.

— Jesteśmy u siebie. Wychodź.

Mlada wyszła i ruszyła za Samborem, który pogwizdując wesoło postępował przodem. Brzeg podnosił się powoli; gdy doszli na jego szczyt,

Sambor zatrzymał się i począł się przypatrywać ogniom, które stąd doskonale było widać.

— Hm! — rzekł — to jest osobliwsze.

— Co takiego, Samborze? — zapytała żywo Mlada, którą przygody podróży nabawiały ciągłej obawy, tak że wszystkiego się lękała.

— Ano... za dużo tych ogniów. Raz, dwa, trzy — począł liczyć i naliczył dziesięć... — Dziesięć! — rzekł — nad wodą, a w lesie ich pewno drugie tyle, bo aż łuna bije, jakby puszcza gorzała. To nie mogą być zbóje. Włóczy się tu jeden, Grzmot przezwiskiem, ale ten ma jeno dziesięciu parobków. Pocóżby tyle ogniów rozkładał i tak wielki obóz? To tak jak wojsko, czy ja wiem?

Pomyślał chwilę, potem machnął ręką i rzekł, odwracając się:

— Co mi tam! niech sobie kto chce będzie, zbóje, nie zbóje, to mi wszystko jedno. Ja na wyspie nikogo się nie boję. Drwię sobie ze zbójów całego świata. Chodźmy!

Szli wązką ścieżką, wydeptaną zapewne przez Sambora, śród krzaków głogu i cierni kwitnących biało i dostali się wkrótce do małej chatki, skleconej z chróstu i oblepionej gliną. Miejsce dokoła niej było zarosłe ogromnemi olchami, które całkiem je zasłaniały.

— A to moja chata! — rzekł Sambor wskazując ręką — jak mi się uprzykrzy życie w pu-

szczy bez dachu nad głową, jak zapragnę spokoju i ciszy, to sobie tu idę i śpię dobrze i jem jeszcze lepiej.

Otworzył drzwi zamknięte z zewnątrz na kołek i wszedł do środka. Księżyc przedostawał się przez otwór w dachu i srebrne koło tworzył na dobrze ubitej polepie.

— No, Mlada! — zawołał wesoło Sambor — oto jest chróst, a tu krzesiwo. Rozpal ogień.

Wkrótce buchnął wesoły płomień i oświecił wnętrze chaty. Była ona maleńka, ognisko miała na środku, a cały jej sprzęt stanowiło kilka pniów olszowych, zgrubsza ociosanych. W kącie za nimi usłane było łoże z miękkiego mchu i siana, a dalej stały dwa cebrzyki z drzewa dość zręcznie zrobione i kilka wielkich i małych garnków glinianych.

— Mlado, weźno ten duży garnek, naczerp weń wody ze strumienia, coto zaraz za chatą płynie i przystaw do ognia. Ja pójdę łowić węgorze i zaraz wrócę.

Wziął żarzącą się głownię z ogniska i miał się ku wyjściu.

— Poco ogień bierzecie, Samborze? — spytała Mlada.

— A jakże ryby będę łowił? Po nocy bez ognia węgorzy łowić nie można.

— Jeszcze was zobaczą zbóje...

— Cha! cha! cha! a niech zobaczą, nie boję się ja ich. Ale nie obaczą oni, nie.

Rzekłszy to, wyszedł. Mlada zakrzątnęła się po chacie i w jednym z cebrzyków znalazła groch i trochę słoniny, zapewne z dzika. W drugim była sól.

— O! o! o! — szepnęła do siebie — wieczerza będzie jak się patrzy.

Wzięła największy garnczek i poszła po wodę. Zaledwie atoli przestąpiła próg chaty, gdy ją uderzyła mocna łuna od ogniska, jakie Sambor palił w odległości kilkuset kroków od chaty. Ognisko było tak znaczne, że musiano je widzieć na brzegu, gdzie stał obóz zbójecki, zwłaszcza, że Sambor zapalał opodal drugie. Zaniepokoiło to dziewczynę mocno, ale pomyślawszy sobie, że Sambor wie lepiej od niej co i jak czynić należy poszła szukać strumyka, znalazła go, zaczerpała wody i wracając, jeszcze raz spojrzała na to, co robi Sambor. Paliły się teraz trzy znaczne stosy suchych gałęzi i łuna biła od nich mocno i krwawiła sobą chmury na niebie.

— Ani chybi, obaczą nas! — szepnęła.

Ale znów uspokoiła się tą myślą, że Sambor jest człowiekiem doświadczonym i obytym z puszczą, że jeżeli pali ognie, to z pewnością jest przekonany, że bezpieczeństwu ich na wyspie nic nie grozi. Weszła do izby, przystawiła garnek do ognia, wsypała weń grochu i usiadłszy sobie na

pniaku, oczekiwała swego towarzysza. Ogień wesoło pryskał, groch się warzył w garnku, a z zewnątrz dochodził tylko zwykły, smutny szum puszczy. Wkrótce i Sambor wrócił niosąc sześć długich węgorzy. Dwa ugotowano w garnku z grochem, a cztery upieczono na węglach. Wieczerza była dobra i obfita.

— Samborze — rzekła Mlada – paliliście tak wielkie ognie, że musiano je widzieć z brzegu.

— To i cóż, że widziano? — ozwał się na to ze zwykłym swym uśmiechem — niech sobie widzą! Tu na wyspie chyba Bóg jeden i bies drugi mógłby nas dostać.

Gdy spożyli wieczerzę, Sambor rzekł:

— A teraz spać. Wywczasujemy się doskonale, mech miękki i suchy. Przygaś ogień Mlado. Przez jutro odpoczniemy sobie, zabijemy kilka zajęcy a może i ryb uda się złowić, porobimy zapasy na pojutrze w drogę.

Mlada powstała, by przygasić ogień, gdy nagle Sambor, który szedł ku drzwiom, zatrzymał się gwałtownie, wyciągnął długą szyję i stał tak z oczami szeroko otwartemi, nadsłuchując pilnie. Nim Mlada mogła zrozumieć, co się stało, zwłaszcza, że do uszu jej nie doszedł najmniejszy nawet, podejrzany szelest, Sambor spojrzał na nią, przyłożył palec do ust i począł cichutko i ostrożnie skradać się ku drzwiom. Po chwili

chwycił ogromną maczugę, otworzył lekko drzwi i wysunął się na dwór.

Dziewczynę ogarnęła straszna trwoga. Czuła, że jej grozi straszne niebezpieczeństwo, a nie znając tego niebezpieczeństwa, obawiała się jeszcze więcej.

— To ognie Sambora nas zdradziły — myślała — z pewnością zbóje są na wyspie. Jezu Chryste, ratuj mnie!

Upadła na kolana przy ognisku, zakryła rękami twarz i modliła się i słuchała, czy z zewnątrz nie dojdzie jej jaki głos, w którymby poznać mogła jakiego rodzaju jest niebezpieczeństwo.

Nie długo na to czekała. Pod jedną ze ścian chaty rozległy się gwałtowne kroki, jakby kilku ludzi, stłumiony, chrapliwy głos Sambora, coś padło ciężko i uderzyło o ścianę, aż się zatrzęsło, szamotanie się, głuche sapanie, ciosy silne i szybkie, potem szelest, jakby ktoś kogo ciągnął po ziemi, i w końcu przed oczami przerażonej Młady ukazał się w otwartych drzwiach chaty Sambor. Pot mu spływał po twarzy, usta drżały, oczy ciskały błyskawice. Łeb wilczy spadł mu z głowy i ukazały się jego włosy kędzierzawe, wzburzone, skołtunowane. Szedł wlokąc coś ciężkiego za sobą, przestąpił próg chaty i pod nogi zdziwionej i przestraszonej dziewczyny cisnął długie ciało jakiegoś męża. Ognisko oświeciło jego

bladą twarz, po której spływało kilka kropli krwi, jego brodę ciemną, jego pancerz skórzany, pas nabijany ćwiekami, a w nim zatknięty topór żelazny. Na nogach miał piękne, wysokie buty, ze skóry niemalowanej, zmoczone i obryzgane błotem i kurzem.

Był to jeszcze młody człowiek, może ze trzydzieści lat liczący, wysoki, silnie zbudowany. Gdy Sambor cisnął nim o ziemię, otworzył swe duże, czarne oczy pełne trwogi i zdziwienia i zaraz je przymknął.

Sambor oddychając ciężko, nadział łeb wilczy na głowę, pochylił się nad nieznajomym, szarpnął nim mocno i zawołał groźnym, ochrypłym głosem.

— Wstawaj zbóju, bo ci łeb roztrzaskam!

W ręce trzymał swą straszną buławę, nabijaną ostrymi krzemieniami, w których gładkiej powierzchni przeglądały się płomienie ogniska.

Nieznajomy otworzył znów oczy, spojrzał na swego zwycięzcę, odetchnął ciężko i wspierając się na ręce, podniósł się z trudnością i usiadł. Odetchnął jeszcze parę razy, otrząsł się, obtarł krew z twarzy i rzekł:

— Bodaj cię piorun trzasł, jakeś mnie zdzielił. Ledwiem żyw.

Obejrzał się dokoła, popatrzał na Mladę, przymykał oczy i znów je otwierał. Sambor szarpnął drugi raz i zawołał:

— Gadaj, kto ty jesteś? zbój? parobek Grzmota? Hę?

— Grzmota? jakiego Grzmota? — zapytał jeniec spoglądając ze zdziwieniem na Sambora.

— Zbója takiego jak ty, psi synu.

— Ja nie jestem zbój.

— A cóżeś ty jest?

— Jam jest dworzanin królewski, ty psie stary. Ciężko ty odpowiesz za mnie.

Oprzytomniał zupełnie, podniósł się na nogi, choć z trudnością, stękając nieco i mówił groźnie:

— Nie waż mi się nic złego czynić, bo jeśli świtaniem nie wrócę do obozu, przyjdą tu inni i pasy z ciebie drzeć będą. Rozumiesz niewolniku?

Mlada usłyszawszy, że nieznajomy jest dworzaninem królewskim, aż klasnęła w ręce z radości, a widząc w oczach Sambora wybuchający gniew, podbiegła ku niemu i nuż go prosić:

— Samborze, mój druhu, uspokójcie się. Wypytajcie tego dworzanina, czy może do Poznania nie będziemy potrzebowali już iść...

— Do Poznania! — zapytał dworzanin — a pocóż wy do Poznania iść chcecie?

— Do króla Mieszka — odezwała się Mlada — mamy ważne poselstwo.

— A co ty, Czeszka jesteś?

— Czeszka.

— A jakie ty masz poselstwo?

— To już tylko królowi powiem, lub Dąbrówce królowej.

— Tak? a cóż wy tu robicie?

— Odpoczywamy.

— A skądżeś ty się tu wziął? — przerwał tę rozmowę Sambor i zbliżył się do dworzanina.

— Przypłynąłem na łodzi. W obozie naszym zobaczono łunę od ognisk, a że myśleliśmy, że tu jest osada pogańska, więc król wysłał mnie na zwiady.

— Król? — zawołała Mlada — więc król tu jest?

— A jest, i królowa także.

— Boże mój, Jezu Chryste, bądź pochwalon! — zawołała z uniesieniem radości Mlada.

Dworzanin na nią spojrzał zdziwiony i zapytał:

— Co, tyś chrześcijanka?

— Chrześcijanka.

— Patrzajże! i do króla Mieszka idziesz?

— Tak.

— Ano, nie potrzebujesz go daleko szukać, bo on tu jest za wodą w obozie.

Sambor słuchał tego mroczny nieco i ponury. W końcu odezwał się.

— Jam myślał, że ty zbój, więc poturbowałem cię trochę. Ale kiedyś nie zbój i nie grozisz nam niczem, to idź sobie skądeś przyszedł. Ale powiedz ty mi wprzódy, co tu król Mieszko czyni w puszczy.

— Szukamy osad pogańskich i gontyn z bałwanami. Z nami jadą księża i biskupi, pogan chrzcimy i uczymy ich prawdziwej wiary, gontyny burzymy, bałwany kruszymy.

— Hm! — mruknął Sambor — uczycie niemieckiej wiary.

— To nie jest wiara niemiecka, tylko prawdziwa nauka o jednym Bogu nieśmiertelnym, Samborze! — zawołała z ogniem Mlada. — Wybacz, dobry mój druhu, żem ci dotąd nie powiedziała, iż jestem chrześcijanką, ale czasu nie miałam... Teraz pójdziesz ze mną do króla Mieszka?...

— A nie pójdę! Poco ja tam? Jam stary i moich bogów nie opuszczę.

Rzucił maczugę w kąt z gniewem, usiadł na pniaku, wsparł głowę na ręku i zapatrzył się zadumany w ognisko.

— Pójdziesz Samborze, bo nie wiesz z czem ja jadę do króla Mieszka.

— A z czemże ty jedziesz?

— Dowiesz się później, a teraz jedźmy do obozu królewskiego.

— Poco? teraz? — oburknął się Sambor — nie lepiejże to za dnia? Teraz miesiąc zaszedł, wielkie mgły włóczą się nad wodą, można pobłądzić i całą noc tłuc się po jeziorze, lub zabrnąć w szuwary, by z nich nigdy już nie wyjść. Za nic teraz nie pojadę. Świtaniem odwiozę cię

do obozu, Mlada, bom ci przyrzekł, że cię zdrową i całą dostawię do króla Mieszka. A teraz spać. I ten rycerz spoczynku potrzebuje i my także. Spać!

To rzekłszy rzucił się na miękki mech i wkrótce słychać było jego głośne chrapanie. Za tym przykładem poszła Mlada i dworzanin, i cisza zaległa biedną chatkę na samotnej wyspie.

XII.

Król Mieszko.

Gdy szary, chłodny świt letniego poranku zajrzał do chaty, Sambor zerwał się z posłania, zbudził Mladę i dworzanina i kazał im się wybierać.

— Odwiozę cię, Mlada, — mówił — kiedy tego chcesz, ale nie wysiądę nawet na ląd. Co mi tam król Mieszko i nowa wiara niemiecka. No, jedźmy!

Wyszli na dwór i owiało ich zimne, wilgotne powietrze puszczy. Nad jeziorem unosiły się ogromne mgły, które dopiero słońce rozpędzić miało. Poranek był cichy i smutny, a smutku tego rozweselić nie mógł nawet gwarny świegot ptactwa.

Przyszli na brzeg, Sambor łódź odwiązał i wydobył ją zpośrodka szuwarów. Dworzanin siadł też na swoją i puszczono się na spokojne, lekko tylko wietrzykiem marszczone, fale jeziora.

Płynęli w milczeniu. Sambor był chmurny i siedział nastroszywszy brwi, jak sokół i wiosłem robił szybko i silnie. Mlada myślała o wszystkich przygodach i niebezpieczeństwach, jakich doznała

w puszczy, i gorąco dziękowała Bogu, że ją tak cudownie ocalił z paszczy dzikich zwierząt i z rąk dzikszych jeszcze ludzi.

— Bóg — mówiła sobie — widocznie opiekował się mną i sprawą swoją świętą, dla której ja sama jedna, słaba dziewczyna, odważyłam się na tak długą i niebezpieczną podróż.

Mgła powoli rozdzierała się pod wpływem słońca, które wychyliło swe złociste oblicze zpoza czarnych szczytów drzew puszczy. Nad jeziorem płynęły we mgle klucze żórawi i sokół rybołów kołysał się na skrzydłach, upatrując zdobyczy. Tu na środku jeziora nie słychać było świegotu ptactwa i cisza wielka na niem leżała, wiatr tylko przynosił melancholijny szum puszczy. Powoli mgła znikła, słońce ozłociło spokojne zwierciadło wody, przejrzało się w niem, i Mlada ujrzała niedalekim już brzeg, na którym unosił się dym od ognisk licznych i gwar i rżenie koni rozlegało się szeroko. Wkrótce zbliżono się tak, że rozróżnić można było ludzi, duże, białe namioty, ogniska. Służba prowadziła mnóstwo koni i poiła je w wodzie. Spostrzeżono z brzegu łodzie i dworzanin stanął na swojej i zdjąwszy kołpak z głowy, potrząsał nim wesoło. Na ten widok liczna bardzo gromada zbrojnych ludzi, ubranych w skórzane pancerze, niektórzy w hełmy żelazne, w których słońce się przeglądało, zebrała się na brzegu i przypatrywała się ciekawie łódkom i osobom na nich się znajdującym.

Nakoniec przybito do brzegu, na który dworzanin wyskoczył i witał się ze swymi towarzyszami.

— Witaj Staszku, — rzekł do niego jeden ze zbrojnych — jużeśmy myśleli, żeś przepadł, utopił się, albo cię zbóje zamordowali, i wojewoda Krzesław chciał już wysyłać drużynę, by cię szukano.

— Chwała Bogu, zdrów jestem i cały, choć mię podrapano nieco, ale to z własnej mojej winy, — odrzekł wesoło Staszek.

Poczem, obracając się do jednego z obecnych, zapytał:

— Czy już król wstał?

— Wstał i mszy świętej słucha z królową.

— No, to czekać musimy — odezwał się do Mlady, która właśnie wyszła z łodzi i patrzała na dworzan i na całe to gwarne i ruchliwe obozowisko. Sambor tylko nie ruszył się, ale stał na łodzi, wsparty na wiośle i ponuro spoglądał dokoła.

Obóz rozłożony był pod olbrzymimi dębami, na suchem, śliczną murawą porosłem wzgórzu, tuż nad samem jeziorem. Ludzi było mnóstwo i na oko Mlada naliczyła ich około dwustu, a wszyscy uzbrojeni we włócznie, miecze, topory, łuki, w pancerze skórzane, takież tarcze, na których pomalowane były różne znaki i potwory, przeważnie jednak orły. Koni też było mnóstwo i kilka wielkich namiotów, uszytych albo z płótna, albo ze skór

zwierzęcych. Liczne ognie się paliły i na nich gotowano strawę, lub pieczono mięsiwo.

Dworzanina, przezwanego Staszkiem, towarzysze poczęli wypytywać, coto za dziewczyna z nim przyjechała i coto za jeden, ten dziki mruk, co tam stoi oto na łodzi?

— Czy ja wiem, — odpowiadał na to Staszko. — Dziewczyna Czeszka jest i z poselstwem pono jedzie do króla. Ich dwoje tylko znalazłem na tamtym brzegu. O zbójach ani słychać.

Nakoniec doniesiono, że msza święta się skończyła i do króla można już pójść.

— Więc idziemy do króla? — spytał Staszko Mlady.

— Dobrze! dobrze!

Postąpiła parę kroków, zatrzymała się, zawróciła i pobiegła do Sambora.

— Samborze, — rzekła — przyrzeczcie mi, że nie odjedziecie przed moim powrotem od krola.

Sambor popatrzał na nią smutno i odpowiedział:

— Dobrze, będę cię czekał.

Staszko nalegał by się śpieszyła i Mlada z bijącem sercem ruszyła za swym przewodnikiem. Przeszli prawie cały obóz, śród mnóstwa ludzi, którzy ciekawie przypatrywali się opalonej, brudnej nieco dziewczynie, w odzieży poszarpanej i zniszczonej. Namiot królewski mieścił się na lekkiem wzgórzu, na drugim końcu obozu i przed nim za-

tkniętą była w ziemię wielka, czerwona chorągiew z orłem, którą głośno wiatr miotał. Namiot był otwarty i u jego wejścia stał mąż nizkiego wzrostu, ale krępy i silny. Na głowie miał wysoki kołpak bobrowy z czaplem piórem spiętem spinką, z błyszczącego drogiego kamienia i złota. Ubrany był w długą opończę, wydrami podbitą, zpod której wyglądały żółte trzewiki, z nosami mocno zakrzywionymi. Stał i małemi, siwemi, bystremi niezmiernie i dzikiemi nieco oczkami patrzał przed siebie i ręką miął krótką kędzierzawą nieco brodę. Długie włosy spadały mu na ramiona.

Obok niego stał siwy, jak gołąb mąż, wysokiego wzrostu, surowego oblicza, z hełmem żelaznym na głowie, ustrojonym u szczytu w pawi ogon, zrobiony z różnobarwnych paciorków, ubrany także w futrzaną opończę i rozmawiał z nizkim, małym, suchym staruszkiem w purpurowej sutannie i z małą, czerwoną czapeczką na głowie.

Staszko spostrzegłszy tych mężów, rzekł do Mlady:

— Ten we środku, to król Mieszko, a ten w hełmie, wojewoda Krzesław, a ten, to arcybiskup Wilibaldus. Pokłoń im się, gdy staniesz blizko.

Jakoż gdy stanęli przed królem, Staszko zdjął kołpak z głowy i pokornie pokłonił się do nóg królewskich. To samo uczyniła Mlada. Król pa-

trzał na nią surowo i spytał głosem grubym i silnym:

— Coto za białogłowa?

— Miłościwy panie, — odrzekł Staszko — jest to dziewka, którą znalazłem na przeciwnym brzegu, wysłany dla dowiedzenia się, co tam za ognie palą.

— A cóż? zbóje tam są, czy może jaka osada pogańska? — zapytał żywo król.

— Nie, miłościwy panie, jeno tę dziewkę znalazłem i starego jednego męża. Dziewka powiada, że do Poznania szła z poselstwem do was, królu.

— Do mnie? — zawołał Mieszko i ostrym ruchem zwróciwszy się do Mlady, zapytał: — Co masz za poselstwo? co ty za jedna? skąd jesteś?

— Czeszka jestem.

— Czeszka! — zadziwił się król i wpatrzył w nią ciekawie — może ty...

Przerwał nagle i spostrzegłszy, że liczny tłum dworzan przysłuchuje się tej rozmowie, obrócił się do Krzesława i rzekł:

— Wojewodo, każ im odstąpić precz!

A gdy wojewoda nakazywał dworzanom, by się oddalili, król pytał:

— Może masz poselstwo od mego ojca i brata, króla Bolesława?

— Nie.

— Ano tak, — zauważył król — skądżeby znowu Bolesław miał białogłowy w poselstwie

wysyłać? Co ty za jedna? skąd się tu wzięłaś w tej puszczy?

— Gdym jechała na wozach z królową Dąbrówką, mą panią, napadli nas zbóje i mnie porwali i zawlekli daleko w puszczę.

— A! to ty?... patrzajże! — zawołał król — jakże ty się zowiesz?

— Mlada.

— A tak, tak. Ano... chodźże do królowej, rada cię zobaczy.

— Miłościwy królu, — przerwała Mlada — ja mam do was poselstwo.

— Poselstwo? od kogo?

— To jest... nie poselstwo... ale mam dać wam ważne wiadomości. Dla nichto uciekłam z rąk Waligóry, zbrodziłam całą puszczę i szłam do Poznania.

— Wiadomości? jakieżto? gadajże, gadaj!

Król przytem niecierpliwie się kręcił na miejscu, przestępywał z nogi na nogę szarpał opończę i wołał:

— Krzesławie, chodźcieno tu, chodźcie!

Mlada tymczasem opowiedziała wszystko co wiedziała o poselstwie Ottona, o zamiarach Wigmana, o gotującej się wojnie, o tem, że Niemcy w kmieciach, osiadłych za wielką puszczą, znaleźli sprzymierzeńców, i tak zakończyła:

— Miłościwy królu, śpieszyłam ile sił starczyło,

bo wojna to blizka. Otton już jest między swymi i lada dzień zapewne wpadnie z hordą Wilinów.

Wieść przyniesiona przez Mladę, zrobiła silne wrażenie na królu i Krzesławie. Arcybiskup tylko milczał, bo jako Włoch nie rozumiał polskiej mowy. Krzesław zaś mówił:

— No, nie napadną oni zaraz. Znam ja ich, nie ruszą się pierwej jak po żniwach, jak zwierz się w puszczy rozmnoży, jagody i orzechy dojrzeją, miody po pasiekach będą gotowe i buczyna owoc urodzi. Wcześniej się nie ruszą, ale i tak czasu nie wiele mamy, trzeba coś radzić.

Mieszko zakręcił się niespokojnie i rzekł:

— Chodźmy do królowej.

Skinął na Mladę i poszli do sąsiedniego wielkiego namiotu, gdzie otoczona kilku służebnemi, siedziała na ławie, czerwonem suknem krytej, królowa Dąbrówka. Niemłoda już była i nieładna; wielkie, czarne, ogniste oczy miała i włosy takież długie i rozpuszczone, których niczem nie pokrywała, jak dziewka, co gorszyło bardzo ówczesnych Polaków. Ubrana była także w futrzaną opończę i suknię długą, modrej barwy.

Gdy spostrzegła dziewczynę, wpatrzyła się w nią pilnie i klasnąwszy w ręce, zawołała głośno:

— Mlada! Mlada! ty tu? więc żyjesz? skądeś się wzięła? Mlada przypadła do nóg królowej, a ta pogłaskała ją po głowie i poczęła się dopytywać, skąd się wzięła, co się z nią działo,

jakim sposobem znalazła się teraz w obozie królewskim, w głuchej puszczy? Nim Mlada zdołała odpowiedzieć na te pytania, już król począł mówić żywo i prędko o margrafie Wigmanie, o Wilinach, o wojnie i pogaństwie, chcącem wytępić świeżo zaszczepioną nową wiarę. Królowa aż porwała się z siedzenia, usłyszawszy te wiadomości i załamała ręce, mówiąc:

— Mieszku, co czynić, co czynić? Kim się obronimy, kim stawimy czoło żelaznym niemieckim rycerzom? Twoja drużyna ledwie kilkuset zbrojnych wynosi, a Niemców jest jako piasku w morzu i z nimi jeszcze idą Wilini i pogaństwo, straszne pogaństwo! A, mój Boże, mój Boże! trzeba zaraz do Poznania wrócić, wici rozesłać, ognie pozapalać, gród w żywność i broń opatrzyć.

— Ba! — ozwie się na to wojewoda Krzesław — do Poznania nie sztuka wrócić. Będziemy tam jutro na odwiecerz, ale cóż nam to pomoże? W co uzbroimy gród i kto go bronić będzie? I nie w Poznaniu nam trzeba czoło stawić nieprzyjacielowi, bo gdyby on doszedł aż do Poznania, to wszyscy kmiecie, wszyscy wojewodowie, co teraz są pozornie chrześcijanami, a w duszy pragną powrotu dawnej, pogańskiej wiary, połączą się z nim. Nam, królu, trzeba iść w puszczę, aż ku ziemi Wilinów i tam się oprzeć najazdowi.

— Iść, dobrze, ale z kim? — spytał król. —

Zależeliśmy w pokoju i wszystko trzeba dopiero przygotowywać.

— Ja też myślę, — zauważył Krzesław, — że trzeba posłać gońca do Pragi, do króla Bolesława, by nam przysłał na pomoc swych wojaków. Jeno ten goniec musi iść zaraz, tu z obozu, bo do Pragi daleko, a czasu wiele niema.

Wszystkim się ta rada bardzo podobała. Dąbrówka wołała:

— Tak, tak, dobrze mówi Krzesław. Mój brat, król Bolesław, jest potężny i ma mnóstwo dzielnych wojaków. Niechby nam przysłał choć paruset swych jeźdców w żelaznych zbrojach, to jużbym się i Wigmana i wszystkich Wilinów i wszystkich pogan nie bała.

Poczęto teraz rozmyślać, komuby powierzyć to ważne poselstwo, kto zna tę puszczę i jej tajniki i drogi. Napróżno Krzesław tarł czoło, nikogo wymyśleć nie mógł.

— Z Poznania — mówił — to łatwo wysłać, choćby Zelisława, ale stąd z tej ogromnej puszczy?... A tu szkoda czasu, dobre i dwa dni. Przez dwa dni, można kawał drogi zrobić. Posłać można Staszka, ma dobrą głowę, ale kto go przez puszczę przeprowadzi?

Mlada, która stojąc skromnie na uboczu przysłuchiwała się całej tej rozmowie, nagle, zarumieniona silnie, wystąpiła naprzód, pokłoniła się do kolan królowi i rzekła:

— Miłościwy królu i ty pani moja. Jest tu taki człowiek, co zna puszczę doskonale, co ją zbrodził wszerz i wzdłuż, i który zaraz stąd może wyruszyć i doprowadzić posła do złotej Pragi.

— Gdzież jest ten człowiek? Któż to taki? — począł się król dopytywać.

Wtedy Mlada odrzekła, że ten człowiek siedzi tam przy brzegu na łodzi i zwie się Sambor, że jest poganinem, ale zapewne, jak mu król każe, pójdzie wszędzie, że to jest człowiek dobry i uczciwy, i z puszczą obyty, jak z własną chatą.

Król usłyszawszy to, natychmiast kazał wołać Sambora. Przyprowadzono go do namiotu, zdziwionego i przestraszonego nieco. Przyszedł, pokłonił się królowi do kolan i stanął w wilczym łbie, spoglądając niespokojnie i nieufnie dokoła.

Król zwrócił się do niego i spytał:

— Ty kmieć?

— Kmieć.

— Nakaz ci daję, byś szedł stąd zaraz jako przewodnik posła naszego do Pragi, do Czech, do króla Bolesława.

Sambor wytrzeszczył maleńkie oczki i rzekł:

— Ja nie wiem gdzie Praga, nigdy tam nie byłem.

— A Wrocław, wiesz gdzie jest?

— Wrocław? a, to wiem... tam het za puszczą.

— No, to pójdziesz do Wrocławia, do naszego wojewody i on ci wskaże drogę do Pragi. Dosta-

niesz konia, szaty nowe i broń i pójdziesz zaraz i poprowadzisz posła naszego.

Sambor stał nie pojmując tego wszystkiego, ale nakaz był wyraźny i Mlada patrzała nań oczyma pełnemi prośby.

— Wola wasza, panie, — rzekł wkońcu — pójdę gdzie każecie.

— Śpiesz jeno, czasu nie trać! — dodał wojewoda Krzesław.

— A jam gotów, choćby zaraz.

Jakoż wkrótce potem. Sambor ze Staszkiem wyruszyli konno i zbrojno w poselstwie, a obóz królewski zwinięto i puszczono się z powrotem do Poznania.

XIII.

Pułki czeskie.

Upłynęło kilka tygodni, żniwa się rozpoczęły, bardzo obfite i plenne w tym roku i miały się już ku końcowi, a poseł, do króla czeskiego Bolesława wysłany, nie wracał i znaku życia nie dawał. A tymczasem wieści przyniesione przez Mladę sprawdzały się. Komornik królewski trzymający gródek nad Notecią, niedaleko od ujścia tej rzeki do Warty, donosił przez umyslnych, że w wielkiej puszczy lud zbrojny się gromadzi koło sławnej gontyny Lelum Polelum i odgraża się, że pójdzie na Poznań i króla i nową wiarę mieczem wytępi. Ku końcowi żniw dochodziły wieści, że Niemcy już weszli w puszczę... Wszystko to wielkim niepokojem napełniało dwór królewski w Poznaniu. Poczęto się obawiać czy Staszko, z Samborem dostali się do Pragi, czy nie zginęli gdzie w drodze tak dalekiej i tak pełnej niebezpieczeństw. Król Mieszko gryzł się i nie sypiał po nocach. Wprawdzie zbrojono się w Poznaniu.

ściągano skąd można było wojska, ale tych było niewiele, ledwie pięciuset zbrojnych zebrano. Z taką siłą, źle opatrzoną w broń, nie można było nawet marzyć o skutecznem stawieniu czoła przewadze niemieckiej. Nie mając ich czem żywić pod Poznaniem i lękając się by się nie rozeszli, Mieszko ku końcowi żniw wysłał ich pod wodzą Krzesława w puszczę za Wartę, by strzegli gościńca i w razie pojawienia się Niemców rwali ich gdzie mogli i jak mogli i tym sposobem opóźniali ich pochód. Krzesław wyruszył i idąc gościńcem wolno i ostrożnie dowlókł się aż do gródka Bolkowego, co stał za Wartą, niedaleko chaty Zmory i który Mlada tak usilnie w swej podróży ominęła. Bolko przyjął Krzesława trochę kwaśno i markotno, bo sam należał do przeciwników króla Mieszka i nowej wiary, ale zmilkł, bo wiedział, że Krzesław silniejszy i żartować nie lubi.

Krzesław więc zajął gród Bolkowy swemi wojskami, a z resztą rozłożył się pod gródkiem, na obszernych niwach i łąkach i wysyłając codzień podjazdy po gościńcu, ku gontynie Lelum Polelum i w inne strony puszczy, czekał i Niemców, i posiłków króla Mieszka.

Ale król nietylko, że sam się nie pojawiał, ale i posiłków nie przysyłał. Jakoż gdy żniwa przeszły, a pomocy z Czech nie było, wielki smutek zapanował na dworze w Poznaniu. Krzesław

w dodatku jednego dnia przez posła doniósł, że Margraf Wigman na czele pięciuset zbrojnych w żelazo rycerzy niemieckich, i ogromnej gromady, którą obliczają na kilka tysięcy zbrojnych Wilinów i innych pogańskich Słowian, wkroczył w wielką puszczę, rozłożył się obozem koło gontyny Lelum-Polelum i stamtąd rozesłał wici, by wszyscy zdolni do noszenia broni mężowie, siadali na koń lub przybywali się z nim łączyć. Że on, Krzesław, złapał takiego jednego posła z wiciami, jak się wkradał w gródek Bolkowy, że zatem to co donosi jest szczerą prawdą; wzywa zatem króla Mieszka, by przybywał jak najprędzej z pomocą, bo jeno patrzeć jak Wigman wzmocniony znacznie, wyruszy z pod gontyny Lelum-Polelum i pójdzie dalej, a on, Krzesław nie jest mu przecież w stanie ze swoją garścią wojaków stawić czoła.

Gdy to wszystko król usłyszał, łamał ręce z rozpaczy, zalewał się łzami i wołał:

— O Wigmanie! Wigmanie! cóżem ci winien?

Chciał już wysyłać posła do cesarza, ze skargą na Wigmana, ale królowa Dąbrówka mu rzekła:

— To was, Mieszko, nie ocali. Nim poseł dojedzie do Merzeburga, nim znajdzie cesarza, który kto wie czy w tem mieście bawi, nim cesarz rozeszle rozkazy, to Wigman będzie miał czas nas podbić i wiarę chześcijańską obalić. Do cesarza trzeba wysłać ze skargą na Wigmana, ale tymczasem

bronić się do ostatka czem można. Zbierz jeszcze trochę zbrojnych i idź z nimi w puszczę i staraj się nagłymi napadami rwać Niemców. Co się tyczy posiłków, to albo poseł nasz nie doszedł do Pragi, albo brat mój król Bolesław wysłać ich tobie nie może.

Jednem słowem smutek był wielki na dworze Mieszkowym. Ściągano stąd i owąd zbrojnych, żądano ich od wojewodów dalszych ziem na wschód słońca, ostrzeżono gródki leżące na skraju puszczy o niebezpieczeństwie, i król mając ze sobą około 150 wojaków, wybierał się już w bor na pomoc Krzesławowi, gdy nagle, pewnego dnia stawili się przed nim Staszko i Sambor.

Obaj przyjechali na pięknych, ciężkich, niemieckich koniach, fryzami zwanych, uzbrojeni jak rycerze, w żelazne hełmy z pióropuszami, w pancerze i nagolenniki. Zbroja była kuta w żelazo i świeciła się jak srebrna. U boków wisiały im miecze, a u nóg dzwoniły ostrogi. Na lewych ramionach mieli tarcze, na których jaskrawemi barwami pomalowane były jakieś potwory skrzydlate i znaki. Gdy wjeżdżali do grodu poznańskiego, pospuszczali przyłbice i nikt ich nie poznał, dopiero stanąwszy przed królem odsłonili twarze. Wyglądali zupełnie jak rycerze niemieccy.

Donieśli oni Mieszkowi, że o pół dnia drogi od Poznania rozłożyły się obozem posiłki czeskie.

Jest ich, miłościwy panie, tysiąc koni, jak obszył i dowodzi nimi wojewoda Spicymir. Wszyscy uzbrojeni są w hełmy żelazne, w pancerze, tarcze i ostrogi mają. U boku wiszą im miecze i topory, a w rękach dzierżą długie włócznie. Straszne wojsko i nic się przed nimi nie ostoi.

Tak mówił z uniesieniem Staszko, a Sambor pokłoniwszy się Mieszkowi do kolan, prawił:

— Król Bolko, pan godny, niech mu Bóg da zdrowie, zmartwił się srodze waszem nieszczęściem, miłościwy panie, i przysyłając wam dwa pułki swej jazdy, przysyła zarazem przez nas swe pozdrowienie. — A oto są jego pisma.

To mówiąc, sięgnął Sambor do torebki, którą miał na piersiach i dobył z niej zwitek pergaminowy, który wręczył królowi, ten zaś zaraz posłał po księdza Benedykta, by mu odczytał pismo, bo sam Mieszko czytać nie umiał.

Radość teraz była wielka na dworze i w całym grodzie. Arcybiskup Willibaldus w nowo wzniesionej katedrze, której wieże nie były jeszcze ukończone, odprawił uroczyste dziękczynne nabożeństwo, a w grodzie czyniono przygotowania na przyjęcie posiłków czeskich. Bito woły, cielęta, barany i świnie, pieczono chleb i piwo toczono, żeby ugościć Czechów. Król chodził wesoły i wołał szarpiąc według zwyczaju swą brodę:

— Niczego nie żałować, wszystko oddam, bo to moi zbawcy.

Na dziedzińcu zamkowym pieczono więc woły i gotowano strawę. Dla koni zwożono owies i siano i ruch był ogromny i król gadał:

— No, kiedy mam dwa pułki w żelazo ubranej jazdy czeskiej, drwię sobie z Wigmana i Wilinów i pogan. Dam ja im taką krwawą pamiątkę, że przycichną na długo i będą wiedzieli co to znaczy nowa wiara i król polski.

Sambor tymczasem wyszukał Mlady i dziwy rozpowiadał ciekawej dziewczynie o jej ojczystej złotej Pradze.

— To mi gród, to mi miasto! — wołał Sambor — jak żyję, nic podobnego nie widziałem. Szliśmy ze Staszkiem długo, bardzo długo i zbrodziliśmy puszczę, przeprawiwszy się przez dziesięć rzek i przez dziesięć gór, i dostaliśmy się do wielkiej puszczy wśród gór, co leży między Szlązkiem a Czechami. Aż mię mrowie przeszło kiedym obaczył te góry, jak pną się pod niebo a chmury na nich leżą nikiej czapki. Aż przyszliśmy do Pragi, do zamku królewskiego, co się zwie Wyszehrad, niby po naszemu wysoki gród. Mury ci takie, jak kościół ten oto, co go król stawia teraz w Poznaniu, a dachy cegłą kryte, a złociste krzyże, a wielkie świetlice i kamienne w nich posadzki. Za głowę ci się brałem patrząc na to. Wojaków moc wszędzie i król wielki, a dobry. Darował mnie i Staszkowi po koniu pięknym, choć ciężkim nieco, po zbroi i hełmie i mieczu i tarczy. A na

tarczy kazał wymalować te znaki, co je tam zowią herbami. Dziwy! dziwy powiadam ci Mlada, co to za naród, ten naród czeski.

— Tak! tak! Samborze — mówiła uśmiechając się z dumą Mlada — wielki to mój naród, nie tak jak tu u was w Polsce, co jeno puszcze ma i chaty drewniane i dymne.

— Ha! ale u nas tylu Niemców niema co u was. Tam w Pradze gdzie jeno stąpnąć, to Niemiec, aż obrzydzenie człowieka bierze.

Pod wieczór nadciągnęli jezdcy czescy. Co żyło wysypało się z Poznania, żeby im się przypatrzeć. Szli długim szeregiem z fletniami i piszczałkami, napełniając ciszę wieczornego dnia letniego wrzawą rozgłośną. Na czele ich posuwał się na wielkim koniu niemieckim, okrytym zbroją, wojewoda Spicymir. Miał na sobie błyszczącą zbroję żelazną, hełm z pióropuszem, z paciorków kolorowych, miecz u boku długi i topór za pasem. Na to nadział delią czerwoną, rysiami podbitą. Jechał, dumny, wielki, a z pod hełmu świeciły mu duże, surowe, czarne oczy i długa broda, tu i owdzie srebrząca się nitkami siwizny. U nóg, także żelazem okrytych, zakończonych ostrym zakrzywionym nieco kolcem, błyszczały wielkie, rycerskie ostrogi. Koń nakryty był na zadzie siatką czerwoną, złotemi nitkami przerabianą, i lud polski dziwił się takiemu bogactwu i takiemu przepychowi, jakiego nigdy nawet u swego króla nie widział.

Za wojewodą Spicymirem w którego polerowanej zbroi i hełmie przeglądało się złociste słońce zachodu, niesiono chorągiew wielką, pół czerwoną i pół żółtą, na której czarno wyryty był jakiś potwór skrzydlaty. Wiatr zachodni miotał tą chorągwią z głuchym trzaskiem.

Teraz dopiero szły długie szeregi jazdy czeskiej, wszyscy w zbrojach, w hełmach czarnych, tunikach na to modrych, i tarczach na lewem ramieniu. Wszyscy mieli miecze u boku, topory za pasem i włócznie długie, błyszczące pod słońce niby rozpalone żelazo. Posuwali się wolno, stępa, a z pod nóg tylu koni wzbijał się wysoki tuman kurzu brudnego. Konie parskały wesoło, fletnie i piszczałki grały, zbroje chrzęściały i od całej tej jazdy szła wrzawa stłumiona i głucha.

Przejechawszy całe miasto, złożone z chat drewnianych, strzechą krytych, zatrzymali się przed grodem królewskim. Tu na krużganku, do którego szło się po schodach kamiennych, na dwóch ławach z poręczami i oparciem, czerwonem suknem krytych, nad któremi z tyłu wojewoda Zbigniew dzierżył wielką chorągiew purpurową, siedział król Mieszko, w kołpaku sobolowym z czaplem piórem, w tunice karmazynowej, przepasanej rzemiennym pasem i nabijanej suto drogimi kamieniami.

Obok niego w długiej, modrej sukni, spiętej bogatym pasem, z głową swym zwyczajem gołą, siedziała królowa Dąbrówka. Otaczali obojga kró-

lestwo wojewodowie i kasztelani, oraz mnóstwo księży i dziewek służebnych, między któremi widać było i złotowłosą Mladę. Słońce zachodząc za bory i lasy, za dużą nieskończoną jeszcze basztę zamku, słało ostatnie, złociste promienie na ten obraz barwny, ruchliwy, rozmaity. Król Mieszko miał postać poważną i surową, małemi oczkami ciągle tu i owdzie spoglądał i niekiedy motał ręką kędzierzawą, srebrzystą brodę. — Wiatr co chwilę rozwijał z trzaskiem chorągiew, szeleścił nią mocno, lub też pozwalał by zwisała przed tronem królewskim, wielkim purpurowym fałdem. Cisza w tem otoczeniu całem była wielka, tylko słychać było fletnie i tętent koni jazdy czeskiej.

Nakoniec wojewoda Spicymir na czele swych zastępów wkroczył na dziedziniec zamkowy. Zewnątrz muru zatrzymała się cała prawie jazda, a z wojewodą wjechało tylko kilku przedniejszych, bo podworzec był niewielki i dość ciasny.

Spicymir spiął konia i w szczupakach ciężkich i dość niezgrabnych dopadł przez krużganek, na którym królestwo siedzieli. Tu pokłonił się pięknie i po rycersku królowi i królowej, poczem zsiadł z konia, którego cugle oddał do trzymania bogato ubranemu giermkowi, którego tunika miała skrzydlatego potwora wyszytego na piersiach. To uczyniwszy, szedł Spicymir krokiem ciężkim po wschodach na krużganek, a za nim dążyło dwóch czy trzech ze starszyzny czeskiej. Szli chrzęszcząc

zbroją, dzwoniąc mieczami i ostrogami, szeleszcząc pióropuszami z paciorków. Wszystkich oczy na nich były skierowane, na ich stroje bogate, tarcze, wielkie miecze, hełmy wspaniałe i błyszczące.

Gdy przybyli na krużganek tuż przed tron królewski, Spicymir przykląkł na jedno kolano i ucałował rękę króla i królowej.

Wtedy wystąpił naprzód jeden z księży otaczających tron i począł mówić:

— Witaj nam wojewodo Spicymirze, witajcie nam wojownicy czescy. Zdradliwy nieprzyjaciel napadł nasze dziedziny i grozi nam mieczem i wytępieniem świętej wiary Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Dlatego wobec takiego niebezpieczeństwa wezwaliśmy zgodnie z warunkami przymierza, naszego ojca i brata, króla Bolesława, o pomoc. Bądź nam pozdrowion, wojewodo Spicymirze, co nam tę pomoc niesiesz.

Wtedy wojewoda dobył z jedwabnego woreczka pergaminowy zwitek, u którego na wosku wyciśnięte wisiały ogromne pieczęcie i wręczył go Mieszkowi mówiąc:

— Oto jest pismo mego pana i króla Bolesława.

Król odebrał pismo i oddał je temu samemu księdzu, który miał przed chwilą mowę do Spicymira. Potem już, uroczyste posłuchanie się skończyło i rozpoczęła się pogawędka i ciekawe dopytywanie się Dąbrówki, co tam słychać na dworze wyszehradzkim.

Przez ten czas jazda czeska rozłożyła się w mieście obozem i zabrała się do jedzenia, które obficie przed nią stawiano i wczasu, który miał być krótki, bo zapowiedziano, że wyrusza na nieprzyjaciela zaraz jutro rano.

Wkrótce noc zakryła swym płaszczem cały Poznań i ludność znużona tylu niezwykłemi i ciekawemi widowiskami, ciężko zasnęła, by zbudzić się ze świtaniem do nowych trosk i nowych wrażeń.

XIV.

Wyprawa na Niemców.

Tego samego dnia, późnym już wieczorem, król przez komornika swego, wezwał do siebie Sambora.

— Jutro — mówił Mieszko, — jak świt, po mszy świętej, wyruszamy na Niemców. Będziesz mi służył za przewodnika w puszczy.

— Dobrze, miłościwy panie.

— Bądźże więc gotów. Podobno gdzieś tam daleko w puszczy, ku Odrze, jest niedawno wzniesiona gontyna z bałwanem Lelum-Polelum, którego wzięli i uwieźli, jak powiadają, ze starej gnieździeńskiej świątnicy. Prawdali to?

— Prawda, panie.

— Wieszże, gdzie jest ta gontyna?

— Wiem.

— Daleko to stąd?

— Pięć dni ciężkiej drogi przez wielkie lasy i wielkie bory.

— Tam się Wigman, Wilini i poganie zebrali.

Mówił to król cicho, z pewną obawą, oglądając się dokoła, wkońcu wstał i dodał:

— Idźże się teraz wywczasuj, Samborze, a jutro jak świt staw się na dworcu, gotowy do drogi. Obok mego boku jechać będziesz.

Jakoż nazajutrz, ledwie szary poranek oblał swem smutnem światłem zamek i katedrę poznańską i biedne chatki mieszkańców, wielki ruch w mieście zapanował. Jazda czeska dosiadała koni i szykowała się na gościńcu, wojacy królewscy gorzej uzbrojeni, ale pełni ufności, w swych skórzanych pancerzach z takiemiż tarczami, łucznicy, procarze, wszystko to przebiegało miasto, nawoływało się, stawało w szeregu. Nowo zbudowana katedra, rozwarte miała naoścież wrota i cała zalana była światłem. Sam arcybiskup Wilibaldus, otoczony licznem duchowieństwem, począł u złocistego ołtarza odprawiać mszę świętą, której słuchał król, krzyżem leżąc, królowa, wojewodowie i Spicymir, czeski dowódca.

Potem, gdy się msza skończyła, król i wszyscy otaczający go dosiedli koni, dosiadł konia i arcybiskup i liczne duchowieństwo i wyjechali do wojska. Tu arcybiskup pobłogosławił wojowników, pokropił święconą wodą, pożegnał króla i wrócił do miasta. Z królem pojechał wojewoda Zbigniew, Staszko i mnostwo innych, oraz kilku księży.

Król miał na głowie złocisty hełm, z maleńką u szczytu koroną, podarowany mu przez cesarza

niemieckiego; lekką na piersi koszulkę drucianą, a na wierzchu tunikę białą, obszytą karmazynowym paskiem dokoła. Ledwie dosiadł konia, zaraz zawołał:

— A gdzie Sambor?

Sambor zbliżył się na ciężkim koniu, podarowanym mu przez króla Bolesława. Nie wdział na siebie całkiem zbroi, jeno białą świtkę i kożuszek. Na głowie tylko czerniał mu hełm, u boku miecz i topór, a przez plecy przewieszony miał łuk dalekonośny i procę skórzaną.

— A ty czemu zbroi nie wdziałeś? pytał go król.

— Co mi tam po zbroi, miłościwy panie! — odparł Sambor — w puszczy w zbroi ciężko. I ojcowie nasi zawsze tak wojowali i dobrze było. Ja nie umiem się ruszać w zbroi, a w puszczy trzeba dużo się ruszać.

Król nic na to nie odrzekł, jakby w milczeniu przyznawał słuszność temu twierdzeniu i dał znak do pochodu. Rozległy się fletnie i piszczałki czeskie, a gdy te umilkły, z polskich wojowników zagrzmiała nowa, nieznana dotąd pieśń: „Boga Rodzica, dziewica, Bogiem sławiona Marya“ — pieśń, która odtąd w doli i niedoli, brzmieć miała nad głowami polskich rycerzy i polskich wojowników przez długie setki lat...

Wśród cichego letniego poranku, pieśń ta po rosie, na skrzydłach lekkiego wiatru, unosiła się

daleko, kołysała się w błękicie, płynęła po nurtach Warty, ginęła w czarnych głębiach puszczy, co zaraz za rzeką rozpoczynała się i ciągnęła aż po Odrę i za Odrę jeszcze.

W tę to puszczę, przeszedłszy Wartę, wkroczono zaraz prawie za Poznaniem, posuwając się szerokim, piasczystym gościńcem, idącym wzdłuż rzeki, tym samym, którym przez jakiś czas szedł Sambor i Mlada. Droga była dobra i dzień gorący. Czesi się pocili w swych zbrojach, a Sambor się tylko uśmiechał.

— Dopóki gościniec jest, — mówił — to będzie jeszcze jakotako, ale co te Czechy zrobią ze swemi ciężkimi końmi i włóczniami, jak się zaszyjemy w bór nieprzejrzany i niezbrodzony?

Mimo tych utyskiwań Sambora, posuwano się dość szybko, w południe wojsko spoczęło trochę, a wieczorem zatrzymano się na polanie i rozbito obóz. Nazajutrz, po całodziennym pochodzie, w którym płoszono tylko ptactwo, sarny i jelenie, a zresztą nie napotkano nikogo, rozbito na noc obóz nad brzegiem jeziora. Sambor na łodzi swojej, którą tu ukrył w szuwarach i którą odnalazł na tem samem miejscu, popłynął na samotną wyspę ze Staszkiem, zwiedził swą chatę, nałapał węgorzy i najpiękniejszych sztuk kilka przyniósł królowi w podarunku.

Obozowano dość smutnie, bo niebardzo co jeść było, a Sambor zapowiadał, że do grodu

Bolkowego, kędy miał stać ze swem wojskiem Krzesław, jeszcze około dwóch dni drogi było. Konie puszczono na bujną paszę, ale ludzie, dostawszy trochę owsianego chleba i po kawałku surowego mięsa z paru wołów, które pędzono za wojskiem, byli smutni i głodni. Sambor, widząc to, rzekł do króla:

— Miłościwy Panie, mnie się widzi, że kto głodny, to niedaleko zajedzie. Lepiej pono będzie ostać przez jutro na tem miejscu, zająć się połowem ryb i polowaniem po lesie. Ryb w jeziorze jest moc ogromna, a zwierza w puszczy więcej niż gwiazd na niebie. Nabić więc tego dużo, nasolić i mieć żywność na kilka dni, bo inaczej w tej spiekocie i o głodzie, Czesi nam popadają, jako niezwyczajni głodu. My to tam, ścisnąwszy brzuchy, możemy głodować, ale Czesi tego nie potrafią.

Rada się podobała i królowi i księżom i Spicymirowi i postanowiono zatrzymać się obozem przez cały dzień następny dla przygotowania żywności.

Jakoż ledwie świt się zrobił w puszczy — ożywił ją świergotem niezliczonego ptactwa, — a mgły opadły z jeziora, cały obóz się ruszył. Jedni gotowali sieci, więcierze, wędki, inni z łukami i oszczepami szli w puszczę na zwierza. W obozie został jeno król, starszyzna i kilkunastu straży. Niebezpieczeństwa zresztą żadnego nie było, bo połowa wojowników znajdowała się tuż na brzegu

jeziora. Zresztą żadnego znaku nie było, by nieprzyjaciel znajdował się blizko

Połów ryb był bardzo obfity. Część wędzono, część solono, gdyż na wózku, jaki jechał za wojskiem, miano znaczną ilość soli, część nakoniec najmniejszą spożyto odrazu. Polowanie za to na zwierza, nie dało tak znacznej zdobyczy. Ubito kilka zajęcy, dwie sarny, łosia, dzika i żubra, oprócz ptactwa i lisów. Wszystko to, oczywiście na tak znaczną ilość ludzi, było niczem i mogło starczyć ledwie na dobę. Postanowiono zatem jeszcze jeden dzień zatrzymać się w obozowisku i urządzić polowanie bardziej staranne i w innej stronie puszczy.

Nazajutrz więc o świcie, podczas gdy mniejsza ilość wojowników zabrała się do połowu ryb, trzy prawie ich części ruszyły w puszczę pod przewodem Sambora na polowanie. Tym razem powiodło się znacznie lepiej. Przywieziono tak znaczną ilość zwierzyny i ryb, że starczyć tego mogło na trzy dni od biedy.

Wobec tego, Mieszko mocno niespokojny, co się tam dzieje w głębi puszczy i czy Krzesław jeszcze istnieje, nakazał dalszy pochód. Ruszono się ciężko o świcie, wleczono się po piasczystej drodze, wśród nieustannej samotności puszczy, wśród jej szmerów i głosów tysiąca, cały dzień. Na noc wojsko stanęło w starym sosnowym i świerkowym borze, który właśnie teraz się roz-

poczynał. Jeść było co i dość wesoło odbywano te nużące, dalekie, wśród puszczy pochody.

Na drugi dzień, około południa, gdy słońce a raczej parność wielka, panująca w puszczy, zaczęła dokuczać i zamierzano się zatrzymać, spostrzeżono na gościńcu, który w tem miejscu był prosty, jak strzała, w znacznej dość odległości, jeźdźca, pędzącego po drodze ku wojsku wyciągniętym kłusem. Koń był mały, ale wytrwały, i silnie a szybko przebierał nogami, to też pod nim wzbijała się wielka kurzawa, która wprzódy zdradziła jeźdźca, nim go dostrzeżono. Jechał on zapewne swobodny, z uczuciem zupełnego bezpieczeństwa w tej ogromnej, sennej puszczy, bo nie zważał, co się koło niego dzieje i ujrzał zbliżające się doń wojsko w odległości kilku stajań. Zdrętwiał zapewne, bo nagle jak wryty stanął i stał tak, patrząc przed siebie. Teraz widać go było doskonale. Miał na głowie duży kapelusz słomiany z piórem modrem kraski, świtkę białą na sobie, łuk na plecach i topór za pasem. Na kożuszku siedział wygodnie i miękko.

Przez chwilę stał tak, przypatrując się niespodzianemu widowisku i widocznie wahał się co ma czynić, bo parę razy skręcił konia, jakby chciał uciekać. Namyślił się zapewne, że to już teraz na nic się nie przyda, bo wolno począł ku wojsku stępa się posuwać.

Gdy już był tak blizko, że głos mógł dosłyszeć,

zatrzymał się znowu, zdjął kapelusz z głowy i patrzał niespokojnie błękitnemi oczami.

— Kto ty jesteś! — zapytał go grubym głosem król Mieszko jadący na przedzie.

Widocznie poznał króla, bo nagle twarz jego zajaśniała radością.

— Jam jest poseł od wojewody Krzesława do was, miłościwy panie! — odrzekł.

Słowa te zrobiły wielkie wrażenie na królu i na starszyźnie. Co żywo otoczono posła i poczęto go się dopytywać, gdzie jest wojewoda Krzesław? co słychać? czy Niemcy blizko? czy bił się z nimi?

Poseł, chłopię młode, wśród tych różnorodnych i natarczywych pytań, stracił zrazu głowę, ale potem przyszedł do siebie i opowiedział, że Krzesław stoi wciąż pod gródkiem Bolkowym, że się okopał, zasieki poczynił i ciągle z Niemcami się bije, którzy nadciągnęli w wielkiej sile i jest ich więcej niż piasku w morzu. Że wojewoda niema już co jeść i wysłał go do króla z prośbą o pomoc; że jeżeli za trzy dni pomoc ta nie przybędzie, Krzesław będzie musiał się poddać.

Wiadomość ta bardzo przykro odbiła się na twarzy króla. Widocznie zgryzł się mocno, bo szarpał brodę i dopytywał się posła, ilu jest Niemców, jak są uzbrojeni, czy mają ze sobą Wilinów i czy mieszkańcy polscy w puszczy z nimi się połączyli?

— A jakże, a jakże, — odpowiadał poseł —

Wilini są z Niemcami, są i Polacy. Wojewoda Waligóra nimi dowodzi i strasznie zażarty jest na Krzesława. Nazywa go zdrajcą, zaprzańcem i obiecuje własną ręką na sośnie powiesić, jak go tylko schwyta.

— A Niemców jest dużo?

— O, dużo! w wielkich zbrojach i hełmach jeżdżą, strzały ciskają, oszczepami i włóczniami kłują. Hetman ich zwie się margraf Wigman.

— Więc otoczyli dokoła Krzesława?

— Dokoła? nie! Od strony Warty nasi nie są otoczeni, ale cóż, kiedy rzeka tam jest głęboka i przejść przez nią nie można. Krzesław siedzi jak w saku i wydobyć się nie może.

Wysłuchawszy tego wszystkiego król, mocno zmartwiony, kazał się zatrzymać wojsku, rozłożyć obóz, posilić się i odpocząć nieco, poczem wezwał do siebie na radę starszyznę. Co tam radzono, niewiadomo, ale po niejakim czasie zawołano Sambora, który ogryzając ryby, gadał z posłem Krzesława.

Gdy Sambor przyszedł do króla, ten zapytał go się:

— Czy znasz gród Bolkowy?

— Znam.

— I tamtą okolicę?

— I tamtą okolicę.

— Powiedże nam co robić? Czy niemożnaby Krzesława z tej matni wydobyć?

— Hm! — rzeknie Sambor — to trudno.

Warta tam jest bardzo bystra i głęboka, a grunt koło niej bagnisty. Jednak na upartego, można tratwy sporządzić i na nich przedostać się na drugi brzeg. Drew jest dosyć...

— A nie dostałbyś się do Krzesława tak, by cię Niemcy nie spostrzegli?

— Czemu nie? albo to co trudnego? Pójdę tamtym brzegiem i jutro świtaniem będę w obozie Krzesława. Tą drogą szedł i poseł jego; dziś dopiero rankiem, jak powiada, przeprawił się na ten brzeg.

— Jedźże tedy do Krzesława — rzekł król po namyśle — i donieś mu, że jutro nocą damy mu odsiecz. Niechże się trzyma do tego czasu, niech tratwy robi na wszelki wypadek. Idź, Samborze, i niech cię Bóg prowadzi.

Sambor prosił, aby mu dano kilku wojaków, których sam sobie wybierze, na co król chętnie się zgodził. Zaraz też z sześciu ludźmi, Sambor brodem, który znał, przeprawił się na drugą stronę Warty i puścił się do obozowiska Krzesława.

XV.

Obozowisko Krzesława.

Sambor wyruszył pieszo wraz ze swoimi towarzyszami. Mówił, że w puszczy najlepiej i najbezpieczniej na swych własnych nogach, i dlatego swego konia zostawił przy wojsku i to samo uczynić kazał swym towarzyszom. Nie wziął też żadnego Czecha ze sobą, tylko samych Polaków — mówiąc:

— W takiej wyprawie zawsze lepiej mieć swoich przy sobie.

Gadał o tem wszystkiem, gdy się już przeprawiono na przeciwny brzeg rzeki Warty i ruszono w gęstą wilgotną puszczę, pełną olszyny i grabów. Jeżeli z tamtej strony rzeki, w borze sosnowym unosiła się balsamiczna woń żywicy, to tu na mokradłach, wśród drzew liściastych czuć było tylko niezdrowy zapach wilgoci i gnijących liści i drzew.

Sześciu wojowników, towarzyszących Samborowi, byli to wszystko młodzi ludzie w kożuszkach,

z łukami i procami, w postołach i czapkach baranich lub wydrzych. Kożuszki nieśli zsunięte na plecach Chłopaki były młode i zręczne. Gdy Sambor mówił, że w takiej wyprawie zawsze mieć lepiej swoich przy sobie, jeden z nich chłopak czerwony jak burak a wyniosły jak dębczak spytał:

— To ta wyprawa, Samborze, nie jest bezpieczna?

Sambor spojrzał na mówiącego z pode łba i rzekł:

— Głupi chłop! Czy w puszczy takiej jak ta, jest kto kiedy bezpieczny? A jak to ty się nazywasz?

— Jak? — zawahał się chłopak. — Tchórzem mnie przezywają.

— No, ale ty nie jesteś tchórz?

— Ano... czy ja to wiem? — podrapał się po kudłatym, jasnym jak konopie łbie, a inni się głośno śmiali.

— No, nie bądźże ty mi prawdziwym tchórzem, boby źle z tobą było. W puszczy, a osobliwie, kiedy taki straszny wróg w niej gospodarzy, jak Niemcy, nie można być tchórzem. Trzeba nie spać, nie jeść, nie pić, a rękę mierzyć ciągle na cięciwie łuku. Teraz jeszcze możemy być spokojni, ale nad ranem, gdy się zbliżymy do obozu Krzesławowego, miejcie się chłopcy na baczności. Wyciągać nogi dobrze, bo powiadam,

że nad ranem musimy być w obozie Krzesława.

Sam robił ogromne kroki, posuwiste i szybkie. Przemykał się zręcznie między krzakami, opuszczał niekiedy rzekę i szedł przez las naprzełaj, widocznie dla skrócenia drogi. A droga to była istotnie bardzo uciążliwa. W wielu miejscach grunt był błotnisty, gdzieindziej wikliny tak gęste, że ledwie się przez nie przedostać można było; ówdzie cała ziemia była posiana kolcami cierni lub ostrymi kamieniami i idący ranili sobie nogi boleśnie. Stękali, narzekali ale szli, bo Sambor, jak zrazu był rozmowny, tak teraz umilkł, nie rzekł ani słowa, nie obejrzał się ani razu, nie zatrzymał się, tylko szedł naprzód zwykłym, szerokim krokiem i tak szybko, jakby miał buty samochody na nogach. Każdy mąż śpieszył za nim, bo nikomu nie uśmiechała się myśl pozostania w tej puszczy, takiej czarnej, takiej poważnej i tak szumiącej nieskończenie.

Nad wieczorem, gdy wielkie, mroczne cienie zaległy bór, a wody Warty błyszczały niby srebrna wstęga, Sambor zatrzymał się na chwilę i rzekł:

— Spoczywajta chłopcy, posilta się, czem kto ma.

Sam nie tracąc czasu, zdjął postoły z nóg, wymoczył je w Warcie, zajadając przytem chciwie suszoną rybę, którą wydobył z kobiałki. Nogi kazał wszystkim wymoczyć, mówiąc, że potem

będą szli, jak nigdy. Zjadłszy co mieli, pokładli się na murawie, kołysani do krótkiej drzemki jednostajnym pluskiem wody, szumem lasu i krzykami żórawi, które całemi stadami unosiły się tutaj nad rzeką.

Gdy noc zapadła, Sambor wstał, pobudził swych towarzyszy, wołając:

— Wstawajta chłopcy i w drogę. A trzymajcie się kupy, bo kto zabłądzi, tego niech Bóg ma w swej opiece, bo ja mu nic nie pomogę.

Noc była ciemna, bezgwiazdna i bezksiężycowa, a w lesie tak czarna, że na trzy kroki nic nie było widać. Pilnie też postępowali wojacy za Samborem, ze strachu, by nie ustać w tej posępnej puszczy.

Zrobił się nakoniec, po podróży pełnej uciążliwości, świt i Sambor się zatrzymał.

— Odpocznijcie sobie chłopcy — rzekł — ja pójdę zobaczyć, co się tam dzieje koło gródka Bolkowego. Jesteśmy już bardzo blizko obozowiska Krzesława.

Wojacy pokładli się na ziemi zmęczeni niezmiernie, a Sambor nieznużony niczem i nigdy, zapuścił się w gęste krzaki. Szedł nadzwyczaj ostrożnie i zręcznie. Delikatnie odsuwał gałęzie i puszczał je lekko; nim krok postawił, wprzódy próbował, czy nie natrafi na jaką suchą gałąź, któraby mu mogła pod nogami trzasnąć, co wśród ciszy poranku, po rosie mogło daleko i szeroko

się rozlec. Gdy się zbliżył nad rzekę, pochylił się i pełzał na czworakach. Ziemia była wilgotna i błotnista i cały się ubabrał, ale w końcu dostał się do rzeki. Tu wychylił głowę i spojrzał dokoła.

Mętne mgły unosiły się nad wodą, ale wschodzące słońce wkrótce miało je rozpędzić. Jeżeli więc Sambor chciał się dostać do brzegu przeciwnego, nie miał ani chwili czasu do stracenia. W obozie Krzesława, który otoczony wałem i zasiekami, leżał tuż przy gródku Bolka, panował już ruch. Widać było przez mgłę straże wsparte na włóczniach, stojące nieruchomie na wale. Z gródka, z chaty jakiejś wydobywał się dym i długą, wysoką kolumną wzbijał się w górę, zapowiadając pogodę na dzień.

Obóz Krzesława był trochę na lewo od Sambora, zato wprost niego leżało wielkie, na pół ukryte w puszczy obozowisko niemieckie. Paliło się tam, a raczej dogasało mnóstwo ognisk, których czerwone płomienie mglisto przeglądały przez tumany oparów wodnych. Nad samą rzeką, na koniu, stał na straży nieruchomy jeździec, w hełmie, z włócznią, otulony w płaszcz i drzemiący zapewne. Rzeka w tem miejscu nie była szeroka; płynęła tylko bystro w głębokiem i stromem korycie. Jeździec niemiecki z poza mgły wyglądał jak widmo.

Sambor przez chwilę pomyślał, potem ostrożnie zdjął łuk, swój wielki, dalekonośny łuk,

wypróbował cięciwy, nałożył na nią strzałę, którą wprzódy starannie obejrzał, ukląkł na jedno kolano i wymierzył do Niemca. Przez chwilę potrzymał, potem z ogromną siłą naciągnął łuk, cięciwa z brzękiem wyprężyła się i strzała ze świstem wyleciała, przerznęła mgłę, uderzyła w piersi Niemca i odpadła na ziemię.

— Psubrat — syknął Sambor, padając plackiem na ziemię — ma dobrą zbroję, kiedy moja strzała go nie bierze.

Niemiec szarpnął się gwałtownie, koń pod nim się spiął, ale go przytrzymał żelazną ręką i zaraz począł głośno krzyczeć i potrząsać włócznią. Na jego krzyk zrobił się ogromny ruch w obozie niemieckim. Na brzeg, jak rój pszczół z ula wysypało się mnóstwo Niemców i zapewne dopytywali się strażnika, co się stało, bo ten wskazywał włócznią na brzeg przeciwny. Ktoś podniósł strzałę Sambora i pokazywał ją, a wszyscy krzyczeli głośno, biegali i wskazywali rękami na drugą stronę Warty.

Sambor tymczasem, korzystając z zamieszania, popełzał w bok o kilka kroków i ukrył się za wielką olchą. Dobrze zrobił, bo właśnie w tej chwili wystąpiło na brzeg kilkunastu pieszych, uzbrojonych w wielkie żelazne łuki, i opierając je jednym końcem o ziemię, puścili kilkanaście strzał w miejsce, skąd poprzednio Sambor strzelał.

— Psujcie strzały, psujcie — mruczał Sambor — a ja tymczasem choć jednego muszę naszpikować. Teraz będę mierzył we łby i zjecie biesa, jeżeli który z was ziemi świętej gryźć nie będzie. Krzesław przecie, jeśli ma oczy i mózg, zrozumie co się święci.

To rzekłszy nałożył nową strzałę na cięciwę, wstał na nogi, ukryty ciągle za drzewem. Olcha na parę łokci od ziemi dzieliła swój pień na dwa wielkie konary i w tym otworze właśnie umieścił Sambor koniec swej strzały. Teraz mierzył dłużej. Wziął na cel jakiegoś wysokiego Niemca, którego ciało rysowało się wyraziście przez mgłę. Strzała świsnęła i Niemiec, trafiony w twarz, rzucił rozpaczliwie rękami, jakby się chciał powietrza uchwycić i z głośnym krzykiem padł na ziemię. Zamieszanie, wrzawa, przekleństwa groźne rozległy się po całym obozie niemieckim. Porwano ranionego i uniesiono w głąb, a strzały, wymierzone na brzeg przeciwny, sypały się jak grad w drzewa, tnąc liście i płosząc ptactwo dokoła.

Sambor ukrył się za olchą i śmiał się cichym śmiechem — szepcąc:

— A psubraty Niemcy, powiedziałem, że naszpikuję choć jednego i naszpikowałem. A co? dobrze ci teraz rabusiu? Masz za swoje, masz!

Umilkł, obtarł pot z czoła i rzekł:

— No, a cóż tam Krzesław robi?

Spojrzał na obozowisko polskie. I tam ruch

powstał ogromny. Wały i zasieki zaczerniały od ciekawych, z gródka, z poza częstołu wyglądały liczne twarze, a na wieżę wlazł jakiś mąż i machał czapką na brzeg przeciwny, ku Samborowi, jakby go witał.

— Ano, wiedzą, że tu jesteśmy, ale lepiejby pono zrobili, żeby zamiast powiewać czapkami, co się psu na budę nie zda, wysłali choć jedną łódź, póki jest mgła, Ha! naszpikuję jeszcze jedno ścierwo niemieckie i pójdę mych chłopaków zawołać, bo co siedm łuków, to nie jeden.

Słońce już zupełnie wydobyło się z poza drzew puszczy i słało wesołe, złociste promienie na rzekę i obozowiska pełne ruchu i wrzawy. Mgła pod wpływem tych promieni, rozrzedzała się, nikła, zapadała w wodę, lub wielkiemi płachtami płynęła ponad drzewami lasu.

Sambor jeszcze jedną strzałę puścił w jakiegoś strażnika, stojącego nad samym brzegiem rzeki, i tak szczęśliwie, że Niemiec runął, jak ciężka kłoda w wodę i utonął.

Sambor nie czekał, co się dalej dziać będzie, tylko żywo począł pełzać ku swoim towarzyszom. Zachowywał teraz te same ostrożności, co i wprzódy, a posuwał się tak zręcznie, że żadna gałąź, żaden liść prawie nie drgnął. Gdy nakoniec znalazł się na miejscu, gdzie pozostawił swych wojaków, ci spali snem kamiennym, a komary i muchy obsiadły ich spocone twarze.

— Pstro we łbie, pstro we łbie! — mruczał Sambor — śpią jak w swych chatach i w czasie pokoju.

Z trudnością zdołał ich pobudzić. Otwierali zaspane błędne oczy i znów je zamykali.

— Wstawajcie — wołał Sambor — Niemcy na nas idą.

Pozrywali się przecie, przecierając oczy kułakami, drapiąc się po łbach, ziewając szkaradnie i głośno. Gdy wreszcie oprzytomnieli, Sambor rzekł do nich.

— Głupie chłopcy, któżto śpi w obliczu nieprzyjaciela. To tak samo jakbyście chcieli, by Niemcy przyszli i porzezali was, jak baranów. Dalej, ruszajta za mną i czyńta to samo, co ja czynić będę. Milczeć mi jak ryby i posuwać się ostrożnie. Słyszyta, jak Niemcy wrzeszczą.

Jakoż wiatr przyniósł szum i wrzawę niedaleką, nawoływania, krzyki, przekleństwa niemieckie. Sambor posunął się naprzód w milczeniu, a wojacy w ślad za nim pełzali, gdy on pełzał, zatrzymywali się, gdy on się zatrzymywał, tłumili oddech w sobie. Tym sposobem dostali się nad brzeg rzeki i ukryli za kilku olchami, patrząc stąd na jasno oświecone przez słońce obozowisko niemieckie i na ruch w niem panujący. Łucznicy i procarze niemieccy rozsypali się po brzegu, poukrywali za drzewa i sitowie, i nie przestawali zarzucać przeciwnego brzegu strzałami

i kamieniami, choć im oddawna nikt na to nie odpowiadał.

Sambor, opatrzywszy to wszystko popełzał od jednego do drugiego swych towarzyszy i szeptał im do ucha:

— Mierzyć dobrze. Strzał na darmo nie puszczać. Jeśli masz łuk niepewny, weź się do procy. Krzesław wie, że tu jesteśmy i jeno patrzeć, jak łódź wyszle, a tymczasem możemy Niemców sprzątać, jak psów wściekłych.

Jakoż niekiedy, rzadko, ale za to pewną ręką wymierzona strzała lub kamień wyrzucony z procy padał na Niemców i ranił ich lub zabijał. Sambor ani jednej strzały nie zepsuł, a gdy spostrzegł, że mu ich może zabraknąć, zbierał niemieckie, których pełno było dokoła i odsyłał napowrót Niemcom. Kiedy niekiedy spoglądał na obozowisko Krzesława, gdzie ciągle kręciło się na wałach mnóstwo ludzi, gdzie rozpoczęło się strzelanie wzajemne z Niemcami, gdzie machano ku niemu czapkami i włóczniami, krzyczano: bywaj! bywaj! ale nikt nie myślał łódki spuścić, choć przecie musiano je posiadać.

— Bodajeście przepadli, osły! klął Sambor, cóż wy myślicie? — ja będę się bił z Niemcami, a wy się patrzeć na to będzieta. Bodaj was siarczyste zmory udusiły.

Tymczasem walka z Niemcami nie ustawała, ale teraz miała przybrać ona inną formę. Niemcy

z rzadkości strzałów osądzili widać, że nie musi być wielu przeciwników i postanowili do nich pójść. Spuszczono na wodę wielką łódź i usiadło do niej dziesięciu rycerzy, okutych w żelazo od stóp do głów i osłonionych ogromnemi tarczami.

— No! — szepnął Sambor, patrząc na to — albo będziemy mieli łódź, albo nas Niemcy zjedzą.

XVI.

Zdobycie łodzi.

Łódź posuwała się wolno. Rzeka w tem miejscu była głęboka i płynęła bystro i ciężko pracowali Niemcy. Siedzieli oni zakuci w żelazo, całkiem zasłonięci wielkiemi tarczami, na których pomalowane były smoki, kwiaty lub ptaki. Z poza tych tarcz, sterczały tylko pióra ich hełmów lub końskie ogony, zawieszone u nich.... Wiatr, który się zerwał nad rzeką, chwiał temi ozdobami, a słońce przeglądało się w tarczach i zbrojach.

Sambor patrzał, patrzał na to długo, potem znakami zwołał do siebie wszystkich swych towarzyszów.

— Widzicie tych Niemców — mówił — trzeba ich przyjąć, jak należy. Niech wylądują, a my na nich znienacka napadniemy, pobijemy maczugami i toporami, łodzie owładniemy i popłyniemy do obozu Krzesława. Teraz zaś siedzieć cicho i słuchać mnie.

Wojacy przycupnęli do ziemi i przez gałęzie patrzali, jak łódź zbliżała się do brzegu ciągle i ostrożnie. Z obozu Krzesława i gródka zobaczono także tę przeprawę niemiecką i poczęto ciskać na nią kamieniami z procy. Kamienie jak grad leciały i pluskały blizko łodzi, dzwoniąc po hełmach i tarczach Niemców. Przyśpieszali oni biegu, żeby jak najprędzej do brzegu dopłynąć, ale na nieszczęście jakiś wielki kamień, zręczną ręką ciśnięty, uderzył jednego ze stojących na łodzi tak silnie, że ten stracił równowagę i wpadł do wody. Łódź zachwiała się mocno, ale do brzegu już miała niedaleko. Ten, który wpadł do wody, wypłynął zaraz, ale tylko rękami do góry rzucił i poszedł znów w ciężkiej zbroi na dno.

— No! — szeptał Sambor — raz przecie Krzesław się domyślił, że trzeba nam jakoś dopomóc. Chwała Bogu, mamy tylko dziesięciu obwiesiów niemieckich: jednego już bies porwał...

Łódź tymczasem dobiła do brzegu, który w tem miejscu był nagi i piasczysty. Siedmiu rycerzy wysiadło na ląd, a dwóch pozostało w łodzi. Spostrzegłszy to Sambor, szepnął do swoich:

— Ty Strzecho i ty Dzięciole, ostaniecie się tutaj i podczas gdy my bić się będziemy z tymi, co na brzeg wyszli, wy niepostrzeżenie podsuńcie się do łodzi, ubijcie Niemców, łódź opanujcie

i wprowadźcie ją oto w to sitowie. Tam czekajcie na nas. — A obróciwszy się do pozostałych: — Za mną! Topory i maczugi macie gotowe?

— Mamy.

— A więc patrzeć i słuchać.

Przez ten czas siedmiu rycerzy z nagimi mieczami lub toporami w rękach, śmiało weszło w gęstwinę, oglądając się bacznie dokoła i nadsłuchując pilnie. Sambor przycupnął ze swymi za krzakami i czekał, a gdy Niemcy, otarłszy się prawie o niego, zagłębili się w las dostatecznie, on nagle zerwał się i potrząsając swą olbrzymią maczugą, krzemieniami nabijaną, wypadł ze strasznym krzykiem i rzucił się na Niemców z tyłu. Za nim podążyli jego młodzi towarzysze, wydając przeraźliwe krzyki, potrząsając toporami lub maczugami. Biegli z otwartemi ustami, dysząc ciężko, chwytając gwałtownie powietrze, z oczami pełnymi iskier i piorunów, z włosem rozwianym, straszni, niepowstrzymani.

Niemcy nagle zaskoczeni, odcięci od łodzi, zatrzymali się jak wryci i odwrócili. Ale nim zdołali przyjść do siebie i rozpatrzeć się w swem położeniu, nim mogli miecze podnieść, już maczuga Sambora spadła ze straszną siłą i strasznym łoskotem na żelazny hełm najbliższego Niemca. Hełm pod tym potężnym ciosem pękł, jak gliniany garnek, wbił się na głowę Niemca

głęboko i ten padł na ziemię z głuchym jękiem, jak martwa kłoda. Sambor już biegł dalej i nowy cios spadł na nową głowę. Przypadli też i jego towarzysze i słychać było przez chwilę tylko ciosy, brzęk zbroi, silne uderzenia, krótkie i gwałtowne oddechy, jęki i głosy urywane, a potem cisza...

Na pobojowisku, na bujnej murawie puszczy, leżało siedm trupów niemieckich i ósmy polskiego wojaka, co się zwał Tchórzem. Leżał on z okropnie rozpłataną głową toporem, a w ręce dzierżył silnie maczugę. Mózg mu wyprysł z czaszki i krew ciekła zeń obfitym strumieniem.

Sambor obtarł czoło zroszone potem i rzekł:

— No, chłopcy, dwóch niech się tu ostanie i podobija Niemców i broń im zabierze. Zbroi jeno nie ruszać, weźmiemy ją później. Wy zaś za mną. Obaczymy, co się tam z łodzią dzieje.

Pobiegł na brzeg, i łodzi nie ujrzał. Gdy zawołał, z pośrodku sitowia ozwał się głos Dzięcioła:

— Jestem.

— A łódź?

— I łódź jest.

Skierowano tam i ujrzano siedzącego na łodzi Dzięcioła, zajętego obwiązywaniem sobie głowy szmatami. Całą twarz miał krwią zalaną.

— Co ci to?

— A cóż? Niemiec mię przez łeb zdzielił.

— A gdzie Strzecha?

— Strzecha? Strzechę ryby jedzą razem z Niemcami.

— No — rzekł smutno Sambor — drogo nas kosztowała ta napaść. Dwóch naszych Niemcy ubili i Strzechy nawet, jak się należy, na stosie spalić nie możemy. Dalej, do łodzi! Teraz najcięższa będzie przeprawa. A weźcie tam trupa Tchórza, spalimy go na stosie w gródku Bolkowym, bo dziki zwierzby go pożarł. No, siadajcie do łodzi. Płyńmy brzegiem, jak najdalej od obozowiska niemieckiego, a potem nagle rzucimy się na środek rzeki i popłyniemy do gródka.

Wsiedli wszyscy do łodzi dużej i ciężkiej, na dno której rzucono krwawego trupa Tchórza i puszczono się wzdłuż brzegu, starając się tak płynąć, by gęsto rosnąca trzcina zakrywała ich od Niemców. Ale było to do pewnego stopnia niepodobieństwem. Trzcina rzedniała, tu i owdzie były przerwy, w innem miejscu była tak gęstą, że przedostać się przez nią nie można było i należało ją omijać, dość, że dzięki temu, Niemcy spostrzegli łódź, a na niej Sambora i towarzyszy jego. Na ten widok podniósł się w obozowisku niemieckiem ogromny krzyk. Wszyscy wskazywali palcami uciekających i w jednej chwili łódź zarzucona została strzałami i kamieniami.

Sambor spostrzegłszy to, wołał:

— Prędzej! prędzej!

Ale łódź była wielka, niezgrabna i ciężka,

i pomimo wszelkich wysiłków, posuwała się bardzo wolno. Pociski leciały, jak grad, a choć większość ich z pluskiem uderzała w wodę, jednakże trzech wojaków już było ranionych, a między nimi Dzięcioł dostał kamieniem tak silnie w kark, że padł na dno łodzi i leżał tam, jęcząc przeraźliwie. Zastawiono się wprawdzie wielkiemi tarczami, zdobytemi na Niemcach, ale ci którzy robili wiosłami, nie mogli się zasłonić jak należy i narażeni byli ciągle na pociski. Widząc to, Sambor, dla skrócenia tej ciężkiej przeprawy, kazał pchnąć łódź na środek, przyczem, pomagając wiosłującym, został raniony strzałą w ramię. Zaklął głośno i wołał:

— Prędzej! prędzej, bo nas te psy niemieckie wybiją do nogi!

Dostano się na środek rzeki, gdzie musiano ciężko walczyć z prądem wody, który ich porywał właśnie w stronę obozu niemieckiego. Przez jakiś czas łódź prawie nie ruszała się z miejsca, gdyż przerażeni wioślarze nie mogli pokonać prądu i ledwie na jednem miejscu utrzymywali łódź. Jeden z nich dostał straszny strzał w twarz i zlany krwią padł bezsilny, tak, że prawie nikogo nie było, żeby jakiej rany nie otrzymał. Wreszcie, gdy nadzwyczajnym wysiłkom Sambora i paru lżej rannych wojaków, udało się łódź zepchnąć z prądu i posunąć ją ku brzegom, nagle uderzył w nią ogromny głaz, wyrzucony widać z kuszy

i wywrócił zupełnie. Wszyscy wypadli do wody, zanurzyli się głęboko, ale po chwili wypłynął tylko Sambor i dwóch wojaków, i ci, przy wielkim wysiłku, zdołali dostać się do brzegu, pod sam gródek, gdzie przy pomocy nadbiegłych z obozu Krzesława, wycieńczeni i znużeni, wylądowali. Reszta potonęła i stała się, jak mówił Dzięcioł, który także zginął, pastwą ryb. Łódź, wywrócona dnem do góry płynęła wolno ku obozowi niemieckiemu, gdzie ją schwytano i przyciągnięto do brzegu.

Sambor, wyszedłszy z wody, osłabiony upływem krwi, upadł na murawę i szeptał:

— Ot, na co mi przyszło? Pocóżem zaczepiał Niemców? chyba poto, by mi na sumieniu leżała śmierć tylu dzielnych i młodych chłopaków. Bies mię skusił i nic więcej.

— Ale dzielnieście się bili! — wołał jakiś junak do Sambora.

Stary spojrzał na niego, machnął ręką, nic nie odrzekł i spuścił w dół głowę, oddając się ponurym myślom. Nadbiegł jakiś młody wojak w hełmie i skórzanym nowiutkim pancerzu, wzywając Sambora do wojewody Krzesława. Stękając i mrucząc, powlókł się Sambor na górę do gródka, gdzie w chacie, w świetlicy siedział Krzesław chmurny i groźny.

— Tyś co za jeden? — pytał wojewoda.

— Sambor jestem i idę z poselstwem od króla Mieszka do was, wojewodo.

— Ludzi potraciłeś niepotrzebnie. Nie mógłżeś dostać się do mnie spokojnie? Z czem przychodzisz?

— Król donosi wam, wojewodo, że dziś nocą napadnie na Niemców i nakazuje wam trzymać się i bronić do tego czasu.

— Przypomniał sobie król o mnie! — zawołał Krzesław z goryczą. — Od pięciu dni żyję jeno rybami i z głodu tu zdychamy. Dokoła Niemcy mię obstąpili, jak odyńca w kniei, i jeśli dziś mnie napadną, nie wiem, czy ich udzierżę. Strzał już nie mam i kamieni nie mam nawet do proc, a ludzie z głodu ledwie na nogach się trzymają.

— Zdzierżyliście, wojewodo, przemoc niemiecką przez tyle czasów, udzierżycie jeszcze przez jeden dzień — zamruczał Sambor.

Krzesław spojrzał na niego surowo z pod wielkich krzaczastych brwi sinych i rzekł:

— Ranny jesteś!

— Dostałem strzałą w ramię.

— Obwiąż sobie ranę.

— Ej, rana sama się zagoi. Pozwólcie mi, wojewodo, wywczasować się nieco, bom znużony i zmęczony srodze.

Krzesław kiwnął mu głową i Sambor wyszedł na dziedziniec gródka i obejrzał się dokoła. W kącie stał wielki stóg siana i ku temu stogowi

skierował się Sambor. Wgramolił się na jego wierzch, ułożył wygodnie na miękkiem sianie i gwarzył do siebie:

— Wyspię się i odpocznę sobie, jeżeli Niemcy na to pozwolą.

Z wierzchu stogu rozlegał się daleki widok, na obozowisko niemieckie, leżące dokoła gródka i otoczonego zasiekami obozu Krzesławowego. Niemcy z wielkich kusz drewnianych ciskali ciągle kamienie i zbijali się w gęste kupy, jakby gotując się do napadu. Przed takiemi kupami przebiegali na koniach, w błyszczących zbrojach, z toporami w garściach, rycerze. Dokoła panowała wrzawa, krzyki, świst i głuche uderzenia kamieni. A poza tem olbrzymia, zielona, falująca jak morze, puszcza, szumiała swą zwykłą, jednostajną pieśń. Warta wiła się spokojnie, ozłocona przez słońce, lśniąca ruchliwemi falami, niby roztopionem złotem. Sambor patrzał na to wszystko, patrzał i szeptał:

— Tak, wywczasuję się doskonale, siano miękkie, ciepło mi i dobrze, jak u Pana Boga za piecem... jeno czy Niemcy na to pozwolą!

Podparł brodę na ręku i ciekawie spoglądał na obozowisko niemieckie.

— Ho, ho! — szeptał — to tego paskudztwa, jak mrowia: Niemcy, Wilini i nasi z puszczy. Co tu Mieszko poradzi nawet z żelaznymi pułkami czeskimi. Albo to w puszczy jazda przyda się na co? Uf! a to mię psubrat szkaradnie skaleczył;

boli, jakby kto gorącem żelazem przypiekał. Bodajeś pękł, bodaj cię święta ziemia żywcem pożarła.

Położył się na wznak na sianie; podłożył ręce pod głowę i patrzał się teraz na szafirowy błękit niebieski, który nad nim, niby namiot olbrzymi się roztaczał. Na niebie drzemała wielka, poważna cisza: kilka białych puszystych obłoczków wisiało w przestrzeni i zdawało się spoglądać z szyderstwem na wzajemne tępienie się ludzi na ziemi.

— Człek to gorszy od dzikiego zwierza! — mruknął Sambor — bo zwierz jak się nażre, to kładzie się gdzie w borze i śpi, nie czyniąc nikomu szkody, a człek zawsze jest skory do bójki i do rozlewu krwi. Paskudne zwierzę! jenoby się zarzynał i mordował.

Umilkł, stęknął, uraziwszy się nieco w ramię i zatopił bystre, maleńkie oczki znowu w błękit nieba, gdzie wysoko, wprost nad nim zawisła szara plamka orła, upatrującego zdobyczy i spoglądającego z wyżyn na mizerne walki ludzkie.

— Bodajto orłem być! — mruknął Sambor. — Jak sobie wzleci pod niebo, to drwi z ludzi, z wojewodów, królów, arcybiskupów. Ot i Sambor głupi! nie lepiej ci było siedzieć na twej wyspie, gadać z falami jeziora, z wiatrem, wiejącym od zachodu, z liśćmi starych dębów, z orłami na wysokościach, niż włazić między te krwawe

zwierzęta i samemu krew lać. O! żal mi moich młodych wojaków. Ale lepiej pono, że szczeźli wcześniej, niżby mieli innych mordować!

Westchnął głęboko, przymknął oczy, pomruczał jeszcze trochę i w końcu zasnął snem ciężkim i głębokim.

XVII.

Napad króla Mieszka.

Kiedy Sambor się obudził, otaczała go noc i głęboka cisza. Nad nim roztaczało się ciemnoszafirowe niebo, zasiane nieskończoną ilością gwiazd, wyiskrzone, poważne i pełne zadumy. Wiatr przynosił mu szum puszczy i plusk wody w Warcie, zresztą żadnego innego odgłosu.

— Czyżby się wszyscy pozabijali? — mruknął Sambor; podniósł się, stękając na swe ramię i spojrzał dokoła.

W gródku w chacie, w której mieszkał Krzesław, świeciło się i po całem obejściu pełno kręciło się ludzi, ale zachowywali się bardzo cicho. W obozie ognie wcale się nie paliły i zdawało się, że wszyscy tam śpią, ale bystre oko Sambora dostrzegło cichy ruch, przemykanie się ludzi i gęste straże za częstokołem i zasiekami. Obóz więc czuwał i był pilnie strzeżony.

W obozowiskach zato niemieckich wprawdzie

liczne i wielkie gorzały ognie, oświecając znaczne przestrzenie, ale ludzie spali przy nich pokotem. Tu i ówdzie tylko, kiedyniekiedy ktoś się poruszył lub przeszedł przez obóz. Straże, o ile Sambor mógł dostrzedz, były rzadkie, otulone w kożuchy, bo noc była dość chłodna, wsparte na włóczniach, zapewne drzemały. Wpatrując się dobrze, Sambor przekonał się, że straż w obozie niemieckim tej nocy trzymali Wilinowie i znając ich, pewny był, że śpią, jak susły.

— Hm! — mruknął — król Mieszko niewiele będzie miał kłopotu. Weźmie cały obóz niemiecki, jak baranów. No! no!

Spojrzał na niebo i przypatrywał się pilnie gwiazdom.

— Hm! — szepnął znowu — już po północku. Czemuż Mieszko nie napada. Czeka dnia, czy co? Już dawno powinien był być pod obozem niemieckim, choćby szedł jak żółw wolno. Usiadł na sianie i ziewał i gadał:

— Wywczasowałem się, jak się należy, jeno mię ramię trochę boli i gdyby nie to, stłukłbym Niemców, co się zmieści. Ale maczugi ni miecza nie udźwignę. Jeść mi się też chce i po brzuchu mi kruczy, ale to tu podobno w obozie Krzesławowym jeść niema co i trzeba pas ścisnąć. Pójdę nad wodę, może się jaką rybę złowi.

Właśnie chciał się spuścić ze stogu, gdy nagle zatrzymał się, zwrócił twarz ku obozowi niemie-

ckiemu i zaczął nadsłuchiwać. Zdawało mu się, że z głębi puszczy wiatr przynosi jakiś szelest, jakiś inny niż zwykle szum i głuchą stłumioną wrzawę.

— A to co? jeżeli to Mieszko ze swymi, to za głośno chodzi po lesie. Ale bo to oni znają las? czy oni wiedzą, że puszcza to jedna zdrada?... że tam tysiące jest uszu i tysiące ust, które schwycą każdy twój głos i powtórzą tysiąckrotnie. Co oni wiedzą teraz, odkąd miasta budują, kościoły kamienne stawiają, puszcze trzebią, co oni...

Umilkł znowu, bo zdawało mu się, że wyraźnie dochodzi go z głębi boru, od strony gościńca krzyk ludzki. Puszcza powtarzała go donośnie wśród ciszy nocnej. Zdziwiony tem niezmiernie, podniósł się na nogi i stanął na szczycie stogu, z twarzą zwróconą w kierunku krzyku. Słyszano go widocznie w obozie niemieckim, bo straże dotąd nieruchome, poczęły okazywać znaki pewnego niepokoju, kręcić się na miejscu, wyciągać szyję, nadstawiać uszu.

W tejże chwili, nagle wśród obozowiska niemieckiego ukazało się widmo, nie widmo, kobieta z włosem rozpuszczonym, z chustą jakąś na sobie, którą wiatr unosił nad nią, jak oponę, z ręką wyciągniętą naprzód, w której trzymała gorejącą wielkim płomieniem żagiew. Biegła, cotylko sił miała, krzycząc w niebogłosy wśród obozowiska.

Oczywiście na ten krzyk zrobił się wśród



Niemców straszny zamęt. Zrywali się ze snu, wypadali z szałasów, jakie sobie z gałęzi byli pobudowali, napół nadzy z bronią i bez broni, wszyscy krzycząc, wszyscy nie pojmując, co się dzieje.

Sambor patrzał na to, patrzał i mruczał:

— Czy to bies, czy co?

A przypatrzywszy się lepiej, gdy jakiś przelotny blask światła padł na twarz lecącej kobiety — zawołał:

— Zmora, zmora!

Tymczasem w obozie niemieckim zamęt wzrastał i wrzawa nie do opisania. W przestrachu, w ślepem przerażeniu poczęli nawzajem rąbać mieczami i toporami. Nagle Zmora, bo ona to istotnie była, rzuciła gorejącą żagiew między gęsto stojące obok suche szałasy. wysuszone przez słońce, pełne suchych liści; te się zajęły, buchnęły płomieniem, który z niepowstrzymaną szybkością i gwałtownością począł się rozszerzać, oświecając całe obozowisko, jak w dzień, powodując jeszcze większe zamieszanie.

Wśród tych strasznych płomieni Niemcy i nie Niemcy biegali jak szaleni, krzyczeli, bili się, rąbali wzajemnie. Tu i owdzie rozlegały się jakieś rozkazy, ale ich nikt nie słuchał. Na dobitkę nieszczęścia, kilku ludzi śpiących w szałasach ogarnął ogień i wypadali oni, niby żyjące, ruchome kolu-

mny ognia, na środek obozu, ze strasznym nieludzkim jękiem.

W tejże chwili w głębi puszczy zagrzmiał potężny okrzyk, jak gdyby wyrzucony z tysiąca piersi:

— Jezus, Marya, Józef! naprzód!

Okrzyk ten huczał wśród puszczy i ciszy nocnej. powtarzany tysiącznem echem, przerwany przez wiatr i niesiony gdzieś daleko pod ciche, gwiaździste, poważne niebo.

Już teraz Sambor nie czekał. Podniósł topór w górę i huknął potężnym głosem:

— Dalej na Niemców! kto żyw na Niemców! Król Mieszko napadł. Na Niemców! na Niemców! Zsunął się ze zwinnością wiewiórki ze stogu i biegł, krzycząc swe:

— Na Niemców! na Niemców!

Ale w obozie polskim już był ruch ogromny; wojewoda Krzesław w sobolim kołpaku, z gołą szablą w garści biegał, szykował, wydawał rozkazy i słał gromady zbrojnych jedną za drugą na obóz niemiecki.

Do jednej z takich gromad przyłączył się Sambor i biegł jak szalony, potrząsając toporem, ku obozowisku niemieckiemu, gdzie panowała niesłychana wrzawa i strzały poczęły na wszystkie strony świstać. Po drodze przyłączali się do biegnących inni; kto żyw, zrywał się i leciał. Topory, miecze, maczugi i włócznie jeno bły-



szczały w migotliwych blaskach olbrzymich płomieni, które przerażały obozowisko niemieckie.

Gdy, nakoniec Sambor ze swymi dobiegł tam i palnął przez łeb toporem nawijającego mu się Niemca, już siła niemiecka była zgromiona prawie zupełnie. Jazda czeska ruszyła w obóz, roztrącała wszystko przed sobą, rąbała zacięcie, kogo napotkała i trup padał często. Wrzawa i blask był tak ogromny, że ptactwo pozrywało się w puszczy dokoła i gromady wron i kruków unosiły się nad bitwą, kracząc złowieszczo.

Nadbiegł też i Krzesław z resztą swych wojaków i zaraz zaprowadził jaki taki porządek. Zgromadził swoich, ruszył na lewo, ku gościńcowi, by zastąpić drogę uciekającym Niemcom. Jakież tutaj gromady całe spłoszonych, przerażonych nieprzyjaciół, dostawało się pod miecz i topór polski! Krew płynęła strumieniami i rzadko który Niemiec mógł się przedostać przez zaporę, jaką stawił Krzesław.

W obozie tymczasem Czesi i wojownicy króla Mieszka rąbali, palili żywcem Niemców, rzucając ich w płomienie. Bitwa wciąż trwała, bo nakoniec Niemcy się opatrzyli nieco, przyszli do siebie, zbili w jedną i drugą gromadę i ustrojeni dobrze, zaopatrzeni w tarcze, rozpaczliwy i uparty stawiali opór.

— Wojewodo — mówił Sambor do Krzesława — król sam sobie rady nie da. Niemcy bro-

nią się zacięcie i świt też zaraz będzie, a w dzień obaczą, że naszych jest niewiele i nabiorą otuchy. Chodźmy i my i dobijmy ich póki noc.

Krzesław nic na to nie odrzekł, myślał, myślał i w końcu ozwał się:

— A może ty i dobrze radzisz. Jakoś zadługo się tam biją, a Niemców jak się odrazu nie zje, to oni jak padalce życia nabierają.

Obrócił się do swoich i miał już wydać rozkaz, aby ruszono, gdy nagle na gościńcu zadudniała ziemia i ze dwustu pieszych i konnych Niemców ukazało się przed Krzesławem. Na ich czele na dużym ciężkim koniu siedział mąż olbrzymiego wzrostu, z rudą brodą, z gołą głową, ale w pancerzu złocistym na piersiach, z wielkim mieczem w garści i krzyczał ochrypłym głosem, przodem zwrócony do swoich i mieczem zakreślając koła:

— Herum! herum!

Za nim biegło kilku konnych i waliła pośpiesznie gromada pieszych, trochę w żelazo okutych Niemców, ale znacznie więcej Wilinów i Polaków, uzbrojonych w topory i maczugi.

— To Wigman, — mruknął Krzesław, ukazując mieczem na krzyczącego Niemca. — Naprzód! — obrócił się do swoich i z podniesionym mieczem do góry rzucił się na zbliżającą się kupę niemiecką.

Samborowi napad nie podobał się.

— Albo my im damy radę? — mruknął — stratują nas jak stonogów.

Ale nie czas już było na rozmyślania, bo Niemcy, spostrzegłszy zastępującego im drogę Krzesława, ze strasznym wyciem i krzykiem rzucili się naprzód. Wigman spiął konia i skoczył rąbiąc dokoła wielkim mieczem, klnąc i wrzeszcząc jak opętany ochrypłym głosem. Sambor widział go jak leciał naprzód, jak koń jego piersiami rozbijał i powalał na ziemię zastępujących mu drogę, jak Krzesław, cięty przez głowę, zatoczył się i padł; widział to wszystko i chciał się dostać do Wigmana, ale nie mógł. Ogarnięty wściekłością, że Niemcy się wymykają z matni, bo wojacy Krzesława poczęli pierzchać i pryskać dokoła, jak woda, gdy w nią kamień upadnie, zakręcił w powietrzu maczugę i cisnął nią w Wigmana. Nieszczęściem chybił, choć maczuga uderzyła jakiegoś rycerza i zwaliła go z konia, ale Wigman ocalał. Przerżnął się łatwo przez zastępujących mu drogę wojaków Krzesława, osłabionych głodem i znikł ze swą gromadą w ciemnościach puszczy i nocy.

Sambor obejrzał się dokoła i zobaczył koło siebie kilkunastu wojaków, zdziwionych nagłością tego wszystkiego, co się stało. Na ziemi, na gościńcu nurzało się we krwi kilku trupów i jęki rannych rozlegały się.

— Bodaj was piorun spalił! — zawołał Sam-

bor — daliście umknąć wodzowi niemieckiemu. Bodaj was siarczyste zmory porwały!

Postrzegł leżącego Krzesława i podbiegł ku niemu zobaczyć, czy żyje. Żył jeszcze, oddychał ciężko i cały krwią był zbroczony. Głowę miał strasznie przeciętą i mózg było widać. Sambor usiłował go podnieść i oglądał się na pomoc, gdy nagle nadbiegła gromada zbrojnych wojaków.

— Kto tu? — ozwał się znany głos Samborowi.

— A, to ty Staszku?

— Sambor, co ty tu robisz? — zapytał Staszko.

— A cóż, chcieliśmy zastąpić drogę Niemcom, ale nas stratowali i uciekli. Sam Wigman był z nimi i drapnął, zabiwszy Krzesława.

— Wigman był i uciekł!

— A uciekł!

— Dokąd?

— A tam, gościńcem.

— Ścigajmy go.

— Z czem? masz koło siebie garść ludzi, a on jeszcze około dwustu chłopa liczy. Gdybyś miał więcej, to już jabym dognał Niemca i sprawił mu łaźnię. Znam przecie puszczę, lepiej niż Niemcy.

— Tak! — namyślał się Staszko — żeby mieć konnicę. Czekaj tu, ja pobiegnę do króla

Zawrócił konia i poleciał.

Koło Sambora tymczasem poczęli się zbierać

rozpierzchnięci wojacy Krzesława. Wyłazili z boru po jednemu, po dwóch, lękliwie się zbierali, mruczeli, narzekali na siebie, że się dali tak łacno Niemcom potłuc.

— Nic to nie szkodzi, — pocieszał ich Sambor — Niemcy nam nie uciekną i jabym ich dognał, jeno nie z wami. Wam trzeba podjeść dobrze. wywczasować się, a nie w pościg się puszczać, Ot i Krzesław pomarł.

Jakoż stary wojewoda westchnął głęboko, zajęczał cicho i zwisnął trupem na ręku Sambora. Przez puszczę przeglądał już szary świt i kruki unosiły się ciągle nad pobojowiskiem, kracząc złowieszczo. Poranny, chłodny wiatr powiał po borze.

W tejże chwili nadjechał król Mieszko w sobolowej szubie, a z nim Staszko i gromada wojaków czeskich i nieczeskich. Król poznał Sambora, użalił się śmierci Krzesława i począł wypytywać się o ucieczce Wigmana, a gdy dowiedział się o wszystkiem, rzekł:

— I ty, Samborze, podejmujesz się go doścignąć?!

— Czemu nie, bylem jeno miał ze trzystu wojaków, umiejących dobrze chodzić. Wigman pójdzie gościńcem ku gontynie Lelum-Polelum, bo puszczy nie zna; ja pójdę na przełaj i zastąpię mu gdzie drogę.

— Dam ci konnicę czeską — rzekł król.

— A ja konnicy nie chcę. Cobym ja z nią robił w puszczy! Niech sobie konnica ściga Wigmana gościńcem, ja mu piechotą zaskoczę drogę.

— Więc dobrze. Dam ci dwustu ludzi, bo więcej dać nie mogę i niech cię Bóg prowadzi. Jakoż wydano natychmiast rozkazy i przed Samborem stanęło dwustu polskich wojaków, ubranych w pancerze, w kożuchy, uzbrojonych w łuki, proce, stryczki, maczugi, topory, widły i kosy.

Dzień już był dobry i słońce przedostawało się przez drzewa, ogrzewając mocno, gdy Sambor i Staszko zagłębili się na czele powierzonych im wojowników w mroczną puszczę.

Jazda czeska i starszyzna, uporządkowawszy nieco zdobyty obóz niemiecki, puściła się znacznie później gościńcem w pogoń za Wigmanem.

XVIII.

P o ś c i g.

Stratowawszy zastępujących mu drogę wojaków Krzesława, Wigman ze swoimi uchodził szybko gościńcem. Jeden z żołnierzy niemieckich pożyczył mu hełmu, bo margraf był z gołą głową, a słońce na szerokim gościńcu dopiekało mocno. Oddział Wigmana składał się z sześciu rycerzy niemieckich na koniach, zakutych w żelazo, uzbrojonych we włócznie i miecze. Między nimi znajdował się Otto, który chodził w poselstwie do gontyny Lelum-Polelum. Resztę oddziału, w liczbie około dwustu składali Wilinowie, w świtkach i postołach, w kapeluszach słomianych lub czapkach, oraz Polacy z puszczy, którymi dowodził Waligóra. Ci wszyscy byli źle uzbrojeni w łuki, włócznie, topory po większej części kamienne, maczugi drewniane. Wielu między nimi było rannych i ci ustawali po drodze, pod skwarem słonecznym, wśród piasczystego gościńca.

Wigman, otoczony swoimi Niemcami, jechał na przodzie i gadał z nimi po niemiecku, a w tyle postępował Waligóra zły, markotny i chmurny.

- Ot, psy niemieckie — mruczał — na jatki nas powiedli. Mówiłem, że straże źle są ustawione, ale co to znaczy! im się zdaje, że jeno oni umieją wojować. Bodaj przepadli! Będzie nam teraz, będzie. Oni sobie pójdą do swej ziemi, a my wszystką biedę wycierpieć musimy. Mieszko! znam ja Mieszka i wiem że żartować nie lubi. Psi syn! — mruknął, wskazując na Wigmana — jedzie sobie na koniu, dobrze mu, a ty bródź po piasku po kostki i pod takim skwarem, że pot z człeka ciurkiem się leje! Mówiłem mu, żebyśmy nie szli gościńcem, jeno puszczą, ale nie chciał. Bodaj go piorun spalił! Wylegał się psubrat w nocy w namiocie na pierzynie i ani myślał, że Mieszko nas może napaść. Ej, Żubr!

Żubr z jedną tylko ostrogą u postołów, bo drugą gdzieś zgubił, przysunął się do wojewody i patrzał na niego głupowatemi oczami.

— Wszak ty chodziłeś wczoraj w południe na wywiady?

— Ja.

— I dałeś znać margrafowi, że król idzie?

— Ano tak.

— I cóż ci odrzekł?

— Powiedział mi, żem głupi i żebym pysk stulił.

— O! stulili mu też pysk ale krwawo. Na Zmorę psi syn wygaduje, że ona postraszyła wojsko, a gdyby nie Zmora, toby nas byli śpiących porzezali jak baranów. Rycerze! bodaj was pobito, takich rycerzy. Gdyby nie my i nie Wilini, toby noga stamtąd nie uszła. Któż powalił zastępującego nam drogę Krzesława? Nie oni?

— Sprawiedliwie nie oni — zauważył Żubr.

— O! byłby wisiał już ten margraf na sośnie, gdyby nie my!

Tak gadał i złościł się Waligóra, poglądając groźnie i niechętnie na Niemców, jadących na przodzie. Słońce paliło nieznośnie; na piasczystej drodze pod nogami tylu ludzi wzbijały się chmury miałkiego pyłu, który przedostawał się wszędzie, dławił oddech. Wszyscy byli nadzwyczajnie znużeni, po nocy przepędzonej na walce, głodni, zniechęceni i bez nadziei. Wilini i Polacy wlekli się długą, rozrzuconą, kolumną po gościńcu, szukając cienia i chłodu, narzekając głośno.

Tak szli do samego południa i właśnie zamierzano się zatrzymać, by trochę odpocząć i w cieniu drzew przepędzić najgorętsze godziny, gdy nagle, któryś z wojaków zatrzymał pochód, wskazując na gościniec, który w tem miejscu był pusty na znacznej odległości:

— A to co?

Wszyscy obejrzeli się i ujrzeli w oddali długi, wysoki tuman kurzu, wzbijający się jak chmura

kù niebu i rozpływający się mętnemi, żółtemi płachtami ponad drzewa.

Waligóra patrzał przez jakiś czas na ten tuman kurzu ruchliwy i zdający się zbliżać i mruknął:

— Do stu biesów, czyby nas Mieszko ścigał?

Rzekłszy to, obrócił się do jednego ze starszych wojaków i zawołał:

— Ziemku, ty masz słuch dobry. Przyłóżno ucho do ziemi!

Ziemko stary, siwawy już kmieć, odparł:

— Po co tu słuchać mamy świętej ziemi, kiedy tu oczy widzą. Ani chybi, ktoś za nami pędzi w wielkiej sile i na koniach, bo bardzo szybko się posuwa.

Ledwie skończył, gdy wiatr usunął na krótką chwilę kurz i z poza niego błysły pod słońce pancerze, hełmy, włócznie. Na ten widok Waligóra, któremu oczy się zaiskrzyły, huknął olbrzymim głosem:

— Do broni, do kupy! łucznicy i procarze naprzód! włócznicy na tył! Hej, wy tam! — zawołał, zwracając się do łuczników, którzy zbijali się w kupę — mierzyć dobrze i tylko w konie!

Odżył, wyprostował się, oczy mu się iskrzyły, jak dwa płomienie, a twarz cała pokryła się purpurą zapału.

— W tejże chwili między Niemcami, którzy jechali na przodzie koło margrafa i którzy byli

zatrzymali się, by patrzeć na ścigającą ich chmurę kurzu, zrobił się ruch. Wszyscy zawrócili konie i Wigman coś do nich gadał głośno.

Waligóra i wszyscy jego wojacy poznali po tych ruchach, że konni Niemcy chcą uciekać, a ich pozostawić na pastwę nieprzyjaciela. Waligóra, trzęsący się od gniewu, wściekły, klnąc głośno, skoczył gwałtownie naprzód i chwytając konia Wigmana za uzdę, zawołał:

— To ty, psie niemiecki, podmówiłeś nas do wojny, wystawiłeś nas na jatki, a teraz chcesz uciekać? Toś ty taki rycerz! ty, ty... tchórzu!

Wigman zbladł jak chusta. Wlepił swe duże, zielone oczy w Waligórę i podniósł miecz do góry, jakby chciał nim uderzyć wojewodę polskiego.

Umiał on po polsku, bo był w ciągłych stosunkach ze Słowianami i zrozumiał straszną obelgę, jaką mu w twarz rzucił Waligóra. Siedział na koniu nieruchomy, jakby skamieniały, z mieczem wzniesionym do cięcia i wciąż patrzał strasznym wzrokiem na wojewodę.

Ten w uniesieniu szarpiąc koniem, krzyczał:

— To taka waleczność niemiecka? bodaj was piorun spalił, bodaj święta ziemia was żywcem pożarła, wy, tchórze niecne!

Wigman spuścił miecz i rzekł głosem drżącym od gniewu:

— Precz od konia! Nie jestem tchórzem i rycerz niemiecki nie opuszcza swych towarzyszy. Oto, żeby ci pokazać, że umiem zdzierżyć słowo i wiarę, zsiądę z konia i pieszo potykać się będę. A żeś mię nazwał tchórzem, odpowiesz mi za to później ciężko.

To rzekłszy, zsiadł z konia, oddał go w ręce Wilinów i sam z gołym mieczem w ręku poszedł na tył, od strony zbliżających się nieprzyjaciół i stanął pośrodku łuczników i procarzów, mówiąc:

— Nie bójcie się, Słowianie nic nam nie zrobią, jakem margraf Wigman! Będziemy się bili do ostatka, do ostatniej kropli krwi i da Bóg zwyciężymy. Ich nie jest wielu, nie może ich być wielu i pokonamy ich.

Tymczasem ścigający zbliżali się, pędząc wyciągniętym kłusem. Była to jazda czeska. Na jej czele gnał Spicymir, który wybrawszy stu jezdców najwytrwalszych i na najlepszych koniach, puścił się przodem w pościgu, zostawiając króla z resztą wojska znacznie w tyle, wlokącego się powoli.

Gdy spostrzegł oddział Wigmana, Spicymir podniósł w górę ogromny topór żelazny i krzycząc, kazał swoim ruszyć galopem. Ale Wigman, który odzyskał całe swe męstwo, zawołał:

— Na prawo i na lewo, z gościńca w las i tam strzelać. Oni za nami nie pójdą do boru i nic nam tam nie zrobią.

Jakoż w jednej chwili wojsko Wigmana prysło na obie strony gościńca i tam, ukrywszy się za drzewami, analiami, gęstwiną, powitało lecących Czechów gradem strzał, kamieni i wszelkiego rodzaju pocisków. Strzały zaczęły dzwonić po hełmach i pancerzach, poraniły kilka koni, a parę większych kamieni zwaliło nawet na ziemię dwóch Czechów. Zrobiło się między nimi zamieszanie, konie poczęły się rzucać, plątać, brać na kieł i jazda w jednej chwili została zmuszona do szybkiego odwrotu. Waligóra nawet z wprawą niezmierną rozwinął ogromny stryczek i rzucił go na jednego jeźdzca, który zapędził się niedaleko; jeźdzca chybił, ale konia uchwycił za łeb i tak silnie szarpnął, że zatoczył się i padł. Jeździec wydobył się z pod konia i chciał uciekać, widząc, że sam został na pobojowisku, ale obskoczony ze wszech stron przez dzikich i okrutnych Wilinów, broniąc się walecznie przez jakiś czas padł w końcu pod ciosami toporów i maczug.

Upojeni tem łatwem i nagłem zwycięstwem Wilinowie poczęli wydawać okrzyki radości i wołali na Wigmana, by ich prowadził na Czechów, mówiąc, że ich wybiją do nogi. Ale Wigman nie zgodził się na to, a Waligóra wołał:

— Stulić gęby i słuchać! Jeszcze wam te Czechy dopieką do żywego. W drogę! co ujdziemy, to nasze.

Niechętnie i z ociąganiem się ruszono dalej

gościńcem, bo lasem, nawet tuż przy drodze iść było niepodobna dla nieprzebytej gęstwiny. Wigman postępował pieszo w ostatnim rzędzie i co chwila oglądał się na Czechów.

Ci po pierwszym nieudanym napadzie, odpędzeni tak sromotnie, zatrzymali się w odległości trzech dobrych rzutów strzały i stali tak, naradzając się widocznie, co czynić. Widać było jak Spicymir biegał między nimi, coś nakazywał, szeregował ich, wskazywał toporem na ustępujących wojowników Wigmana, błyskał pod słońce złocistym pancerzem i hełmem z wielkiem pióropuszem. Nakoniec cały oddział ruszył lekkim truchtem naprzód za Wigmanem. Jechali, jechali i Wigman chciał wysłać swoich do lasu, gdy nagle Czesi zatrzymali się. Widać było ich twarze brodate, opalone od słońca, spocone, z błyskającemi oczami.

Niektórzy potrząsali mieczami i włóczniami. Potem Spicymir wydał jakiś rozkaz i połowa jezdców zsiadła z koni, oddała je drugiej połowie, zdjęła z ramion wielkie żelazne łuki, i zasłaniając się długiemi tarczami, zamieszczonymi na lewej ręce, ruszyła pieszo krokiem przyśpieszonym naprzód.

— Otóż rozum na rozum! — mruknął Waligóra — mądryś ty, margrafie, ale Czesi mądrzy. Teraz dopiero wezmą się do nas. Hej, wy tam

łucznicy i procarze, a sypnijcież do tych psów, a mierzcie dobrze.

Świsnęły strzały i kamienie, ale nie szkodziły one prawie nic Czechom, zakutym w dobre zbroje, zasłoniętym tarczami. Za to ich strzały robiły straszne spustoszenie w gromadzie słowiańskiej. Białe świtki lniane nie zasłaniały od pocisków piersi kmieci polskich. Co chwila ktoś jęknął i padał jak długi, brocząc krwią piasek.

Czesi szli ciągle naprzód, niezatrzymani niczem i coraz bardziej się zbliżali. Wilini chwiali się, oglądali trwożliwie, z przestrachem spoglądali na padających swych towarzyszy i rzucali okiem na las.

— Trzymać się kupy! — wołał Wigman, naciągając niekiedy żelazny łuk niemiecki, którego strzały przebijały nawet czeską zbroję.

— Margrafie — zawołał Waligóra, w którego bobrowej czapce chwiało się kilka strzał — zejdźmy w las, zawszeć tam będzie jaka taka zasłona. Tu nas wybiją do nogi jak psów wściekłych.

Wigman uznał słuszność rady i oddział jego rozdzielił się znowu na dwie części i ruszył w krzaki po obu stronach drogi. Wprawdzie posuwać się tu było można tylko bardzo wolno i z wielkim trudem ale przynajmniej nie narażano się na śmierć pewną od strzał nieprzyjacielskich lub ciężkie rany. Na gościńcu stracono kilkunastu ludzi, których Czesi nieludzko dobijali.

Jęki ich, płacz i narzekania rozległy się dokoła po puszczy, przerażając żyjących, których taki sam los spotkał.

Zato teraz w gęstwinie, pod zasłoną olbrzymich drzew było daleko lepiej i bezpieczniej. Czesi nie znając puszczy, bojąc się w niej zasadzek, niechętnie i z wielką ostrożnością tam weszli i postępowali za cofającymi się bardzo wolno, nie szkodząc im prawie nic, sami zato rażeni niekiedy jakim ciężkim kamieniem z procy.

Taka walka toczyła się przez cały dzień. Wigman cofał się ze swymi wolno, Czesi za nim szli i obie strony nie wielkie ponosiły straty. Znużenie tak w oddziale Wigmana, jak i czeskim było ogromne i w końcu nad wieczorem przerwano walkę, do niczego nieprowadzącą, ograniczając się tylko na wzajemnem obserwowaniu.

Gdy słońce poczęło kryć się za drzewa puszczy i zmrok szary zalegał już jej głębię, Waligóra zbliżył się do Wigmana i rzekł:

— Stąd niedaleko jest boczna drożyna, która prowadzi do małego jeziorka. Jak noc zapadnie, skręćmy na nią nagle i tym sposobem umkniemy przed tymi psami czeskimi. Od jeziorka do gontyny Lelum-Polelum jest tylko pół dnia drogi: odpoczniemy nieco, posilimy się, czem kto ma i ruszymy do gontyny, gdzie rankiem staniemy.

Wigman zgodził się na tę propozycyą i gdy noc zapadła, nagle oddział jego zagłębił się

w puszczę i znikł z oczu Czechom, którzy zatrzymali się na gościńcu, nie wiedząc, co począć i dokąd się udać.

Oddział Wigmana tymczasem uwolniony od pościgu, szybko posuwał się wązką i ledwie widzialną drożyną i dobrze już w nocy dobił się owego jeziorka, gdzie ułożono się na chwilowy spoczynek.

XIX.

Napad.

Wojacy Wigmana byli niesłychanie znużeni, to też przyszedłszy nad jeziorko, popadali zaraz na trawę i zasnęli snem kamiennym. Nie rozstawiano wcale straży, bo Waligóra zapewniał, że ich tu nikt nie znajdzie, a cóż dopiero Czesi, którzy puszczy nie znają i nocą będą lękali się w nią zapuścić. Słowa te wydały się wszystkim prawdopodobnemi i nawet Wigman, zdjąwszy ze siebie zbroję, w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa, legł spać, kołysany szmerem puszczy, otulony w mgły białe, unoszące się z jeziora.

Noc upłynęła spokojnie. O świcie, o szarym, smutnym i chłodnym świcie, ten i ów z oddziału przebudził się, ale, słysząc niezakłóconą niczem ciszę w borze, zasypiał znowu lub drzemał. Obudził się Waligóra, a leżąc na trawie, otulony w kożuch, napół zaspanemi oczyma poglądał po drzewach, po mgle, która wielkiemi płachtami unosiła się nad jeziorem. Choć się dobrze przespał, czuł się mocno

zmęczonym i właśnie myślał nad tem, czyby nie lepiej było zostać jeszcze przez dzień tutaj nad jeziorem, odpocząć sobie, jak należy, ryb nałowić i dopiero nocą się puścić w dalszą drogę. Myśl ta i z tego względu wydawała mu się dobra, że spoczywając nad jeziorem, przepuści się przed sobą pogoń i całe wojsko królewskie, które pójdzie dalej gościńcem, szukając wiatru po puszczy, a on, Waligóra ze swymi tymczasem wojakami, naprzełaj przez las dostanie się do swego gródka bezpiecznie i spokojnie, przycupnie tam cicho i będzie siedział jakby nigdy nic, nienagabywany przez nikogo. Co do Niemców i Wigmana, mówił sobie:

— Niech ich tam bies porwie, niech sobie robią, co chcą. Podburzyli nas psu-braty, a teraz chcą umknąć do siebie, a nam każą pić piwo, które nawarzyli. Trzeba dbać o własną skórę najprzód.

Gdy tak sobie rozmyślał, leżąc na miękkiej trawie, nagle do jego bystrego słuchu, ziemia przyniosła jakiś podejrzany szelest, jakiś odgłos niezwykły. W jednej chwili jego zaspane, napół przymknięte oczy, rozwarły się szeroko, podniósł się i usiadł, spojrzał dokoła, ale nic nie dostrzegł.

Cały obóz spał, choć tu i ówdzie ktoś głośno ziewnął, na wschodzie nad borem niebo się czerwieniło i mgły przewalały się nad jeziorem. Zaniepokojony jednak mocno, przyłożył ucho do ziemi i słuchał przez jakiś czas pilnie.

— Do stu biesów! — mruknął. prostując się na nogi — coś się w puszczy dzieje, jakby wojsko szło.

Stał z rozczochraną głową, w kożuchu zarzuconym na ramiona, bezbronny zupełnie i przez chwilę myślał.

— Ech! — rzekł, machnąwszy ręką — to pewno dziki zwierz, może żubry lub łosie idą do boku jeziora napić się wody. Bo skądby tu Czesi mogli się dostać? Oto byłoby dobrze, jeżeli to są łosie lub żubry, żeby ubić choć jednego. Byłoby co jeść, a głodny jestem, żebym konia z kopytami zjadł.

Mówiąc to, spojrzał na konie niemieckie, które nieopodal się pasły na murawie. Stały one z podniesionymi łbami, wietrząc i strzygąc uszami niespokojnie.

— Ani chybi, — mruknął Waligóra — to żubry. — Schylił się po topór, który przypasał do boku i właśnie miał podnosić łuk z ziemi, gdy nagle rozległo się głośne dudnienie, jakby wielka jakaś gromada ludzi czy zwierząt biegła. Puszcza powtarzała ten odgłos tysiącznem echem, napełniała się niem zupełnie.

Waligóra szybko podniósł głowę i spojrzał przed siebie Zdawało mu się, że coś za krzakami leszczyny, oddalonymi od niego na kilkanaście kroków, błysnęło, niby miecz i objęła go straszna trwoga.

Zwrócił się twarzą do śpiących wojaków i krzyknął potężnym głosem:

— Do broni! do broni!

Ale w tejże chwili strzała świsnęła i ugodziła go w nagą pierś, zagłębiając się po same pióra. Ryknął nieludzkim głosem, postąpił parę kroków z rękami rozpostartemi i padł twarzą na ziemię, wyrzucając z ust potoki krwi. Krzyk jego nagły, rozlegający się w ciszy poranku daleko, pobudził wszystkich. Co żyło, zerwało się na nogi i w strasznem zamieszaniu chwytano za broń, za hełmy, biegano tu i tam, a wielu, zwłaszcza zpośrodka Wilinów, poczęło uciekać w głąb puszczy, gnani śmiertelną trwogą.

Zerwał się także z ciężkiego snu i Wigman. Spał on pod starym i grubym dębem i gdy się zbudził, usiadł najprzód i przecierając rękami oczy, patrzał co się dokoła dzieje.

Strzały właśnie poczęły świstać, zblizka wymierzane z gęstych krzaków, otaczających obóz i przez gałęzie tych krzaków, błyszczały kiedyniekiedy zbroje i hełmy napastników.

Wigman odrazu zrozumiał położenie i całą jego grozę, widział popłoch między swymi wojakami, zamieszanie, nieład, ich ucieczkę tłumną, ich ślepą trwogę, tak, że wielu skakało do wody jeziora i kryło się tam pośrod gęstych szuwarów. Obrona była wprost niemożliwa, gdyż cały oddział napad-

nięty z nienacka, zmienił się w stado spłoszonych owiec.

Margraf, widząc to wszystko, westchnął głęboko i włożył na głowę leżący obok siebie błyszczący hełm złocisty — poczem, schwyciwszy zbroję, wskoczył na dąb i tam począł ją na siebie wdziewać. Ledwie to ukończył, nawet niezupełnie poprzypinał liczne rzemienie i tarczę zarzucił na lewe ramię, a w prawą rękę schwycił długi prosty miecz, gdy Czesi z ogromnym krzykiem i podniesionymi do góry mieczami, toporami i włóczniami wypadli, jak rój pszczół z ula, zpoza krzaków i wstępnym bojem uderzyli na Niemców i Wilinów.

Była to prosta rzeź. Wilini uciekali na wszystkie strony i rzadko który stawiał słaby opór, a kogo napadli Czesi, tego natychmiast zarąbali. Garść rycerzy niemieckich, napół uzbrojonych zbijających się w kupkę, otoczona ze wszech stron przez Czechów, broniła się zawzięcie, ale oskoczeni dokoła, zarzuceni wszelkiego rodzaju pociskami, powoli padali po jednemu, okryci ranami, zlewając obficie krwią murawę, klnąc głośno lub jęcząc żałośliwie.

Wigman, oparty plecami o dąb, widział to wszystko, ale się nie ruszył. Spuścił na twarz przyłbicę, zasłonił się błyszczącą, długą tarczą, z czarnym orłem na niej namalowanym i czekał tak, gotów do upartej obrony, z postanowieniem

drogo sprzedania swego życia. Przez jakiś czas, Czesi, zajęci walką z Niemcami, ściganiem Wilinów, zbieraniem nędznej zdobyczy, jaką w obozie znaleźli, nie widzieli go, zwłaszcza, że dąb stał w głębi na samym skraju lasu. Ale, gdy wkońcu ostatni z rycerzy niemieckich padł z roztrzaskaną toporem głową, gdy już prawie nikogo w obronie nie było, coby opór mógł stawić, a Polacy poddawali się, spostrzeżono Wigmana. Słońce właśnie przedarło się przez gęste konary drzew i jasny jego promień padł na margrafa złocisty hełm, który błyszczał i ciskał blask dokoła, jak jarząca świeca.

Z krzykiem, pogróżkami, potrząsając toporami i mieczami rzucili się ku niemu. On dumnie wysunął lewą nogę naprzód, zasłonił się tarczą, i podnosząc do góry wielki miecz, w którym słońce zapaliło błyskawicę, zawołał po niemiecku:

— *Kommt, kommt ihr Sclaven!*

Ta dumna, zuchwała, wyzywająca postawa, ta świetna zbroja i ten miecz wielki, który błyszczał pod słońce, jak złocisty wąż, powstrzymały zapał Czechów. Stanęli i wymyślać poczęli margrafowi, grożąc mu mieczami i toporami, a niektórzy naciągnęli swe łuki i puścili w Wigmana kilka strzał. Alę ten spostrzegł ten ruch, zasłonił się tarczą, w której pociski uwięzły, chwiejąc się od silnego rzutu. Gdy to nie pomogło wystąpił jakiś Czech z czarną brodą i toporem w ręku i krzycząc na swoich, rzucił się na Wigmana. Nie zdążył jednak

podnieść jeszcze topora, gdy miecz zaświstał w powietrzu, zrobił młynka i padł ze straszną siłą na głowę napastnika. Zachwiał się i wypuścił topór, uchwycił się oburącz za głowę, z której krew trysła, zatoczył się jak pijany i runął z okropnym jękiem na ziemię.

Na ten widok, wściekłość ogarnęła napastników. Poczęli krzyczeć, wywijać bronią, grozić, ale żaden nie śmiał się zbliżyć do Wigmana, by doznać potężnego skutku jego dzielnej ręki. A on stał dumny, spuściwszy na dół miecz i patrzał pogardliwie na Czechów.

Ci obiegali go dokoła, zachodzili z boków i tyłów, ale wielkie konary dębu, osłaniały z tej strony doskonale margrafa. Przystęp doń był tylko z przodu — ale tu błyszczała jego tarcza. żelazna zbroja, niepokonany miecz. Obrzucono go strzałami, których mnóstwo tkwiło w jego tarczy i w jego hełmie, ale zdaje się, żadnej mu nie przyniosły szkody. Stał wciąż dumnie i wciąż wołał:

— *Kommt, kommt ihr Sclaven!*

Wielu Czechów rozumiało po niemiecku i nazwisko niewolników, jakiem ich darzył Wigman, oburzało ich nadzwyczajnie. Ktoś cisnął włócznią na Wigmana, ale ta rozbiła się o tarczę. Wówczas inny, chwyciwszy wielki topór w rękę, rzucił go z niezmierną siłą. Topór z świstem przerżnął powietrze i trafił znowu w tarczę, ale rzut był tak potężny, że tarcza pękła na dwoje.

Widok ten wywołał w napastnikach ogólny okrzyk radości i tryumfu. Wigman potrzaskaną tarczą nie mógł się już zastawiać i w dodatku, zachęceni powodzeniem Czesi, zasypali napół już bezbronnego margrafa strzałami, które poczęły dzwonić po zbroi i więznąć w niej. Ten i ów rzucał toporem i Wigman, tylko dzięki niezmiernej zręczności i przytomności, zdołał dotąd uniknąć śmiertelnego ciosu. Widział jednak, że taka nierówna walka niedługo może potrwać. Włócznie i topory więzły dokoła niego w dębie, kamienie wyrzucane z proc, latały mu koło głowy jak grad, a jeden nawet uderzył w hełm i zerwał z niego cały pióropusz z paciorków. Z brzękiem rozsypały się dokoła, strojąc murawę w błyszczące, różnobarwne gwiazdki i świecidełka.

Wobec tego wszystkiego, Wigman, widząc, że go tu mogą zabić jak dzikiego zwierza, zwłaszcza, że nieosłonięty przez tarczę, otrzymał już kilka ran, z których krew się sączyła, postanowił się rzucić na napastników i zginąć we wstępnym boju, wręcz się z nimi ścinając.

Właśnie gotował się do tej ostatniej, śmiertelnej walki, gdy nagle rozwarły się zbite tłumy napastników i na ich czele, wprost Wigmana, stanął wojewoda Spicymir, w czarnej, żelaznej zbroi. Dał znak ręką i ucichła wrzawa i wstrzymały się napaści na samotnego niemieckiego margrafa.

— Kto ty jesteś? — zapytał Spicymir.

— Jam jest margraf Wigman, — odrzekł dumnie zapytany.

— Margrafie Wigmanie, jesteś moim niewolnikiem! — zawołał wódz czeski.

— Twoim niewolnikiem? — zaśmiał się głośno Niemiec, — a któż ty jesteś, co śmiesz tak przemawiać do Wigmana, margrafa potężnego cesarstwa rzymskiego, krewnego twego króla i cesarzów?

— Jam jest wojewoda czeski Spicymir!

— Wojewodo Spicymirze, dopóki ta dłoń zdoła zdzierżyć miecz, dopóty margraf Wigman nie będzie niczyim, prócz Boga jednego niewolnikiem.

Słowom tym, wypowiadanym głosem donośnym z obu stron, towarzyszyła zupełna cisza. Wszyscy stali i ciekawie wsłuchiwali się w rozmowę Wigmana ze Spicymirem. Było takie milczenie, że słychać było rozlegające się gdzieś z głębi puszczy kukanie kukułki i krzyk kurek wodnych na jeziorze.

Spicymir przez chwilę poglądał na Wigmana i wkońcu rzekł:

— Widocznie życie ci niemiłe, margrafie. Czyż zdołasz się obronić nam? — tu wskazał ręką na otaczających go wojaków. Pobiliśmy twoje wojska, śladu z nich już niema. Twoi żelaźni rycerze oto leżą martwi, niema nikogo, coby podniósł rękę w obronie twojej i ty chcesz jeszcze walczyć. Na co ci się to przyda?

— Obowiązkiem rycerza jest: walczyć do ostatka i ja walczyć będę.

— Margrafie Wigmanie, poddaj się.

— Nigdy!

Spicymir mruknął coś niechętnie i obrócił się do jednego ze starszych, który przy nim stał i począł się z nim pocichu naradzać, poczem zwróciwszy się znów do Wigmana, rzekł:

— Margrafie, jeszcze raz wzywam cię, poddaj się. Widzisz, niecierpliwisz moich wojowników. Skinę, a sto rąk na ciebie podniesie się i zginiesz.

— Nie poddam się.

— Męstwo twoje budzi we mnie cześć. Rycerzu! przyrzekam ci, jeżeli broń złożysz, nie wezmę cię do niewoli, ale zaprowadzić cię każę bez żadnego szwanku do króla Mieszka. Niech on będzie twoim sędzią. On jest twoim krewnym i łacno odeń otrzymasz, że cię z niewoli wypuści i cało do cesarza odeszle. Złóż więc broń i nie narażaj twego młodego życia na niezaszczytną śmierć w głębi dzikiej polskiej puszczy.

Wigman, usłyszawszy te słowa, przez chwilę zdawał się namyślać. Poglądał dzikim wzrokiem po otaczających go Czechach i widocznie wahał się, co mu czynić należy.

— Dobrze! — zawołał nakoniec — zgadzam się na to, byś mię, Spicymirze, zaprowadził do mego krewnego, księcia polskiego Mieszka, ale pod jednym warunkiem.

— Jakiżto warunek?

— Że broni przed tobą nie złożę. Ty mię za-

prowadź do księcia Mieszka, tak, jak tu stoję, a ja w jego ręce mój miecz oddam.

Skrzywił się trochę na to żądanie Spicymir, ale zgodził się.

— Dobrze, — rzekł — niech i tak będzie. Jam jest Czech i jedynie pomoc niosę królowi Mieszkowi. On tu jest panem i niech on sądzi. Dobrze, każę cię, Wigmanie, odprowadzić z bronią do króla.

Wyrzekłszy to, rozkazał swoim odstąpić i Wigmana poprosił na ucztę. Gdy zjedzono, co było, siedząc na trawie, rzekł do margrafa:

— Jeno do gościńca cię odprowadzę, potem oddam cię memu namiestnikowi Władybojowi, i on cię z pocztem piętnastu zbrojnych zawiedzie do króla.

Zaraz potem ruszono z powrotem ku gościńcowi.

XX.

Śmierć Wigmana.

Wśród upału słonecznego ruszono z powrotem ku gościńcowi. Wigmanowi dano konia, z pomiędzy zdobytych na jego rycerzach i jechał otoczony dokoła Czechami. Lekkie rany, jakie otrzymał w nierównej walce, opatrzono mu jak umiano i owiązano szmatami. Na końcu oddziału pędzono z pięćdziesięciu jeńców, wziętych nad jeziorem, obdartych ze świtek, napół nagich, poranionych i pokrwawionych mocno. Szli stękając i jęcząc a Czesi im urągali i popędzali ich, bijąc drzewcami od włóczni.

Wigman jechał ponury i milczący, i gdy go Spicymir kilkakrotnie zaczepiał, chcąc z nim zawiązać rozmowę, odpowiadał półsłówkami i niechętnie. Posuwano się powoli, dzień był skwarny a w puszczy powietrze, nieporuszone, przez najlżejszy nawet wietrzyk, było duszne i parne.

Przed samem południem dobito się wreszcie

do gościńca. Tu Spicymir zatrzymać się kazał i rzekł do Wigmana.

— Odpocznijcie margrafie trochę, a potem ruszycie z Władybojem ku królowi Mieszkowi...

— Co on za król? — mruknął Wigman.

— To już nie jest moja, ani wasza rzecz, margrafie. Tak go nazywają i ja go też tak zowię... Otóż pojedziecie z Władybojem. Widzi mi się, że niedługą będziecie mieli podróż, bo Mieszko ze swymi wojakami musi być niedaleko.

Wigman nic na to nie odrzekł, tylko zlazł z konia, zdjął hełm z głowy i położył się na murawie w cieniu, żeby spocząć. Spicymir podał mu kubek wina, bo Czesi ten napój zawsze ze sobą wozili, żeby się pokrzepił, ale odmówił i prosił o wodę. Gdy mu jej podano, trochę mętną i ciepłą, wypił duszkiem, legł na wznak na murawie i patrzał się nieruchomy w lazurowy błękit, rozwieszony nad puszczą.

Gdy przeszło południe i największy skwar, Spicymir kazał Władybojowi i piętnastu wojakom czeskim siadać na koń, by odprowadzili Wigmana do króla Mieszka. Do margrafa rzekł:

— Życzę wam, margrafie, byście u króla Mieszka znaleźli taką łaskę, jaką u mnie znaleźliście.

— Ja was, wojewodo Spicymirze — zawołał dumnie Wigman — o żadną łaskę nie prosiłem. Nie poddałem się wam i nie poddaję się. Chcecie walczyć ze mną, gotów jestem.

Spicymir ruszył ramionami i rzekł:

— Jedźcie z Bogiem.

— I to wam muszę powiedzieć — ciągnął dalej Wigman — że i u króla Mieszka łaski prosić nie będę. Niech czyni ze mną co chce.

— A to mi wszystko jedno! — mruknął trochę już gniewny Spicymir, dosiadając konia i rozkazując swoim, by szli za nim.

Jakoż wkrótce oba oddziały rozeszły się, postępując w dwie przeciwne strony. Spicymir pojechał dalej na zachód w głąb puszczy, a Władybój z Wigmanem i piętnastu jeźdzcami ruszyli z powrotem. Władybój trzymał się tuż przy margrafie i jeźdzcom swoim nakazał po cichu, by mieli baczne nań zwrócone oko i w razie gdyby chciał uciekać, żeby go zaraz zarąbali. Wigman nie wiedział o tym rozkazie, jechał milczący, zadumany, ze spuszczoną głową, mroczny i chmurny.

Gdy już posunięto się na dość znaczną odległość i gdy już nie było widać oddziału Spicymira, Wigman nagle podniósł głowę, obejrzał się dokoła i zbliżając się do Władyboja, rzekł:

— Władyboju, jak wam się podoba moja zbroja, mój hełm i mój miecz?

— Hm! — mruknął Czech, oglądając to wszystko — nie można powiedzieć, piękne są i dobre.

— Chcielibyście mieć je?

— Czemu nie?

Czech patrzał z głupowatym uśmiechem na

margrafa i rzucał ukośne, chciwe spojrzenie na jego uzbrojenie. Wigman przez chwilę jechał milczący, poczem rzekł:

— I tę zbroję i ten hełm złocisty i ten miecz potężny, wszystko to wam daruję i dodam jeszcze dziesięć sztuk złotych cesarskich pieniędzy, jeżeli...

— Jeżeli co? — podchwycił Władybój.

— Jeżeli pozwolicie mi uciec. Ja chcę wrócić do swego kraju, dość mi już tej wojaczki.

— A! to być nie może — szepnął Czech — jakżebym się wytłómaczył przed królem Mieszkiem i Spicymirem?

— Głupstwo! — odparł Wigman — dano ci mało ludzi, szedłeś wolno, boś był znużony, noc cię zaskoczyła w puszczy i podczas nocy margraf uciekł. To wszystko jest bardzo proste i nikt ci kłamstwa nie zarzuci. Zważ jeno, Władyboju, jaka piękna zbroja. Takiej nawet twój król czeski, Bolko, nie posiada.

— Ej, nie kuście mnie, margrafie, bo będzie bieda.

— Żadnej biedy być nie może. Pojedziemy jeszcze trochę, potem staniemy sobie z boku gościńca w puszczy na odpoczynek i przenocujemy tam. Ludzie i konie ledwie nogi powłóczą. Sumienia nie trzeba mieć, żeby ich i siebie na taki skwar męczyć. Staniemy, nocą oddam ci zbroję,

ty mi dasz świtkę kmiecią i puścisz mię. Wszystko zrobi się dobrze. Cóż Władyboju?

— Ale... kiedy... bo widzicie, margrafie — drapał się po głowie Władybój i z pod oka spoglądał na zbroję.

— Mój Władyboju — rzekł Niemiec — nie chcesz bym uciekał? dobrze, nie ucieknę. Zawiedziesz mię do Mieszka i nic za to mieć nie będziesz. Ale widzisz... spojrzno na twoich ludzi. Toć oni ledwo żyją, a pot po nich spływa strugami. Skwar taki, że ogień leci z nieba. Konie ci popadają i ja sam ledwie żyję. Rany mi dokuczają, i jeśli w cieniu, w chłodzie nie przepędzimy dnia, trupem mię chyba zawiedziesz do Mieszka.

— Spocząć możemy i przeczekać gorąco — zauważył na to Władybój. — Od tego nie jestem i radbym się w cieniu i na chłodzie przedrzymać. Ale to jest co innego, a co innego ucieczka twoja, margrafie. I wybij to sobie z głowy, bo ja się na to nie zgodzę. Zbroja piękna, ani słowa, i przydałaby mi się, ale choćbyś ty mi królestwo dawał, ja mej wiary nie złamię.

— Dobrze, Władyboju, nie mamy o czem gadać. Rycerski jesteś człowiek, ale to wszystko nie przeszkadza, byśmy oto na tej łączce, którą tam widać z pośrodka drzew, nie spoczęli. Ręczę za to, że jest tam woda nawet, a mnie się pić chce ogromnie.

— A mnie niby nie! W taki upał to język schnie, jak skóra bydlęca. No! co będzie, to będzie, chodźmy na tę łączkę. Ale ty, margrafie, powiadam tobie, o ucieczce ani myśl nawet. Strzec cię każę pilnie.

To rzekłszy obrócił się do swoich i kazał im skręcić na łączkę, której zielona, bujna trawa przeglądała między drzewami i wabiła świeżością. Wszyscy się tem bardzo ucieszyli, bo istotnie było bardzo gorąco, a podróż po piasczystym gościńcu, jasno przez słońce oświeconym, wśród chmur kurzu wzbijającego się z pod kopyt koni, była nieznośna, zwłaszcza dla ludzi zmęczonych dalekimi pochodami, pościgiem i bitwami, ludzi źle karmionych, napół głodnych i niewyspanych.

W jednej chwili znaleźli się wszyscy na łące i rozłożyli się na jej skraju pod cieniem ogromnych dębów i olch. Konie puszczono na paszę i w głębi mokrej łąki znaleziono strumyk, pełen czystej, bystrej i nadzwyczaj zimnej wody. Radość była ogólna i każdy wyszukawszy sobie dogodne miejsce legł, a większość położywszy się, zaraz zasnęła snem ciężkim i kamiennym.

Wigman nie spał i liczył zapewne na to, że jak wszyscy się pośpią, łacno mu będzie umknąć, ale Władybój postawił przy nim dwóch strażników i kazał im surowo, by z oka nie spuszczali

jeńca. Wobec tego margraf położył się na murawie i nie śpiąc, bo spać nie mógł, pogrążył się w smutne i zgryźliwe myśli. Strażnicy posiadali obok niego na trawie i z trudnością wśród skwarnego dnia opędzali się przed snem, który ich ogarniał. W małem tem obozowisku leżała cisza niezamącona niczem, chyba świegotem ptactwa, brzękiem pszczół i szmerem liści na olchach.

Nagle z tyłu, z głębi puszczy rozległy się jakies głosy, trzask gałęzi i szybkie kroki licznej gromady ludzi. Wigman zerwał się na równe nogi, zerwali się i pilnujący go strażnicy i ujrzeli wysuwającą się z gęstwiny gromadę ludzi, ubranych w szare świtki, uzbrojonych w topory kamienne, w łuki, maczugi. Między nimi, a raczej na ich czele ukazał się w żelaznym hełmie na głowie, z olbrzymią maczugą nabijaną krzemieniami, znany nam już Sambor. Nie spostrzegł on zrazu Wigmana, bo stał trochę ukryty za drzewem, ale dojrzawszy dwóch Czechów, spoglądających na niego ze zdziwieniem, zawołał grubym, chrapliwym głosem:

— A wy, co za jedni jesteście?

— My Czesi.

— Aaa! jazda czeska! prawda! wojewody Spicymira?

— Tak.

— A jest tu wojewoda?

— Nie, wojewoda poszedł dalej.

— A któż wami dowodzi?

— Władybój.

Sambor chciał się jeszcze o coś zapytać, gdy nagle spostrzegł margrafa.

— Wigman! Wigman tu! a ty, psie niemiecki, co tu czynisz?

Gdy to mówił, oczy mu zabłysły, jak dwa rozżarzone węgle i ruszył ku Wigmanowi, podnosząc swą olbrzymią maczugę. Wigman szybko dobył wielkiego miecza, oparł się plecyma o olchę i wołał:

— Chodź tu, niewolniku! chodź!

Sambor, jak gdyby oślepiony gniewem i nienawiścią leciał naprzód i nim strażnicy mogli się opatrzyć, uderzył w Niemca maczugą. Cios był potężny i byłby z pewnością zmiazdrzył margrafa, gdyby ten ze zwinnością i zręcznością niepospolitą nie był uskoczył na stronę. Maczuga uderzyła w drzewo tak silnie że zadrżało całe i kora na niem popękała.

Margraf, korzystając z chwili, gdy Sambor podniósł swą maczugę do nowego ciosu, przypadł do niego z boku i ciął go przez twarz tak silnie, że stary myśliwiec padł zlany krwią, wydając z siebie straszny jęk.

Na ten widok z okropnym krzykiem, z przekleństwami rzucili się wszyscy wojacy Sambora

na margrafa. Ledwie miał czas stanąć pod drzewem i zasłonić niem swe tyły, gdy go już, jak rój ós, opadli ze wszech stron. Cały obóz się obudził i porwał na nogi. Napróżno Władybój, widząc na co się zanosi, leciał wołając, by odstąpiono precz, by nie zabijano Wigmana, nikt go nie usłuchał. Wszyscy, a było ich mnóstwo, lecieli jak szaleni wrzeszcząc, wyjąc, klnąc na czem świat stoi.

Wigman spuścił na twarz przyłbicę i stał pod wielką olchą szemrzącą nad nim poważnie, w postawie dumnej i wyzywającej, z nagim mieczem w ręku, z którego ściekała kroplami świeża krew Sambora. Stał, potrząsał i groził tym mieczem śmiałkom, którzyby się chcieli zanadto zbliżyć.

Jakoż kilku zuchwalszych, którzy dopadli zaraz z początku margrafa, padło pod ciosami jego miecza i to znacznie ostudziło zapał innych. Wprawdzie i Wigman otrzymał kilka ran i krew obficie zeń płynęła z pod pancerza, ale stał wciąż dumnie i zuchwale.

Odtąd walka przybrała inną formę. Zarzucono margrafa pociskami wszelkiego rodzaju, strzałami, kamieniami i włóczniami. Zrzadka tylko ktos napadł na niego wstępnym bojem i zwykle źle na tem wychodził. Ale z każdą chwilą położenie Wigmana stawało się groźniejszem. Jeden z wojaków uderzył nań z włócznią i tak zręcznie

pchnął nią w przyłbicę, że ta otworzyła się i ukazała bladą, zmęczoną, ale zawsze jeszcze dumną twarz margrafa. Ktoś inny trafił kamieniem w hełm i zrzucił go z głowy rycerza, inny cisnął mu maczugę pod nogi, tak, że gdyby nie drzewo, o które się oparł, byłby Wigman upadł. Ranny był w głowę strzałą i krew mu ciekła po twarzy. Bladł coraz bardziej i nie mógł już stać na nogach, jeno opierał się o drzewo. Nakoniec podniósł się ostatnim wysiłkiem i zawołał:

— Władyboju!

Nadbiegł Władybój, który widząc, że jego opór nie ocali Wigmana, leżał na trawie na uboczu i wygadywał po cichu na barbarzyństwo Polaków.

— Co chcecie, margrafie? — zapytał.

— Masz mój miecz — rzekł Wigman ciskając broń na ziemię — nieś go panu twemu na znak zwycięstwa nade mną. Niech go odeszle do cesarza, przyjaciela swego, ażeby się albo z klęski nieprzyjaciela zabitego naśmiewał, albo nad krewnym zapłakał.

Rzekłszy to, przetarł ręką oczy, które mu krew z głowy ciekąca zalewała, westchnął ciężko i padł na ziemię. Tu drgnął jeszcze parę razy i skonał.

Na ten widok cisza wielka i uroczysta zaległa

polsko-czeskie obozowisko. Wszyscy, przed chwilą tak zajadli i tak pragnący śmierci Wigmana, zdjęli czapki i w milczeniu, z cichym żalem w duszy, patrzyli na tę tajemniczą scenę konania, jaka się przed nimi rozgrywała.

XXI.

Lelum-Polelum.

Tryumf Mieszka był zupełny i wielka radość z tego powodu w jego obozie. Król urósł teraz w dumę, że w pierwszem starciu z Niemcami otrzymał tak szybkie i tak stanowcze zwycięstwo. Noga niemiecka nie wróciła do swej ojczyzny i posła nawet nie było, coby zaniósł straszną wieść za Odrę...

Do obozu przyjechała ze służebnemi swemi i z Mladą, królowa Dąbrówka i siostra królewska Biała knehini, albo poprostu Białka zwana; przyjechał arcybiskup Wilibaldus, zjechało się mnóstwo wojewodów i starostów i wszyscy byli korni i pokłony bili potężnemu zwycięzcy margrafa Wigmana.

Król szedł ze swem wojskiem, mając na przodzie Spicymira, bardzo wolno w głąb puszczy, robiąc po parę mil na dzień, zatrzymując się nieraz długo, polując i bawiąc się. Jeżeli gdzie



w borze napotkano jaką osadę, król kazał chrzcić mieszkańców, dęby i gaje święte wycinać, węże zabijać i nieposłusznym groził śmiercią. Nakazywano zaraz stawiać kościółek drewniany, gródek koło niego sypano i w gródku osadzono królewskiego komornika z kilkunastu wojakami i księdza.

Tak idąc powoli, całe tygodnie, wśród przepysznego, ciepłego i suchego lata, ciągle puszczą, kierowano się ku sławnej gontynie Lelum-Polelum. Żywności było dosyć, bo polowano dosyć, a zwierzyny w lesie było mnóstwo, przytem każda osada, którą ochrzczono, składać musiała zaraz królowi dziesięcinę ze zboża i dochowku wszelakiego. To też obóz królewski wrzał ciągłą radością, swobodą, śmiechami i swawolą, choć biskup Wilibaldus krzywo na to patrzał i skarżył się przed królem i napominał go nieraz surowo.

Wśród takichto zabaw i radości, dobito się pewnego dnia nad wieczorem do gontyny Lelum-Polelum. Wieczór był trochę chłodny i wiatr się zerwał zimny i wył po puszczy, a słońce krwawo zachodziło za drzewa. Król, który uczuł się nieco zmęczony, Kazał Spicymirowi otoczyć gontynę dokoła, zniszczenie zaś jej powierzył biskupowi Wilibaldowi. Sam tego zresztą nigdy nie czynił, i ilekroć patrzał na scinanie świętych dębów,

tylekroć bladł i wargi mu się trzęsły i w oczach przebijała się tłumiona trwoga.

Teraz w obliczu brzmiącego głośną sławą świętości bożka Lelum-Polelum, król schronił się do namiotu ze skór, jaki dlań rozbito, rzucił się tam na łoże i okrył z głową futrzaną delią. Wieczór, a za nim szybko zapadająca noc, była niezmiernie burzliwa. Wiatr wzmógł się, napędził mnóstwo czarnych chmur i lunął z nich prawdziwy potop, któremu towarzyszył niezwykły trzask piorunów i oślepiające błyskawice. Wicher wył po borze, łamał drzewa i trzask straszliwy brzmiał wśród puszczy. Ognie pozapalane przez wojsko woda zalała i po większej części przepędzono noc po ciemku, tuląc się gdzie można było.

Wśród takiejto burzy i łoskotu piorunów upłynęło pół nocy. Król nie spał, jeno leżał na niedźwiedziej skórze w namiocie, z głową ukrytą w futrzanej opończy, drżąc ilekroć piorun trzasł lub grzmot się rozległ, powtarzany przez puszczę tysiącznem echem. W namiocie nie było nikogo więcej i posępne panowały w nim cienie, których nie mógł rozpędzić kaganiec gorejący w kącie i skwierczący szkaradnie.

Nagle królowi się zdawało, że ktoś uchylił zasłonę u wejścia namiotu i że chłodne powiało powietrze. Gdy jednak dawna cisza, przerywana hukiem gromów zapanowała znowu, król sądził,

że się mylił i nie poruszył się na swem łożu. Wtem uczuł, że go ktoś dotknął i szarpnął na nim opończą. Przejęty okropnym przestrachem, zerwał się na równe nogi i chwytając za topór leżący obok niego, zawołał przejętym trwogą głosem:

— Kto tu?

Przed nim stał mąż wysokiego wzrostu, w długie, białe, lniane szaty ubrany, z których woda ciurkiem ciekła, z wielką, siwą brodą rozwianą przez wicher, z głową obnażoną i białą jak mleko, około której wił się wieniec z liści dębowych i jemioły. Stał nieruchomy, dzierżąc w prawej ręce długą laskę zakrzywioną u góry, a światło kagańca rozdmuchane przez wiatr w chwili gdy zasłonę uchylił, oblewało go chwiejnym i migotliwym blaskiem.

— Kto tu? — zawołał król powtórnie przejęty nieopisaną trwogą.

— Nie lękaj się Mieszku, królu Polanów. Nie z mieczem, ani też z toporem do ciebie idę, ale ze słowami pokoju. Jam jest Boguchwał, sługa wszechwiedzącego Lelum-Polelum...

Mieszko cofnął się w głąb namiotu, odetchnął ciężko i rzekł ponuro:

— Czego chcesz?

— Czyż nie wiesz, królu, czego ja chcę? Jakto? ze zbrojną drużyną wojaków, z wrogimi

Czechami naszedłeś tę, Bogu poświęconą ziemię i chcesz zwalić chram wszechpotężnego Lelum-Polelum?

Tu podniósł rękę w górę i głosem drżącym podobnym do szmeru liści kołysanych przez wiatr, mówił:

— O! lękaj się gniewu bożego. Ty, król, kość z kości kmiecej, przyszedłeś twe bogi zabijać, świątynie ich burzyć, dęby i gaje święte wycinać, węże topić, niszczyć to, co ojcowie twoi czcili, na czem urośli i czem żyli przez długie, długie wieki. I ty to czynisz, ty coś powinien bronić dawnej wiary! O królu! z chwilą gdy zginą stare bogi, zczeźnie i lud ten polski z ziemi swych ojców...

Ledwie skończył, gdy nagle rozległ się straszliwy, ogłuszający trzask piorunu, który gdzieś bardzo blizko uderzył i oślepiająca jasność błyskawicy przedarła się przez ściany namiotu i oblała nikłem światłem całe jego wnętrze.

— Czy słyszysz? — zawołał Boguchwał — to Lelum-Polelum w ryku burzy, w huku gromów, w blasku światła niebieskiego jawi się i przemawia do ciebie.

— Wielki Boże! — zawołał król chyląc głowę — czego chcesz ode mnie starcze?

Boguchwał postąpił parę kroków, chwycił Mieszka za rękę, pochylił się ku niemu szeptał:

— Idź stąd, idź! Zbierz twoich wojaków,

wrogich Czechów, otrząś pył z nóg twoich i idź, idź, póki Lelum-Polelum nie pocznie ciskać w ciebie i twoich piorunami. Oto...

Nie skończył, bo nagle zewnątrz, w obozie zrobił się ruch wielki, bieganie, nawoływania, krzyki, pomieszane głosy, z których co chwila wydobywał się okrzyk:

— Pali się! pali! ogień, pożar! gontyna goreje!

Boguchwał gdy usłyszał te słowa: gontyna goreje! zatrzymał się i stał tak przez chwilę, jakby skamieniał. Potem załamał ręce i zawołał:

— Sam Bóg tak chce! sam pali swą świątynię!

To rzekłszy rzucił się ku zasłonie, podniósł ją i zniknął.

Król przez jakiś czas stał nieruchomy, nie mogąc oprzytomnieć, ale w końcu wzmagające się krzyki obudziły go ze zdrętwienia. Szybko wybiegł z namiotu i oczy jego uderzył straszny, ale zarazem wspaniały widok.

Na szczycie góry stojąca gontyna bożka Lelum-Polelum cała była w płomieniach. Wysuszone przez długotrwałe upały jej drewniane ściany i dach gorzały jak żywica. Płomień wzmagał się, rósł, lizał ściany i rzucał na tło czarnych chmur i czarnej puszczy złowrogie, krwawe światło. O ratunku mowy nawet być nie mogło, zresztą niktby nie odważył się gasić w owych